Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

WOLNA SOBOTA

POLACY ŻEGNAJĄ PARYŻ
Dziękujemy i do zobaczenia za cztery lata
▶ 4-7

WYSOKIE OBCASY
800+ nie pomoże
Polki nie chcą rodzić

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

PRZEMYSŁAW BABIARZ

Bóg jest dla mnie ważniejszy niż sport

▶ 8

FOT. JACEK DOMINSKI/REPORTER

wydaje Agora SA, nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
32>
9 770860 908167

Piwko i skuter wodny. Jak toną Polacy ▶ 15

Kryzys migracyjny na nowej granicy? ▶ 23

Mistrzyni zmienia się w mistrza Czy sport musi mieć płeć ▶ 40

Lepszy żywy **Gombrowicz** niż martwy **Baczyński** ▶ 43

Śmierć Traugutta Rosjanie robili zdjęcia? ▶ 44

Sobota–niedziela, 10-11 sierpnia 2024 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 186.10680, 1 Nakład 85 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl a8fd4bb077

Agnieszka Kublik

Covid. Szansa dla rządu

Sklep spożywczy w centrum Warszawy, przy drzwiach wisi pojemnik z płynem dezynfekującym. Pusty. Pytam kasjerkę, dlaczego?

– Pani, a po co? – śmieje się.

– Bo znowu istnieje zagrożenie covidem.

Pani rozbawiona, ale i zdziwiona: – A to pani nie słyszała, że już pandemii nie ma, skasowana!

Tak, stan zagrożenia epidemiologicznego odwołano 1 lipca zeszłego roku. Ale kasjerka nie ma pojęcia, że właśnie przybywa chorych na covid. Według oficjalnych danych z 6 sierpnia w ciągu ostatniej doby było 663 przypadki COVID-19 (w tym 441 nowych, 222 to ponowne zachorowania, jedna osoba zmarła). Kasjerka o tym nie wie, bo rząd nie rozpoczął żadnej akcji informacyjnej, że trzeba zakładać maseczki, trzymać dystans i dezynfekować ręce. Tak, znowu. To minimum. Bo trzeba i zachęcać do szczepień, teraz atakuje nowy wariant wirusa. Wśród znajomych, bez przewlekłych chorób, wysportowanych, zaszczepionych już cztery razy, coraz więcej zakażonych covidem.

Niebezpieczeństwo będzie rosło, taki mamy trend. A dziś główne covidowe zagrożenie to Paryż. Wedle danych z 6 sierpnia co najmniej 40 sportowców miało pozytywny test. – Wirus krąży dość szybko na całym świecie – komentowała dr Maria Van Kerkhove, szefowa zespołu WHO ds. pandemii. – Tak duża cyrkulacja COVID-19 nie jest normalna, ponieważ epidemie wirusów układu oddechowego mają tendencję do nasilania się, gdy jest zimno.

Z Paryża sportowcy, organizatorzy i kibice rozjadą się po całym świecie. A do niedzieli, kiedy igrzyska się kończą, statystyki będą zapewne coraz gorsze, więc część na pewno wróci z covidem. Czy ktoś tych wyjeżdżających będzie testował? Da im obowiązkowe maseczki i płyny dezynfekujące?

Jak do tego przygotowuje się rząd? Przybywający z Paryża będą kontrolowani? Na lotniskach? Dworcach? Bo przecież rząd zawalczy o to, by olimpijski covid nas nie rozłożył, prawda?

Rząd PiS covidowy test oblał. Pod każdym względem. Nie troszczył się o nasze zdrowie, a o swój dobrobyt. Nakupowali za ogromne kwoty badziewiastych maseczek, kombinezonów, respiratorów. Nie słuchali naukowców, woleli robić politykę na tragedii. Polegli nawet w sprawie szczepień – dane z maja mówią, że w pełni zaszczepionych jest 59,2 proc.

Dr Paweł Grzesiowski, wówczas jeden z głównych alarmistów i recenzentów rządu, a od czerwca Główny Inspektor Sanitarny, już w lipcu ostrzegał, że „mamy wyraźne wzrosty zachorowań w Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych".

Rząd Tuska ma teraz nie tylko obowiązek, ale szansę nas przed covidem ochronić. Szansę, bo w ten sposób mógłby okazać kompetencję, sprawczość, zdecydowanie. I umiejętność komunikacji, bo komunikacyjnie sobie nie radzi. Nie tylko w sprawie covidu, w ogóle. Może w sprawie życia i śmierci się w końcu ocknie i zrozumie, że informowanie o zagrożeniach, skutkach i prewencji to część uczciwego i skutecznego zarządzania państwem.

Uczcie się na cudzych błędach, do cholery. ●

USA
W popiołach jest życie

FOT. REUTERS/FRED GREAVES

Kalifornia, hrabstwo Tehama. Deszcz spowolnił rozprzestrzenianie się ognia w parku krajobrazowym Mill Creek, więc strażacy ściągnięci aż z Sacramento korzystają z chwili wytchnienia. W te wakacje giga-pożary nękają nie tylko Amerykę Północną – kilkanaście dni temu spłonęło kanadyjskie Jasper, słynny górski kurort w Górach Skalistych – ale i Europę. Żywioł spustoszył chorwacką Dalmację, teraz rujnuje hiszpańską Andaluzję.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Andrzej rysuje

W ŚRODĘ „WYBORCZA" NA DŁUGI WEEKEND

Arkadius
Jego prace doceniły światowe gwiazdy

Komiksów nie czytam
Rozmowa z twórcą „Thorgala"

Psiecko, murzyn, chirurżka, destynacja
Słowa, o które kłócą się Polacy

Reportaż
Rodzinne wakacje spędziliśmy w egipskim kurorcie z Rosjanami

2 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

Polacy po Paryżu

Zbyt wiele porażek

Sport jest w Polsce czymś w rodzaju brzydkiego kaczątka, które nie może przeistoczyć się w pięknego łabędzia

Wołowski

Bez względu na kilka spektakularnych wzlotów, igrzyska w Paryżu przyniosły polskim sportowcom zbyt wiele porażek.

Pisałem ten tekst 13. dnia igrzysk w Paryżu, niedługo po tym, jak specjalistki od wspinaczki sportowej Aleksandra Mirosław i Aleksandra Kałucka podźwignęły Polskę z 54. na 30. miejsce w klasyfikacji medalowej. Zabrzmiał wreszcie Mazurek Dąbrowskiego w stolicy Francji, co było osłodą niemal dwóch tygodni nostalgicznego oczekiwania.

Z tego historycznego finału wspinania na czas w pamięci pozostanie mi duma trenera Chinki Deng Lijuan, która pobiła rekord życiowy, a jednak przegrała złoto z Aleksandrą Mirosław – rekordzistką świata, dominującą w tej konkurencji z ogromną przewagą.

Spełnianie marzeń bywa w sporcie chorobą zakaźną. Złoto i brąz wspinaczek to nie był ostatni wzlot naszych sportowców tego dnia. Niedługo potem siatkarze zapewnili sobie pierwszy olimpijski finał od 48 lat. Mecz półfinałowy z Amerykanami jest dowodem na to, ile znaczy niezłomność charakteru. W czwartym secie siatkarze Nikoli Grbicia byli bezbronni wobec rywali, ale właśnie wtedy nadludzkim zrywem i wbrew logice odbili się do zwycięskiego lotu. To był sportowy thriller z happy endem, którego w pewnym momencie nie mieliśmy już prawa oczekiwać. Amerykanie byli lepsi we wszystkich statystykach, poza tą najważniejszą otwierającą drogę do gry o złoto.

Wreszcie również w środę wieczorem w ringu na kortach Rolanda Garrosa 20-letnia Julia Szeremeta z uśmiechem na ustach wywalczyła awans do finału w boksie w wadze do 57 kg. Na taki sukces polski boks czekał od 1980 roku i walki Pawła Skrzecza. W sobotni wieczór w pojedynku o tytuł Szeremeta zmierzy się z Tajwanką Lin Yu-ting. Kilka godzin wcześniej przekonamy się też, czy złoto zdobędą siatkarze.

Ale nawet sukces ich, młodej bokserki oraz wydarzenia cudownej środy w Paryżu nie zmienią faktu, że francuskie igrzyska były dla naszych sportowców wyjątkowo trudne. Trzy lata wcześniej w Tokio Polska zakończyła igrzyska na 17. miejscu, z 14 medalami, tuż za Koreą Południową. W Paryżu Koreańczycy odlecieli gdzieś w siną dal, Polska zanotowała spodziewany regres. Spodziewany, bo szczególnie w pływaniu i lekkoatletyce – czyli dwóch najważniejszych dyscyplinach olimpijskich, nasi sportowcy przeżywają kryzys.

•

Emocji i poziomu igrzysk nie da się zmierzyć statystyką. Iga Świątek dostarczyła naszym kibicom głębokich wzruszeń, nawet jeśli nie doszło do ostatecznego happy endu. W sumie jednak polskie sporty olimpijskie są w kłopotach. Dla kilku dawnych gigantów czas dominacji minął.

Pięciokrotny mistrz świata, młociarz Paweł Fajdek powiedział, że był do startu w Paryżu aż za dobrze przygotowany. Skutek? Okazał się za szybki w kole, młot wypadał mu z ręki, a nie był przezeń rzucany. Broniący tytułu z Tokio Wojciech Nowicki przeprosił kibiców, bo czuł, że zawiódł.

Z przykrością słucha się tak wybitnych sportowców, którzy wykonali kawał ciężkiej roboty bez żadnych efektów. Trzykrotnej mistrzyni igrzysk Anicie Włodarczyk do medalu w Paryżu zabrakło zaledwie 5 cm, co znaczy, że mimo upływu czasu wciąż wie, jak przygotować się do najważniejszego startu.

Dla całkowitego obrazu polskiego sportu można przypomnieć męki i bezradność piłkarzy podczas Euro 2024 w Niemczech. Kto szukał pocieszenia na igrzyskach w Paryżu, musiał czuć się rozczarowany.

Na ostatnich mistrzostwach świata w lekkoatletyce, rozegranych przed rokiem w Budapeszcie, Polska zajęła 24. pozycję w klasyfikacji medalowej. Na drugim stopniu podium stanęli wtedy Wojciech Nowicki w konkursie rzutu młotem i Natalia Kaczmarek w wyścigu na 400 m. Ostatni raz tak słabo w MŚ było 11 lat wcześniej. Tymczasem ledwie dwa lata wcześniej podczas igrzysk w Tokio polscy lekkoatleci stawali na podium aż dziewięć razy. Co się stało w zaledwie 24 miesiące?

Wiceszef PZLA Tomasz Majewski przekonywał, że wynik na poprzednich igrzyskach był po prostu ponad stan polskiej lekkoatletyki.

„Starzejemy się, jesteśmy syci, a inni są młodzi i wygłodniali. Ich poziom motywacji jest niebotyczny. Świat lekkoatletyczny się zmienia i o takie sukcesy jak w Tokio będzie coraz trudniej" – mówił. W Paryżu były wybitny kulomiot jest szefem polskiej misji i jego przewidywania niestety się sprawdziły. Lekkoatletyka to 49 różnych konkurencji i sytuacja w każdej jest trochę inna. Mimo wszystko w dyscyplinie uważanej za królową sportu Polacy przestali nadążać za rywalami.

Rok temu w Budapeszcie z 67 polskich lekkoatletów tylko pięciu poprawiło rekordy życiowe. Co znaczy, że był problem z przygotowaniami. Refleksja Majewskiego, że Polska stała się krajem dobrobytu, w związku z czym młodzi ludzie nie mają dość motywacji do harówki w sporcie, nie do końca przekonują, bo regres musiałby dotyczyć wszystkich krajów Europy.

W Polsce jest 17 tys. zarejestrowanych lekkoatletów i trudno tę liczbę powiększyć, bo młodzież kuszą szkółki piłkarskie. Jak to jest, że ich liczba rośnie bez żadnego wpływu na stan polskiego futbolu?

•

Podczas igrzysk w Paryżu francuska telewizja emituje program, którego bohaterami są medaliści każdego dnia. Tłok jest w nim ogromny: jedni wychodzą, drudzy wchodzą, każdy chce uszczknąć jak najwięcej czasu. Gospodarze igrzysk mieli po 13 dniach rywalizacji 48 medali i jawili się jako największa z europejskich potęg sportowych. Nie wiem, czy wypada porównywać się do nich, ale wyobrażam sobie, co by było, gdyby TVP wpadła na pomysł, by stworzyć podobny program.

Diagnoza, że stajemy się krajem dobrobytu i młodzi ludzie nie mają motywacji do harówki w sporcie, nie przekonuje, bo regres musiałby dotyczyć wszystkich krajów Europy

Nie poszło złoto do złota

Na 54 miejscu

• w klasyfikacji medalowej była Polska przed złotem i brązem wspinaczek Aleksandry Mirosław i Aleksandry Kałuckiej

Na 17 miejscu

• z 14 medalami zakończyliśmy poprzednie igrzyska w Tokio

Po 48 latach

• polscy siatkarze zakwalifikowali się do olimpijskiego finału

24 lata

• czekał na olimpijski sukces – w postaci Julii Szeremety w wadze do 57 kg – polski boks

2 medale

• zdobyli Polacy na zeszłorocznych mistrzostwach świata w lekkoatletyce. Dwa lata wcześniej w Tokio – 9 krążków

48 medali

• mieli po 13 dniach rywalizacji gospodarze igrzysk

Ciekawe, że sport jest w Polsce czymś w rodzaju brzydkiego kaczątka, które nie może przeistoczyć się w pięknego łabędzia. W PRL był narzędziem komunistycznej propagandy, po zmianie ustroju długo szukał swojego miejsca w rzeczywistości wolnorynkowej. A kiedy w końcu mieliśmy wrażenie, że się jej nauczył, wciąż wygląda na zaniedbany.

Oczekiwania wobec polskich sportowców mamy wygórowane, ale tylko w nielicznych sportach potrafiliśmy stworzyć system gwarantujący ciągłość sukcesów. A przecież to takie logiczne: skoczek narciarski Adam Małysz pociągnął za sobą Kamila Stocha, Dawida Kubackiego i Piotra Żyłę, a tenisistka Agnieszka Radwańska Igę Świątek, Huberta Hurkacza i innych. Dlatego tak ważny jest sukces sportowy, że zaraża innych.

Zostawmy na chwilę sporty indywidualne. „Stan polskiego sportu, zwłaszcza gier zespołowych, jest smutnym odzwierciedleniem stanu polskiego państwa" – napisał w 2013 roku na Twitterze ówczesny opozycjonista Andrzej Duda. Prezydentem był wtedy Bronisław Komorowski z PO. Od 2015 roku prezydentem jest Duda, ale gry zespołowe w Polsce są w takim samym stanie jak 11 lat wcześniej. Słowem: politycy używają sportu, by ze swadą krytykować rywali, ale budowanie, zmienianie, poprawianie go przychodzi im z trudem.

•

Są tacy, którym sport wyczynowy pachnie patologią: demoralizującą kasą, dopingiem, oszustwami lub niezdrową nacjonalistyczną narracją. Ale to ta gorsza strona medalu. Lepsza? Z dokonań Świątek, siatkarzy, szpadzistek dzieciaki będą czerpały natchnienie do tego, by ruszyć się sprzed ekranu komputera. Są kraje, jak Holandia, gdzie sukces w sporcie wyczynowym bierze się ze sportu powszechnego. Do tego powinniśmy dążyć. Nie zaniedbując ani jednego, ani drugiego.

Mają igrzyska swoje wady, mają też magię. Tak jak mój redakcyjny kolega Radek Leniarski miałem wrażenie, że skrajna presja związana ze startem liderki rankingu WTA 23-letniej Igi Świątek na kortach Rolanda Garrosa była częścią rodzinnej historii. Jej ojciec Tomasz, były wioślarz czwórki podwójnej, stracił medal igrzysk w Seulu w 1988 roku. Jego córka urodziła się 13 lat później. Ponoć ojciec wybrał dla niej sport indywidualny, by zależała tylko od siebie. Ona, już jako wielka mistrzyni, chciała „zwrócić" mu medal olimpijski po 36 latach. Może dlatego każdy mecz w Paryżu był dla niej tak trudny. A może było tak jak w przypadku 37-letniego Serba Novaka Djokovicia, który zarobił na korcie 184 mln dolarów, wygrał 24 turnieje Wielkiego Szlema i po żadnym nie płakał tak rzewnie jak po złocie igrzysk w Paryżu. Tym razem czuł, że gra przede wszystkim dla kraju.

Jeśli chodzi o reakcje sportowców i pragnienie spełniania olimpijskich marzeń, na zawsze zapadnie mi w pamięć radość szpadzistki Aleksandry Jareckiej, która miała cztery sekundy, żeby odwrócić losy drużynowego pojedynku Polska – Chiny o brązowy medal. Wysiłek wielu lat zależał od jednego trafienia. Potrafiła je zadać. Prawniczka z wykształcenia przeżyła największe emocje w życiu. To pokazuje jak cienka jest granica między porażką i zwycięstwem w sporcie, a szczególnie na igrzyskach, które są raz na cztery lata.

Te paryskie przechodzą do historii jako ekstremalnie trudne dla polskich sportowców. ●

Dariusz Wołowski

• Od samego początku pod górkę? O cieniach i blaskach naszego olimpizmu opowiada Daniel Lis w książkach **„Stulecie przeszkód. Polacy na igrzyskach"** i **„Pierwsza drużyna. Paryż 1924. Polski debiut na igrzyskach olimpijskich",** dostępnych m.in. na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka i audiobooka na Publio.pl.

eprasa.pl a8fd4bb077

OLIMPIADA OKIEM KUBY ATYSA

Marzenia niepoprawnego kibica

Roman Imielski

Tylko na tej imprezie mogę zarwać noc, by oglądać rywalizację drużyn w łucznictwie albo wszechstronny konkurs konia wierzchowego. Choć o jednej i drugiej dyscyplinie nie mam większego pojęcia.

Dla mnie igrzyska olimpijskie to święto emocji. Są największe światowe gwiazdy takie jak Iga Świątek, Novak Djokovic czy koszykarze z USA. Ale też giganci swoich niszowych, jeśli chodzi o globalną rozpoznawalność, dyscyplin takich jak choćby rzut młotem czy pływanie synchroniczne.

I tak się też składa, że igrzyska zawsze kojarzą mi się ze zdjęciami Kuby Atysa, wirtuoza sportowej fotografii. Jako wysłannik „Wyborczej" był na niezliczonej liczbie światowych imprez. I był świadkiem wielkich sukcesów, jak i bolesnych porażek. Jak to w sporcie.

Dziś prezentujemy wam kolejną porcję fantastycznych zdjęć Kuby – z Paryża. Kiedy piszę te słowa – w środę tuż po zdobyciu złotego medalu we wspinaniu na czas przez Aleksandrę Mirosław i brązowego na tej samej ściance przez Aleksandrę Kałucką – jeszcze buzują we mnie pozytywne emocje. Świat od razu jest bardziej kolorowy, ludzie fajniejsi, a problemy mniejsze. Tak zadziałało na mnie pierwsze, wyczekiwane złoto dla Polski tegorocznych igrzysk.

Infantylizm, ktoś powie. Może i tak, ale oczy robiły mi się szklane, gdy po 48 latach polscy siatkarze znów awansowali do finału igrzysk. I gdy Iga wygrywała mecz o brązowy medal, choć chciałoby się, żeby to był kolor złoty. I nawet wtedy, gdy Anita Włodarczyk kończyła wielką olimpijską karierę czwartym miejscem w rzucie młotem, choć na poprzednich trzech igrzyskach zawsze stawała na najwyższym podium, a my słuchaliśmy Mazurka Dąbrowskiego. I przy wielu innych okazjach. Po prostu inaczej nie umiem – sport jest nieodłączną i ważną częścią mojego życia.

Podobne emocje przeżywam, patrząc na zdjęcia Kuby z jednej z najfajnieszych imprez sportowych ostatnich dekad. Tak, igrzyska w Paryżu są czymś wyjątkowym. Kibice od pierwszych do ostatnich minut wypełniają trybuny na wszystkich arenach. Od stadionu lekkoatletycznego, na którym Szwed Armand Duplantis pobił własny rekord świata, skacząc o tyczce 6,25 metra, przez hale zapaśnicze, po tor kajakarstwa górskiego. Francuzi kochają sport i dają temu wyraz, a wraz z nimi tłumy fanów z całego świata, którzy zjechali nad Sekwanę.

Te tłumy też dojrzycie na zdjęciach Kuby. I jakże to inne obrazy od tych z Tokio z 2021 r., gdy igrzyska opóźniono przez pandemię o rok, a trybuny świeciły pustkami. Jak powiedział mi Radosław Leniarski, inny nasz weteran olimpijskich zmagań, w Tokio mogłeś w finale biegów usłyszeć tupot butów sportowców. W Paryżu słyszysz hałas fanów i wylewające się z nich emocje. Niezależnie od pory dnia.

I tylko tych złotych, srebrnych i brązowych krążków chciałoby się więcej. I wysokiego miejsca w tabeli medalowej. I słuchanego wiele razy Mazurka Dąbrowskiego. I żebyśmy się stali światową sportową potęgą. I żeby nasi rozpalali serca milionów fanów na całym świecie, nie tylko nad Wisłą.

Ach, marzenia niepoprawnego kibica...

• **Kuba Atys**
Fotoreporter związany z „Wyborczą" od 1990 r., to jego 12. igrzyska olimpijskie, w tym siódme letnie

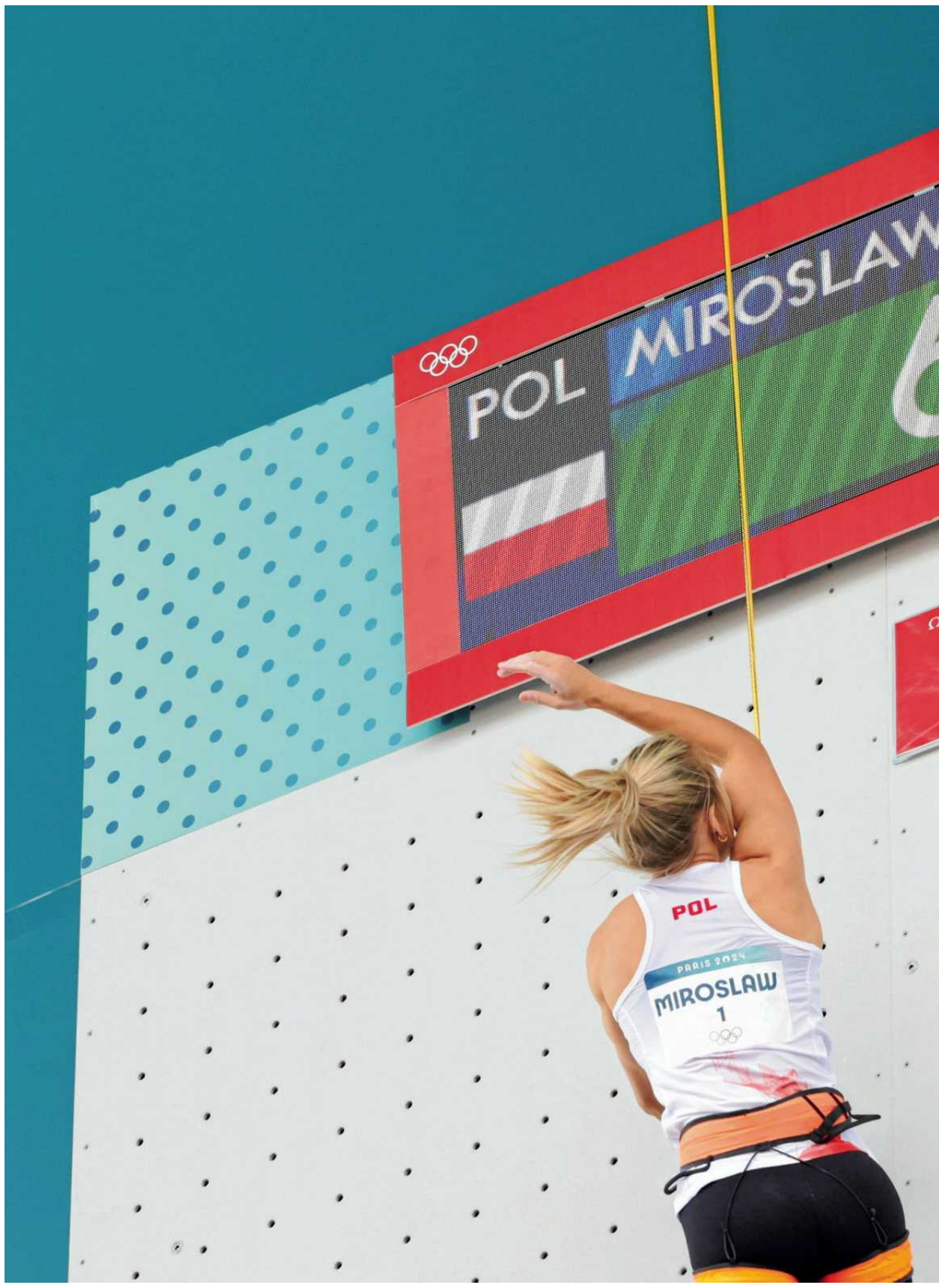

eprasa.pl a8fd4bb077

• Pionowa ścianka wspinaczkowa liczy 15 metrów. Nie wiadomo, w jakim czasie pokonałby ten dystans Spider-Man, ale wiadomo, ile zajmuje to Spider-Woman. 6:06 s. Ta Kobieta-Pająk to **ALEKSANDRA MIROSŁAW**, lublinianka, która mknęła po ściance jakby naprawdę była obdarzona supermocami. Tego dnia dwukrotnie biła własny rekord świata. W kilka minut. A dwa dni później sięgnęła po złoto.

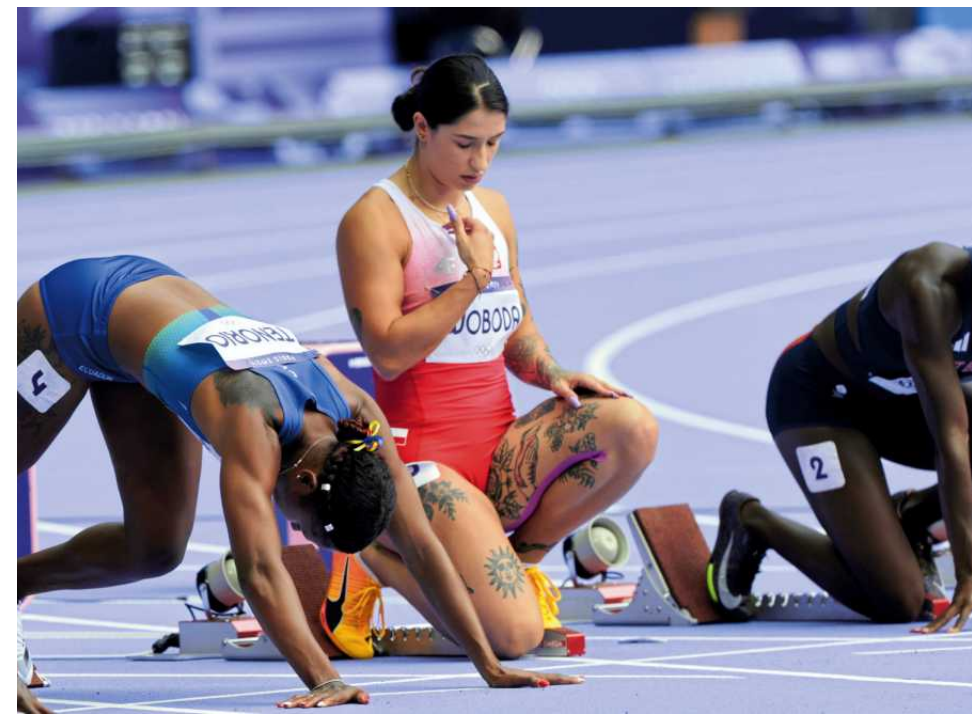

• Powiedzieć, że **EWA SWOBODA** była jedną z najbarwniejszych postaci igrzysk, to jak nic nie powiedzieć. Tatuaże, długie, kolorowe paznokcie (fioletowe, jak bieżnia Stade de France!), głośny film z salutowaniem najpierw prawą, potem lewą ręką. Ale i wyborna forma – do awansu do finału „stumetrówki" zabrakło... 0,01 s

• Polski młot wykuwał dla nas na wielkich imprezach złoto za złotem, medal za medalem, do czego w ogromnej mierze przyczynili się Szymon Ziółkowski (z lewej) i **PAWEŁ FAJDEK**. Ale w Paryżu ów znakomity duet trener-zawodnik powodów do zadowolenia nie miał. Kibice niestety też.

• **JULIA SZEREMETA** (z prawej) skoczyła wyżej niż Portorykanka Ashleyann Lozada Motta, ale istotniejsze było, że biła mocniej od rywalki. Polska pięściarka, walcząca w charakterystyczny sposób, z opuszczonymi rękami, była lepsza w ćwierćfinałowym starciu w kategorii do 57 kg.

• „Wiosłuj, wiosłuj!" – zachęcają często rodzice swoje pociechy do jedzenia. Wioślarzy nikt zachęcać specjalnie nie musi, choć dyscyplina to piekielnie ciężka, i czasami aż się chce wyjść z... łódki. **DOMINIK CZAJA** wraz z kolegami z czwórki podwójnej też wyszedł, ale dopiero po zdobyciu brązowego medalu.

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

• **KANONIER KUREK – wystąp! Do odznaczenia rzecz jasna, bo kapitan polskich siatkarzy w meczu ze Słowenią grał fenomenalnie – atakował i serwował z zabójczą siłą i skutecznością. A po meczu zmiął i cisnął daleko podaną przez dziennikarzy Eurosportu kartkę z napisem „klątwa ćwierćfinału" (Biało-Czerwoni odpadali w tej fazie na pięciu kolejnych igrzyskach). W sobotę grają o złoto.**

• **Jak się patrzy na trasy w kajakarstwie górskim, to człowiek myśli, że przepłynąć to się tam nijak nie da żadną jednostką, nie tylko kajakiem. KLAUDIA ZWOLIŃSKA myślała zgoła inaczej, bo na mecie slalomu K-1 była druga. Srebro! „K..., nie wierzę! W głowie mi się to nie mieści!" – mówiła przeszczęśliwa. To był pierwszy polski medal w Paryżu.**

• **U stóp wieży Eiffela na Polach Marsowych rozgrywali swoje mecze siatkarze plażowi. To jedna z najbardziej malowniczych aren igrzysk, ale BARTOSZ ŁOSIAK i MICHAŁ BRYL skupili się nie na pięknych widokach, a na grze. Tu ogrywają Francuzów, wcześniej pokonali Australijczyków, ale ostatecznie po zaciętej walce odpadli w 1/8 finału z duetem z Hiszpanii.**

• **Streetball to dla wielu esencja koszykówki. Plenerowa koszykówka w odmianie 3 na 3 w programie igrzysk znalazło się po raz drugi, po raz drugi też z udziałem Polaków. FILIP MATCZAK i spółka w meczu z Chinami byli lepsi (22:17), ale rywalizację zakończyli na fazie play in, decydującej o grze w półfinałach.**

eprasa.pl a8fd4bb077

• **KSAWERY MASIUK w swoim wyścigu eliminacyjnym na 100 m stylem grzbietowym popłynął kapitalnie - wygrał, pierwszą połowę dystansu pokonał w tempie lepszym niż rekord świata, a na mecie pokonał nawet rekordzistę globu Thomasa Ceccona. Potem już tak dobrze nie było – Ksawery odpadł w półfinałach, a złoto zgarnął ostatecznie... Ceccon.**

• **Amerykanki były bardzo dobrze przygotowane do tego meczu, czym nie odkryję Ameryki" - mówiła przed kamerami Eurosportu siatkarka MALWINA SMARZEK. Uśmiechnęła się, choć przez łzy, bo w ćwierćfinale Biało-Czerwone przegrały z USA 0:3**

• **„Radość, szczęście, smutek, rozczarowanie, satysfakcja, niedosyt, duma i wiele innych emocji, wiele myśli" – napisała IGA ŚWIĄTEK podsumowując już na chłodno swój występ na igrzyskach w Paryżu i brązowy medal, wywalczony po meczu ze Słowaczką Anną Karoliną Schmiedlovą. My dodamy jeszcze jedno: wdzięczność. Iga, jesteś najlepsza!**

• **Mówią o niej „kobieta do zadań specjalnych". Któż inny mógł wyjść na szermierczą planszę w decydującym momencie? Polskie szpadzistki walczyły o brąz z Chinkami, był remis 25-25 i ostatnia walka: ALEKSANDRY JARECKIEJ z Yu Sihan. W samej końcówce zdębieliśmy: tablica wyników błędnie pokazywała, że Polka prowadzi, tymczasem było odwrotnie. Mission impossible? Nie dla niej. Trafienie na remis niespełna 2 sekundy przed końcem pojedynku, i rozstrzygające w dogrywce!**

eprasa.pl a8fd4bb077

BÓG JEST DLA MNIE WAŻNIEJSZY NIŻ SPORT

Współpracownik Przemysława Babiarza: W środku Przema, jak podejrzewam, siedzi coś mrocznego.

Piotr Głuchowski

Jest 14 listopada 2012 r., środa. W Gdańsku trwa mecz Polska – Urugwaj, w Częstochowie prezenter sportowy Przemysław Babiarz wchodzi do sali, gdzie czekają studenci z duszpasterstwa akademickiego Emaus.

– Pomyślałem, że mecz mogę sobie obejrzeć później, natomiast nasze spotkanie jest niepowtarzalne, a poza tym Bóg jest dla mnie ważniejszy niż sport – zagaja, z miejsca kupując słuchaczy. Później mówi im, że choć nie był ministrantem, to ceni sobie życie w katolickiej wspólnocie i choć często musi pracować w niedzielę, „zawsze szuka możliwości uczestniczenia we mszy świętej”. – Kiedyś, będąc w Japonii, pomodliłem się do Matki Boskiej i dzięki jej wstawiennictwu udało mi się tam znaleźć Kościół katolicki.

Gdyż Boga – jak wyjaśnia studentom – najłatwiej znaleźć w Kościele: – Kościół wcale nie jest skostniały, jak mówią jego krytycy. Jest instytucją niezbędną. Całe nasze życie domaga się sacrum. Jest ci, człowieku, ciężko? Poproś księdza, by włożył na ciebie ręce. Jezus przecież leczy, choć często zapominamy o Jego obecności.

W drugiej części prelekcji komentator opowiada o swoim zawodzie: – My, dziennikarze wierzący, spotykamy się czasem z pewnym dystansem, ironią... ale to nie powoduje jeszcze niemożności uprawiania zawodu.

– Teraz już powoduje – mówi mi 31 lipca A., sygnatariuszka skierowanego do dyrektora generalnego Telewizji Polskiej Tomasza Syguta apelu „o powrót Przemysława Babiarza do pracy”.

Po zawieszeniu komentatora, które nastąpiło cztery dni wcześniej – gdy relacjonując ceremonię otwarcia paryskich igrzysk olimpijskich, zdekodował treść piosenki Johna Lennona „Imagine” jako „wizję komunizmu, niestety” – list ów podpisało kilkudziesięciu sportowców i ponad stu dziennikarzy TVP. Wśród tych pierwszych m.in. czterokrotna mistrzyni świata w rzucie młotem Anita Włodarczyk, trzykrotna rekordzistka świata w pływaniu Otylia Jędrzejczak, wielokrotny złoty medalista w skoku wzwyż Artur Partyka.

„Przemysław Babiarz to jeden z najlepszych komentatorów w Polsce” – napisali. „Ubarwia słowem największe sukcesy naszych sportowców. Robi to tak, że komentowane przez niego transmisje – nawet odtwarzane po latach – wywołują ciarki i wzruszenie. To dzięki jego pracy widzowie wybierają kanały Telewizji Polskiej, a nie konkurencyjne”.

A. (liter będzie więcej, bo spośród 14 osób, które poprosiłem o opinię na temat prezentera, anonimowość zastrzegło osiem) mówi dalej: – Przemek padł ofiarą uśmiechniętej polityki obecnej koalicji rządzącej. Władza wie, że w gmachu TVP jest nadal wiele osób, które tak jak on popierają opcję konserwatywną. Dyrekcja oficjalnie nic nie może zrobić, mamy wszak wolność poglądów. Przynajmniej mieliśmy do tej pory, bo pętla tolerancji szybko się zaciska. Ponieważ wiedzą, że wszystkich nas z TVP nie wyrzucą, czekali na taki pretekst, jaki dał im Przemek, by pokazać dobitnie, kto rządzi i jakie poglądy należy prezentować.

– Pani zdaniem jakie?

– Neomarksistowskie.

– Ale Babiarz został przywrócony.

– Między innymi dzięki naszemu oporowi.

– Albo dzięki słowom Donalda Tuska, który określił zawieszenie „głupotą”.

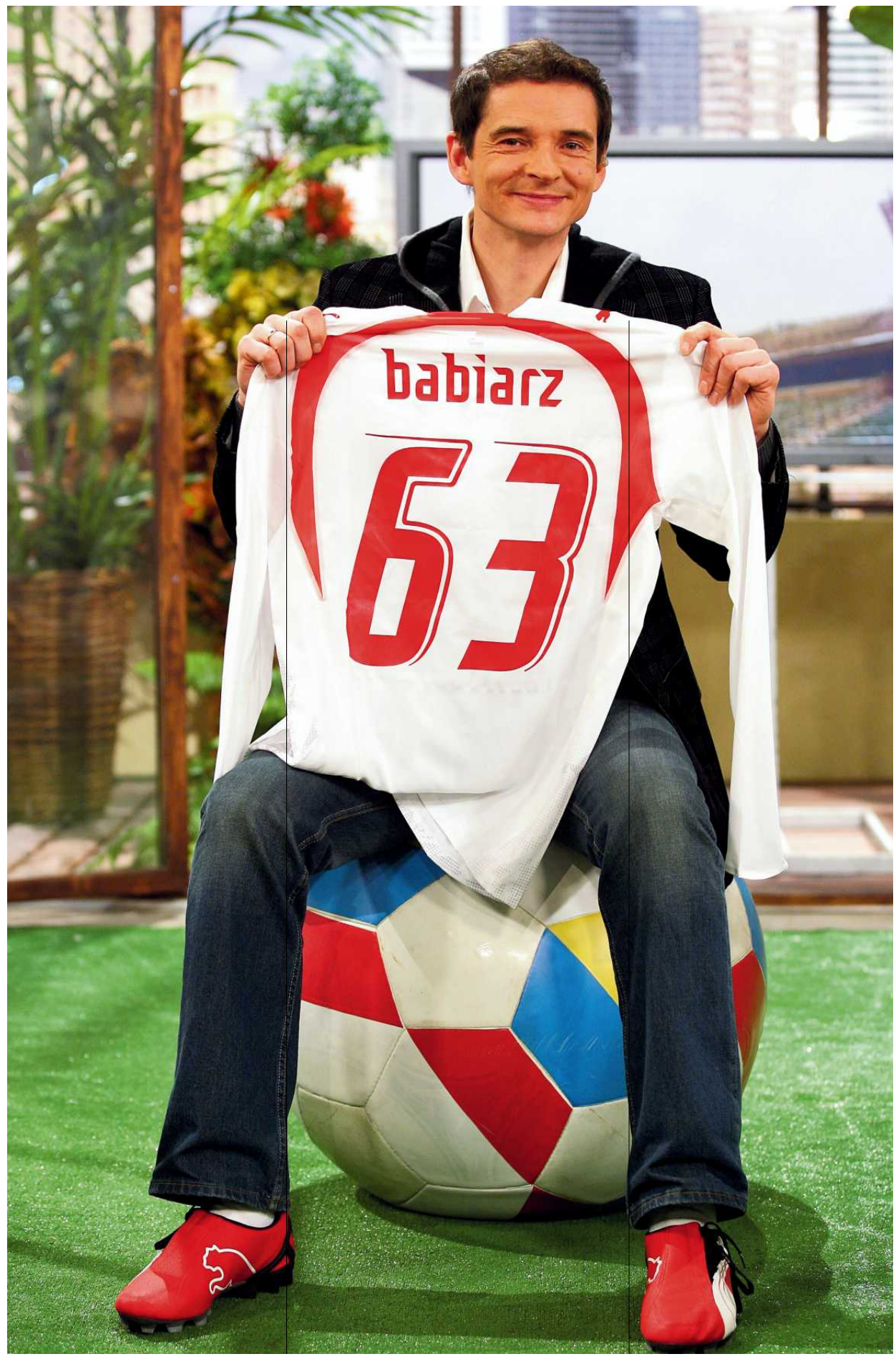

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

eprasa.pl a8fd4bb077

– Tak czy owak Przemek przeszedł upokorzenie na oczach całej Polski i tylko on wie, ile go to kosztowało.

●

Pod apelem – co nie umknęło komentatorom – zabrakło autografu nestora polskich prezenterów sportowych Dariusza Szpakowskiego. Dzwonię z pytaniem: „Dlaczego pan nie podpisał?", jednak redaktor odmawia wypowiedzi na łamy. Wcześniej, w rozmowie z „Przeglądem Sportowym", dał do zrozumienia, że najzwyczajniej nikt mu tego listu nie pokazał. Teraz radzi mi, bym zadzwonił do innej legendy dziennikarstwa sportowego Włodzimierza Szaranowicza, bo to „mentor i współautor dziennikarskiego sukcesu Przemysława".

Szaranowicz, który w latach 2009-17 dyrektorował redakcji sportowej TVP, też nie ma ochoty na rozmowę: – Mogę panu dużo o Przemku opowiedzieć, ale dopiero wtedy, gdy sytuacja się uspokoi. Bo teraz mógłbym mu zaszkodzić, a tego najbardziej bym nie chciał. Ta sprawa zrobiła się straszna, polityczna. Przemek przeżył traumę. Groziło mu całkowite odsunięcie od igrzysk, choć tak się przygotowywał…

Kwestia tego przygotowania też jest przedmiotem sporu. Jak pisała w „Wyborczej" Maja Staniszewska, komentujący paryskie otwarcie Babiarz „mylił opisywane zabytki i postaci z francuskiej historii". Nie rozpoznał w zbrojnej postaci galopującej na mechanicznym koniu po Sekwanie patronki Francji i świętej Kościoła Joanny d'Arc, której prochy po śmierci wrzucono właśnie do tej rzeki. Nazwał ją „amazonką". „Nie podał również nazwisk wszystkich sportowców zapalających znicz".

– To czepialstwo – mówi A. – Amazonką można nazwać każdą kobietę na koniu; nikt też nie wymaga, by prowadzący audycję wymieniał literalnie wszystkich uczestników imprezy. Komentarz ma być ciekawy.

– I komentarze Babiarza takie są, bo on ma szerokie spojrzenie kulturowe… studiował teatrologię w Krakowie, a to coś znaczy – mówi mi Juliusz Braun, były poseł Unii Wolności i prezes TVP za rządów koalicji PO-PSL, szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji na przełomie lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych. – Dobrze, gdy prezenter ma pojęcie o czymś poza swoją dziedziną. A to właśnie wyróżnia pana Przemysława wśród dziennikarzy sportowych – jego olbrzymia erudycja i wiedza humanistyczna.

– Z tym oczytaniem i wiedzą Babiarza bym nie przesadzał – oponuje B., prasowy dziennikarz sportowy z 30-letnim stażem. – On raczej potrafi zgrabnie pływać pomiędzy wątkami, tu rzuci jakiś szczegół, tam inny, powstaje wrażenie, że wie wszystko o wszystkim. Bezsprzecznie zna się na sporcie, ale tu też jest problem: mnie jego styl komentowania drażni. Za bardzo wyfiokowany. Sport to nie sztuka Bóg wie jak wysoka. A on układa zdania niczym z kabaretu, jeszcze je w sposób fikuśny intonuje… Na siłę chce być oryginalny i ta fraza, ten aktorski zaśpiew… Wiem, że starsze panie kochają go słuchać. Natomiast muszę mu oddać, że ma niesamowitą pamięć. To przyznają też ci, którzy go nie lubią. Pamięta takie detale wydarzeń sprzed lat, że to jest aż szokujące. Umie przypomnieć sobie nazwisko i imię trzeciorzędnego zawodnika, który ostatni raz wystąpił przed dekadą.

– Kim są ci, „którzy go nie lubią"?

– Wbrew pozorom to nie są wyborcy lewicy czy przeciwnicy PiS. Babiarz nikogo prywatnie nie indoktrynuje. Nie narzuca się ze swoją religijnością, raczej z uprzejmością.

– Jego uprzejmość przyćmiewa wszystkie inne cechy – zgadza się Juliusz Braun. – Gdy spytać ludzi, jaki Babiarz jest, większość odpowie na pierwszym oddechu: sympatyczny.

– I właśnie na tym tle ludzie z branży mają do Babiarza, delikatnie mówiąc, stosunek różnorodny – ciągnie B. – Niektórych ta jego układność i dżentelmeneria wkurza.

●

Do tych osób należy dziennikarka polityczna C., która musiała odejść z publicznej telewizji w czasach „dobrej zmiany". – Zawsze mi się wydawał trochę nieszczery z tym swoim uniżeniem i przesadną grzecznością… trącił fałszem. Nadmierną familiarnością wobec nieznajomych. Coś mnie przed nim ostrzegało, choć żadnej przykrości z jego strony nie doświadczyłam, a ocieraliśmy się o siebie w pracy 10 lat z przerwami.

Współpracujący z Babiarzem redaktor sportowy D.: – Przemo jest wykształconym aktorem i to wykorzystuje. Tak gra sylwetką i twarzą, aby osiągać cele: głównie wzbudzać sympatię, bo to wiele ułatwia w telewizji publicznej, gdzie układy korytarzowe są ważne. Natomiast w środku Przema, jak podejrzewam, siedzi coś mrocznego, chociaż on powie oczywiście, że Jezus.

– Skąd to podejrzenie?

– Widziałem, jak traktuje ludzi, na których niekoniecznie musi mu zależeć. Tych prostych. Gościa, co ciągnie kable w studiu, ochroniarza. Już nie jest taki słodki, ugrzeczniony. Robi się chłodny i nie zauważa.

„Był najmroczniejszą postacią w redakcji sportowej Kurskiego" – zatweetował na temat Babiarza komentator sportowy serwisu Viaplay i współpracownik Eurosportu Szymon Ratajczak, który porównał Przemysława do Rafała Patyry, za rządów PiS prezentera „Teleexpressu" i programu „Dzień dobry, Polsko!". Dziś Patyra jest już pracownikiem Telewizji Trwam i TV Republika, a Ratajczak na prośbę o uzasadnienie krytycznej opinii o Babiarzu odpowiada za pośrednictwem Messengera: „Nie chcę już wracać do jego kwestii. Dla mnie filmik z dziupli zamyka sprawę".

Trzeba będzie ustalić, czym jest „dziupla", i odszukać rzeczony film.

●

8 stycznia 2016 r., piątek. W hallu budynku TVP przy Woronicza w Warszawie dziennikarze czekają na konferencję świeżo mianowanego prezesa Jacka Kurskiego. Ten – spóźniony – zjeżdża ruchomymi schodami z wysokiego piętra. Za jego plecami podwładni: Danuta Holecka (dziś w TV Republika), Anna Popek (też w Republice) i Przemysław Babiarz. Mają robić atrakcyjne tło.

Kurski mówi o nich: „wspaniali profesjonaliści", o sobie zaś: „Będę gwarantem niezależności i wolności telewizji publicznej od wpływów polityki". „Babiarz musiał na tę ustawkę zejść prosto z anteny, bo na policzku miał jeszcze ślad po plastrze od mikrofonu" – powie dzień później „Newsweekowi" jeden z dziennikarzy. „Odniosłem wrażenie, że został wpakowany w dwuznaczną sytuację. Niewykluczone, że go wzięli z łapanki".

– Zbyt wielkiej wagi do jego występu z Kurskim bym nie przywiązywał – uważa Juliusz Braun. – Ja też prowadziłem kiedyś konferencję prasową z Babiarzem u boku. Idea mogła być taka, że za prezesem stanęła dziennikarka od polityki, druga od rozrywki i Babiarz od sportu. Choć z innej perspektywy: był już rozpoznawalny jako gorliwy katolik, więc pewnie nie jest przypadkiem, że z obecnych w budynku wzięli akurat jego. Pasował do Kurskiego i redaktor Holeckiej, ustawił się z nimi bez wstrętu.

„Zaraz po konferencji zaczęły się domysły, że będzie nowym dyrektorem redakcji sportowej w miejsce Szaranowicza" – napisał „Newsweek". Z drugiej strony „pojawiły się komentarze, że to wstyd, że jak on mógł stanąć obok kogoś takiego jak Kurski… po konferencji Przemek chodził przybity".

– Bo zdążył się przyzwyczaić do tego, że i w sieci, i w pracy, i w knajpie, do której wchodzi, wszyscy mu kadzą – mówi mi dziennikarka C. – A tutaj nagle Przemka dotknął hejt ze strony przeciwników „Kury".

Redaktor D.: – W roku dwa-szesnastym nie było pewności, że PiS i Kurski będą rządzili osiem lat. Dlatego Przemo był smutny: że teraz go zaszufladkują i jak Kurski odejdzie, poleci razem z nim. Po ostatnich wyborach Holecka i Popek faktycznie wyleciały, on się utrzymał, ale też został skaleczony tym zawieszeniem. Jak pan słyszy, mam do Przema stosunek krytyczny, lecz karanie komentatora za opinie, nie bardzo zresztą kontrowersyjne, uważam za rzecz skandaliczną. Za działanie w stylu PiS à rebours. Więc dobrze, że się dyrekcja wycofała… a i Przemo postąpił mądrze, milcząc cały tydzień.

●

Przeprowadzona wczesnym popołudniem 1 sierpnia rozmowa między dziennikarzem a szefami – dyrektorem TVP Sport Jakubem Kwiatkowskim i Tomaszem Sygutem – trwała niecałą godzinę i „przebiegła w spokojnej atmosferze" (Fakt.pl). Nazajutrz telewizja wydała komunikat: „Strony wspólnie ustaliły, że fundamentalną regułą obiektywizmu i etyki dziennikarskiej jest oddzielenie informacji od subiektywnego komentarza. Obowiązuje to każdego reportera, prezentera czy komentatora. Powrót Przemysława Babiarza do relacjonowania paryskich igrzysk nastąpi w najbliższy piątek przy okazji transmisji zawodów lekkoatletycznych".

I rzeczywiście: od 2 sierpnia Babiarz znów komentuje paryskie zmagania sportowe. Przed wylotem do Francji zdążył jeszcze powiedzieć Onetowi i „Faktowi", że wychodząc z dywanika u dyrektorów, „najpierw poczuł ulgę, a potem wielką radość, że wraca do mikrofonu": „Cały czas mam też w sercu wdzięczność i zdziwienie, że tak wiele ludzi z różnych środowisk wyraziło mi swoje poparcie. Dostałem bardzo dużą liczbę wspierających mnie SMS-ów. Nawet od osób, które tylko przygodnie spotkałem. I od znajomych, i od moich przyjaciół. Wreszcie od rodziny, która bardzo, bardzo mnie wspiera: żony, syna, córki… Nie spodziewałem się, że aż tak wielu udzieli mi wsparcia".

Wśród „różnych środowisk" jest m.in. Radio Maryja (trzy audycje poświęcone Babiarzowi, który „skutecznie pilnuje ustawowo zapisanego przestrzegania wartości chrześcijańskich w TVP"); Konfederacja, której politycy zorganizowali sejmową konferencję prasową. Jest także prezydent RP, który ostrożnie stwierdził, że twórczość artystyczną – w tym wypadku piosenkę Lennona – „można interpretować na różne sposoby i nikt nie powinien tego zabraniać". Prezentera poparła była premier, obecnie europosłanka Beata Szydło, pisząc w serwisie X, że „Babiarz po prostu powiedział prawdę", jego zawieszenie zaś obnażyło „ideologiczne opętanie tej [obecnie rządzącej TVP] ekipy".

Za zawieszonym wstawił się też zastępca jego szefa, wicedyrektor TVP Sport Jakub Polkowski, który w tym samym serwisie stwierdził, że „sumienie i ludzka przyzwoitość nakazują mu zająć publiczne stanowisko w tej sprawie", nawet „ze świadomością konsekwencji, jakie się za tym kryją".

1 sierpnia (w imieniny Nadziei) zwolennicy prezentera wygrali, jednak zdaniem Kamila Dziubki – byłego dziennikarza TVP, dziś w Onecie – problem Babiarza pozostał: – Bo to nie tylko sprawa opinii o „Imagine" czy występu z Kurskim na jego inauguracji. Babiarz po 2015 r. występował w programach publicystycznych, gdzie wypowiadał się zgodnie z linią PiS. Prawdę mówiąc, byłem zdziwiony, że został w TVP po ostatnich zmianach.

Mógłby przejść za Holecką i Popek do telewizji Tomasza Sakiewicza, który – jak podał serwis „Wprost" – był gotów Babiarza przyjąć, i to za duże pieniądze: „Od dłuższego czasu kierownictwo Republiki uważało, że brakuje jakiegoś dobrego programu sportowego z gwiazdą. Afera z Babiarzem spadła im jak z nieba. Szykowano dla niego kuszącą ofertę i nikt nie zamierzał oszczędzać, bo Babiarz to marka sama w sobie".

– Teraz Sakiewicz musi obejść się smakiem – mówi dziennikarka polityczna C. – Zresztą nie wiem, czy przebiłby finansowo obecną Babiarzową gażę, która z tego, co słyszę, należy do lepszych w TVP.

– Ile wynosi?

– Na pewno ponad 250 tys. rocznie, nie licząc dochodów z dodatkowych zajęć.

Jakich? Na przykład półtora roku temu komentator prowadził z Anną Popek program „Wielki test o Lasach Państwowych", za które spółka kierowana przez Józefa Kubicę z Suwerennej Polski zapłaciła telewizji ponad pół miliona.

●

Pytany, gdzie Babiarz „wypowiadał się zgodnie z linią propagandy PiS", Kamil Dziubka podsyła mi fragment audycji „Świat się kręci" z 2016 r. W studiu Programu I TVP o reakcjach Brukseli na pierwsze pisowskie czystki w wymiarze sprawiedliwości i mediach dyskutują m.in. Renata Kim z „Newsweeka" i Cezary Gmyz z „Do Rzeczy". Na widowni Babiarz.

Gmyz chwali Przemysława za to, że cztery lata wcześniej – gdy stracił pracę w „Rzeczpospolitej" po tekście „Trotyl na wraku tupolewa" – komentator przyszedł na demonstrację wyrazić solidarność. Głos zabiera, a właściwie wyrywa się z ław publiczności, Babiarz. Dziwi go niepokój, jaki Komisja Europejska wyraża z powodu rozbicia Trybunału Konstytucyjnego i czyszczenia mediów publicznych z nieprzychylnych PiS redaktorów: – Nie było takiego zainteresowania, gdy wcześniej wyrzucano dziennikarzy i manipulowano składem Trybunału [za rządów PO-PSL]. Wtedy Europa nie pochylała się z troską, w tej chwili się pochyla. Bo różnica polega na tym, czy mamy w Warszawie [władze] lewicowo-liberalne, czy konserwatywne. To jest różnica ideologiczna, nie merytoryczna.

– OK, to są opinie Babiarza, wielu ludzi prawicy, nawet i z tytułami prawnymi mówiło, wtedy podobnie, nie mam z tym problemu – mówi dziennikarz B.

I tutaj dochodzimy do „filmiku z dziupli". Na początku lutego 2022 r., po długiej serii słabych wyników polskich skoczków narciarskich, Dawid Kubacki zdobył wreszcie medal – brązowy – podczas igrzysk w Pekinie. Jego skoki pokazywała TVP, która w tym czasie uzyskała od Discovery (właściciela Eurosportu i TVN) licencję na retransmitowanie najważniejszych występów polskich zawodników. Olimpijski konkurs komentowali – z rzeczonej „dziupli", czyli ciasnego pokoiku w warszawskiej redakcji TVP – Przemysław Babiarz i Stanisław Snopek, specjalista od sportów zimowych (podpisał apel o przywrócenie).

W salce pracowała kamera. Komentatorzy są nagrywani, aby realizator programu mógł zrobić na nich przebitkę, jak cieszą się ze skoków polskich narciarzy. I uchwyciła moment, gdy do pomieszczenia wszedł mężczyzna z kartką – zapewne kierownik produkcji. Położył między Babiarzem a Snopkiem wydruk z ręcznym dopiskiem „od prezesa i dyrektora Marka", wskazując ów dopisek palcem. „Prezes" to Kurski. Marek Szkolnikowski był dyrektorem TVP Sport.

Snopek przecząco pokręcił głową, Babiarz wziął głęboki oddech, ale odczytał wiadomość na antenie: – Z niezależnych od TVP powodów skoki nie cieszyły się ostatnio może wielkim zainteresowaniem, lecz wróciły do domu i od razu jest efekt.

„To był tekst sugerujący, że [gdy] transmisje skoków szły w konkurencyjnym TVN, medali i wygranych nie było" – napisał wówczas autor Wirtualnej Polski Szymon Jadczak.

Kurski zaraz po programie wrzucił wypowiedź Babiarza na swój twitterowy profil, opatrując słowami: „Sami Państwo widzieli, co się stało. Kiedy tylko skoki wróciły do Telewizji Polskiej, natychmiast przyszły sukcesy Polaków". I uśmiechnięta buźka.

Juliusz Braun, były prezes TVP:
Dobrze, gdy prezenter ma pojęcie o czymś poza swoją dziedziną. A to właśnie wyróżnia pana Przemysława wśród dziennikarzy sportowych – jego olbrzymia erudycja i wiedza humanistyczna

eprasa.pl a8fd4bb077

25 kwiecień 2016 r., poniedziałek. Przemysław Babiarz stoi przed kamerą w hallu budynku TVP, w tym samym miejscu, gdzie cztery miesiące wcześniej dawał tło prezesowi Kurskiemu. Udziela katolickim mediom wywiadu na temat krakowskich Światowych Dni Młodzieży, które odbędą się w lipcu i których jest ambasadorem. Porównuje je do planowanej na sierpień olimpiady w brazylijskim Rio de Janeiro.

– Są dwa punkty wspólne dla Dni Młodzieży i igrzysk olimpijskich. Pierwszą płaszczyzną jest młodość. Igrzyska zostały wymyślone jako spotkanie sportowej młodzieży z całego świata. A więc, po pierwsze, ze świata, po drugie, młodzieży, po trzecie – sportowej. Bo sportowcy bywają w różnym wieku, ale mimo wszystko mieszczą się w definicji człowieka młodego. Drugą płaszczyzną jest to, że powiew idzie z Ameryki. My na igrzyska jedziemy tam, natomiast Światowe Dni Młodzieży w poprzednich latach odbywały się właśnie w Ameryce Południowej. Więc zwroty są może przeciwne, ale gdzieś nad Atlantykiem kierunki się przecinają.

– Typowa dla Przemysława improwizacja – mówi mi E., jego dalszy, starszy o kilka lat znajomy spoza środowiska dziennikarskiego. – Mógłby z równą swadą dowodzić związków między olimpiadą a obrotami Marsa. Miał w życiu taki okres, gdy robił konferansjerkę na targach kiełbasianych i tego typu imprezach, więc starczy mu podrzucić wątek i jedzie gładko. Wszelkie dygresje umiejętnie doprowadza do końca, tu wplecie żart, tam coś wzruszającego, no i cały czas słodki uśmiech...

Babiarz dalej (i z uśmiechem): – Nie ma prawdziwego sukcesu bez wiary. Bo czymże jest sukces w życiu chrześcijanina? Może odnosić oczywiście sukcesy cząstkowe (...), jednak największym jest zbawienie, przedłużenie swego życia na wieczność. Nawet podchodząc do tego wyłącznie logicznie, nie włączając w to wiary, taka perspektywa chyba jest kusząca... Bo mamy wybór: życie, które na pewno się skończy, i szansa nie tylko na przedłużenie go w nieskończoność, ale i wieczne szczęście".

– Niewierzący raczej Przemka nie zrozumie – ciągnie znajomy E. – Dla ateistów to będą banialuki. Trzeba wierzyć, żeby usłyszeć, co on właściwie mówi. A powtarza prawdy fundamentalne, zarazem krzepiące. Ja jako chrześcijanin doceniam medialne apostolstwo, nawet i w pakiecie z jego przesadną złotoustością.

Babiarz dalej do kamery: – W dzisiejszych czasach, w których spiętrzają się różne konflikty wewnętrzne w sercu każdego człowieka i zewnętrzne, czyli konflikty społeczne, szybkim reagowaniem, karetką reanimacyjną, która może nas sprawnie uleczyć, jest miłosierdzie...

– Wszystko pięknie, tyle że w czasie, gdy rozprawiał o zbawieniu i miłosierdziu, PiS-owskie władze masowo wyrzucały dziennikarzy, a on nawet nie zakwilił – irytuje się C. – Spokojnie patrzył, jak pracę tracą Agata Młynarska, Michał Olszański, Maciej Orłoś, Dorota Wysocka-Schnepf, Jarosław Kulczycki, Justyna Dobrosz-Oracz...

– A czy te osoby protestowały, kiedy wcześniej PO wyrzuciła z mediów publicznych i PAP Jacka Sobalę, Krzysztofa Skowrońskiego, Wandę Zwinogrodzką, Michała Karnowskiego, Joasię Lichocką, Wojtka Cejrowskiego, Anitę Gargas i innych? – pyta mnie dziennikarka A., która wymienia tych nazwisk jeszcze więcej.

– Albo czy protestują teraz przeciw kompletnie nielegalnemu zwolnieniu dyscyplinarnemu Michała Adamczyka, Samuela Pereiry, Marcina Tulickiego albo Krzysztofa Ziemca? Przemek chodził w marszach w obronie usuwanych przez Platformę i nie spotykał wielu znajomych z pracy. Więc zamiast kpin z jego religijności niech pan pokaże symetrię sytuacji. Jarosław Marek Rymkiewicz napisał proroczo: „Co nas podzieliło – to się już nie sklei". To, że obecni szefowie z Woronicza odwiesili Przemka, nie oznacza, że wszystko jest w porządku.

•

Słynny niegdyś za sprawą twórczości, później z powodu wyrazistych opinii poeta i pisarz stworzył cytowany wiersz dedykowany Jarosławowi Kaczyńskiemu zaraz po śmierci jego brata. Jak mówią mi znajomi Babiarza, on również należy do tzw. ożywionych Smoleńskiem. Po 2010 r. zaczął komentować także uroczystości państwowe: zmiany warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza, święta 3 maja, 15 sierpnia, 11 listopada...

– Gdy w kwietniu na Krakowskim Przedmieściu zaczęły się czuwania przy krzyżu ze zniczów, robiliśmy wspólnie z panem Babiarzem, z panią Justyną Dobrosz i kilkoma innymi dziennikarzami relację na żywo – mówi mi F., operator kamery z TVP. – Ludzie oglądali nas 24 godziny na dobę. Wymyślane były różne patenty, żeby późną nocą czymś wypełnić program. Najczęściej sondy uliczne. Pan Babiarz podprowadzał do kamer jakichś dziwaków, którzy mieli na przykład obrazek z powieszonym na szubienicy premierem Tuskiem. W ogóle go to nie raziło, a nawet chyba cieszyło. Odniosłem wrażenie, że winą za katastrofę obarcza rząd.

Po latach prezenter powie serwisowi Fronda.pl, że przyczyny katastrofy smoleńskiej wciąż skrywa „mgła tajemnicy".

•

Choć Babiarz wygląda chłopięco, ma ponad 60 lat i jest najstarszym prezenterem w redakcji sportowej TVP.

Urodził się w 1963 r. w Przemyślu, w głęboko katolickiej rodzinie, która – jak powie serwisowi Pomponik.pl – nieraz doświadczała cudów Bożych. Dziadek ze strony ojca, żołnierz Legionów, po 1918 r. pracował na kolei, gdzie doznał poważnego wypadku. Zawieziono go do szpitala, lecz lekarze uznali obrażenia za śmiertelne i położyli pokiereszowanego na korytarzu, by umarł. Wtedy babka zaczęła się modlić przed domowym wizerunkiem Madonny. „Prośby zostały wysłuchane, dziadek wyzdrowiał w sposób zaskakujący dla lekarzy. A obraz do dziś jest w rodzinie i ma dla nas szczególną wartość" – opowiadał aktor prezenter. „Dziadkowie ze strony mamy też doświadczyli cudu...".

W trakcie II wojny ocaleli ze zbombardowanego domu, z którego ostała się jedynie przechowywana później przez dziesięciolecia figurka Matki Boskiej. Znaleźli schronienie w przemyskim klasztorze Karmelitanek. Ojciec Babiarza śpiewał tam potem w chórze i wciągnął do scholi syna. „Objaśniał mi wszystko, co jest związane z mszą świętą, z sakramentami, spowiedzią, różańcem".

Od podstawówki Przemysław dużo czytał. W domowej biblioteczce znalazł książkę o słynnej karmelitance, świętej Teresie z francuskiego Lisieux. Ta lektura – jak wyzna serwisowi od plotek – zmieniła jego życie: „Odtąd starałem się postępować zawsze zgodnie z prawdami wiary i na każdym kroku naśladować Chrystusa".

Przemyskie liceum imienia Słowackiego ukończył z doskonałymi ocenami. Występował w szkolnym teatrze, maturę zdał – w stanie wojennym – celująco. Jako 12-latek pierwszy raz zobaczył przyszłego papieża Jana Pawła II, który – jak twierdzi dziennikarz – odcisnął na jego życiu piętno nie mniejsze niż święta Teresa.

„W rodzinnym Przemyślu obchodzono 600-lecie diecezji... – mówił w wywiadzie telewizyjnym z kwietnia 2016 r. – Przybył metropolita krakowski Karol Wojtyła. Nikt nie przypuszczał, że miną trzy lata i zostanie głową Kościoła. Historia ruszyła w zupełnie innym tempie. Ja sam początkowo niezbyt głęboko rozumiałem nauczanie papieża, widziałem je raczej w perspektywie wielkiej konfrontacji Kościoła z systemem komunistycznym (...). Potem były kolejne pielgrzymki, w tym ta z 1999 r., w której uczestniczyłem już jako współkomentator poszczególnych czterech mszy papieskich, jako że byłem katolikiem, który wiedział, z jakich części składa się msza święta, bo w niej przynajmniej raz w tygodniu uczestniczyłem. Później mieliśmy postępujący proces starzenia się papieża, wreszcie śmierć w 2005 r. (...) i wtedy dopiero zacząłem wielokrotnie odsłuchiwać nagrane wcześniej homilie. I zauważyłem, że zaczynam je naprawdę rozumieć...".

•

Oprócz religii młodego Przemysława ożywiał sport. „Pasjonowałem się nim od najmłodszych lat, a zaszczepił to we mnie tata, który kupował sportowe gazety" – wspominał w rozmowie z jedną z nich w 2018 r. „Gdy jednak doszedłem do wieku, w którym trzeba wybrać kierunek studiów, absolutnie nie myślałem, by zostać dziennikarzem. Był rok 1982, więc dziennikarstwo oznaczało albo pisanie w podziemiu, albo pisanie, jak chce władza. W telewizji występowano w mundurach. Nie miałem takich marzeń. Poszedłem na polonistykę w Krakowie".

Dlaczego więc Braun – a także autorzy Wikipedii – podają, że studiował teatrologię? Babiarz w wywiadzie: „ [Po egzaminach] trzeba było wypełnić formularz, gdzie były dwie rubryki do wyboru: [polonistyka] nauczycielska i nienauczycielska. Obwiodłem kółkiem tę drugą (...). Okazało się, że przy drugiej opcji jest do wyboru teatrologia albo filmoznawstwo. Postawiłem na pierwszą możliwość".

W trakcie IV semestru zdecydował się zmienić teorię na praktykę i zdawać na oblegany wydział aktorski krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego. Choć o jedno miejsce ubiegało się ponad 30 kandydatów, udało mu się przejść selekcję. Po zaliczeniu dyplomu w 1989 r. poszukał zatrudnienia na drugim końcu Polski – w gdańskim Teatrze Wybrzeże.

W tym czasie był już żonaty (ślub oczywiście kościelny), miał też dziecko. Jego wybranka Małgorzata, również absolwentka aktorstwa PWST, przeniosła się do Trójmiasta z mężem i urodzonym dwa lata wcześniej synkiem. Krótko grała na tej samej scenie, co mąż, potem pracowała jako suflerka w Teatrze Miejskim w Gdyni. Gdy syn był jeszcze w wieku przedszkolnym, rodzice się posprzeczali – a w końcu postanowili rozejść. Przeszło 30 lat później Babiarz powie serwisowi Gwiazdy.wp.pl, że rozstanie było inicjatywą Małgorzaty. On podjął się unieważnienia sakramentu.

– Małgosia wychowywała syna i dobrze, by pan to zaznaczył, bo media powtarzają, że niby Babiarz opiekuje się dzieckiem z pierwszego małżeństwa. Chociaż zawsze utrzymywał z nim kontakt i był na tyle dobrym ojcem, na ile można być po rozwodzie: zabierał chłopaka na wakacje i regularnie płacił alimenty – mówi mi G., koleżanka Małgorzaty z Trójmiasta. – Potem Gosia wyszła drugi raz za mąż, ma dziecko, mieszkają w Gdyni. Jakiś czas prowadziła sklep z porcelaną, ale splajtowała. Wpadła po tym w depresję, ścigał ją komornik, teraz pisze recenzje teatralne do lokalnej gazety.

Wspomniana „Gazeta Gdańska" i jej internetowa odnoga – serwis Wybrzeze24.pl – to media bliskie PiS. Nikt tam nie chce dać wypowiedzi do „Wyborczej", nawet anonimowo. Ustalam tyle, że byłej żonie Babiarza udało się wygrać z ciężką chorobą, że bardzo zbliżyła się do Kościoła, a w trakcie zawieszenia eksmęża uświadamiała znajomym, że on ma rację w kwestii „Imagine „, bo to manifest permisywizmu.

– Złość na Przemysława zupełnie jej przeszła – podsumowuje G.

•

Babiarz w rozmowie z „Przeglądem Sportowym" z listopada 2018 r.: „ [W Teatrze Wybrzeże] niespecjalnie mi się wiodło, nie grałem głównych ról. No, może poza jedną bajką Lucyny Legut pod tytułem »Jacek Rozróba«. Odtwarzałem tytułową postać, co niekoniecznie oznacza, że byłem głównym bohaterem, bo czasami się zdarza, że rola jest tytułowa, ale nie główna".

– Ze względu na aparycję wiecznego chłopczyka grał niemal wyłącznie w spektaklach dla dzieci – opowiada G. – Najdłużej chyba w „Ani z Zielonego Wzgórza". Z tego, co mi kiedyś opowiadała Gosia, wiem, że był sfrustrowany. Aktor po Krakowie musiał wywijać fikołki przed szkolną dziatwą, która zaliczała na wycieczce teatr, zoo, „Dar Pomorza" i molo w Sopocie. Wreszcie dyrekcja nie przedłużyła mu angażu.

Po latach Babiarz powie w TV Republika, że w zwolnieniu dostrzega palec Boży.

Było tak: dostał wypowiedzenie z trzymiesięcznym terminem i zaczął przeglądać oferty zatrudnienia. Kiedy przeczytał o naborze na komentatorów prezenterów w Naczelnej Redakcji Sportu i Rekreacji TVP, pojechał do Warszawy.

Wywiad z listopada 2018: „ [Wysiadłem] na Dworcu Centralnym, kupiłem »Przegląd Sportowy« i ruszyłem piechotą na Woronicza. Miałem plan miasta i zapas czasu, więc postanowiłem nie korzystać ani z tramwaju, ani z autobusu". Poszedł na Mokotów piechotą wzdłuż torów tramwajowych, odpoczywając na ławkach, by poczytać „Przegląd". A nuż zapytają o aktualne wyniki?

Nie pytali. Trzeba było natomiast zdać test z ogólnej wiedzy o sporcie i znajomości

„Władza wie, że w gmachu TVP jest nadal wiele osób, które – tak jak on – popierają opcję konserwatywną. Ponieważ wiedzą, że wszystkich nas z TVP nie wyrzucą, czekali na taki pretekst, jaki dał im Przemek, by pokazać dobitnie, kto rządzi i jakie poglądy należy prezentować"

eprasa.pl a8fd4bb077

reguł języka polskiego, co poszło znakomicie. Kolejny etap: komisja konkursowa.

„Bohdan Tomaszewski [nestor polskich komentatorów sportowych] dał mi za zadanie skomentowanie zawodów sportowych, posługując się jedynie wyobraźnią" – powie w rozmowie z „Przeglądem": „Wybrałem finał biegu na 100 m z igrzysk olimpijskich z Seulu [1988 r.] z udziałem Bena Johnsona, Carla Lewisa, Linforda Christiego i Calvina Smitha. Przedstawiłem ich wszystkich, mając pod powiekami obraz tamtego biegu, skomentowałem rywalizację. Po czym pan Bohdan zapytał, czy zdaję sobie sprawę z tego, że cały czas się uśmiecham".

Niespełna 30-letni kandydat znalazł się w gronie 10 szczęśliwców z przeszło setki. Razem z nim nabór przeszedł późniejszy kolega z „dziupli" Stanisław Snopek. Po krótkim przeszkoleniu Babiarz dostał do prowadzenia program „Sportowa Sobota".

„Akuszerem mego debiutu był redaktor Włodzimierz Szaranowicz. Pamiętam, że przyszedłem [do studia] w marynarce z Mody Polskiej, z której byłem dumny. A Szaranowicz mówi: Nie, proszę pana, jest przecież lato, ta gruba marynarka nie pasuje, niech pan ją zdejmie. Wystąpiłem więc w samej koszuli" („Przegląd Sportowy" 2018).

Latem 1992 r. Babiarz komentował już igrzyska w Barcelonie, dwa lata później zimowe w norweskim Lillehammer. Ze studia w Warszawie. „Relatywnie długo czekałem na pierwszy wyjazd zagraniczny. Zwłaszcza w porównaniu z tym, co teraz się dzieje: dziennikarze przychodzą do redakcji i po pół roku jadą w delegację. Mnie po raz pierwszy wysłano dopiero wiosną 1995 – na halowe mistrzostwa świata do Barcelony. [Wtedy już czułem, że] dziennikarstwo sportowe to dla mnie zawód optymalny. Miałem pewne przygotowanie aktorskie, zarówno co do głosu, panowania nad sobą czy przyzwyczajenia, że jest się oglądanym przez dużą liczbę ludzi, a prócz tego byłem na odpowiednim poziomie merytorycznym, bo pasjonując się sportem, znałem wiele faktów z jego historii. [Choć później] okazało się, że to mało i trzeba się było douczać".

●

Nim jeszcze aktor został pełnoprawnym gospodarzem programów TVP, dorabiał m.in. dubbingiem, incydentalnie występował także w Teatrze Telewizji – zwykle w trzecioplanowych rolach. Jedną z nich była postać Dziennikarza w spektaklu „Prezydent", który wyreżyserował w 1995 r. obecny europoseł Grzegorz Braun. Poza tym Babiarz zarabiał jako mówca motywacyjny i wodzirej w całym kraju. W trakcie targów spożywczych w stolicy poznał drugą żonę – Marzenę, tłumaczkę hiszpańskiego, która pracowała przy sąsiednim stoisku.

W 1992 r. przyszła na świat ich córka. Ślub cywilny wzięli jednak dopiero w 1998 r., gdy Przemysław uzyskał unieważnienie pierwszego małżeństwa bądź zrezygnował z zabiegania o „kościelny rozwód" (wielokrotnie pytany, nigdy tego nie wyjaśnił). Suknię ślubną Marzeny – białą bez ramion, z kapelusikiem i woalką – zaprojektowała legendarna scenografka Xymena Zaniewska.

Po 2007 r., gdy prezenter wziął udział w show TVP „Gwiazdy tańczą na lodzie" i media zaczęły go traktować jako celebrytę, wiele pism – od plotkarskich po katolickie – pytało o oba małżeństwa. Odpowiedzi najczęściej dotyczyły drugiego związku. Przykład: „Marzena to kobieta na całe życie. Gdyby jej kiedyś zabrakło, nie szukałbym żadnej innej. Wierzę, że po tamtej stronie będzie nam dane być razem" (miesięcznik „Ludzie i Wiara").

Jedna tylko wypowiedź, dla katolickiego serwisu Opoka, odstaje od pozostałych. „Ktoś może mi zarzucić, że mam drugą żonę i żyję z nią w związku niesakramentalnym. Odpowiadam na to, że popełniłem w życiu pewien błąd. Nie nazywam go moim prawem ani wolnością, ale właśnie błędem. Jego konsekwencje wciąż zresztą ponoszę – nie mogę przyjmować sakramentów. Z drugiej strony absolutnie nie nawołuję do tego, by Kościół akceptował rozwody, nie narzekam też, że podchodzi zbyt rygorystycznie do procedury stwierdzania nieważności małżeństw".

●

W roku ślubu z Marzeną prezenter zadebiutował u boku Szaranowicza jako główny komentator otwarcia zimowych igrzysk w japońskim Nagano. Rok później opuścił na krótko TVP skuszony perspektywami w kanale Wizja Sport należący ówcześnie do amerykańskiej sieci E! Entertaiment i polskiej UPC, ale transfer okazał się pomyłką. W 2001 r. był już z powrotem w TVP, gdzie współprowadził poranne „Pytanie na śniadanie" i „Kawa czy herbata?", dalej „Sport telegram", wreszcie teleturnieje „Giganci historii" i „Va Banque".

Jako spec od łyżwiarstwa, narciarstwa i lekkoatletyki jeździł na kolejne igrzyska, m.in. w Atenach, Turynie, Pekinie, Londynie, Rio de Janeiro, Tokio i Soczi. Zaliczył w roli komentatora 14 edycji lekkoatletycznych mistrzostw świata (od Aten 1997 do Budapesztu 2023) i osiem mundiali (od 1994 do 2022). A w 2018 r. zaśpiewał w Opolu.

Redaktor D.: – On jest szalenie pracowity. Reprezentuje wywodzącą się z lat 90. kulturę zapierdolu w dobrym tego słowa znaczeniu. Nie jest dla niego problemem ani wstać o czwartej rano, ani pracować po północy, ani w weekendy. Nigdy nie słyszałem z jego ust narzekania, że jest zmęczony czy że go coś boli.

Sam Babiarz wyznał „Przeglądowi Sportowemu", że bywa znużony: „Człowiek szalenie się mobilizuje na wielkie wydarzenia, na przykład mistrzostwa świata w piłce nożnej. Wtedy nie przeszkadza mi, że są codziennie trzy mecze. Pasjonuję się nimi. Ale jeśli tuż po tym turnieju reprezentacja Polski gra jakieś towarzyskie spotkanie, to ja nie mam siły. Podobnie na Ligę Mistrzów, w której jedna wielka firma gra z drugą dużą korporacją. Komentator emituje z siebie emocje, potem pracuje jeszcze adrenalina, człowiek jest w pewnej euforii, aż w końcu sytuacja się normuje. A później od nowa cały proces. Trzeba umiejętnie gospodarować cukrem, czyli tym, co dostarcza energii do koncentracji i panowania nad emocjami. Cukier się szybko wyczerpuje, więc trzeba mieć przy sobie coś, co pomoże podczas długiej transmisji. Włodek Szaranowicz roztapia miód w butelce wody, którą sobie potem wspólnie popijamy. Bo jeśli przegapi się moment, w którym spadnie cukier, człowiek zaczyna się najzwyczajniej mylić. Natomiast alkoholu przed transmisją pić nie można. Sprawdziłem to jeszcze kiedyś w teatrze – grało mi się fatalnie w takim stanie".

– Jeżeli ma jakiś nałóg, jest nim pracoholizm – kwituje D.

●

Chyba ma rację, bo oprócz ambasadorowania Światowym Dniom Młodzieży Babiarz angażował się w wiele innych pracochłonnych przedsięwzięć – pro publico bono. Współorganizował akcję Caritas „Szlachetna paczka" i drugą – „Cała Polska czyta dzieciom". W 2015 r. u boku kolegi dziennikarza Krzysztofa Ziemca wspomagał projekt Krucjaty Młodych „Nie wstydzę się Jezusa" polegający m.in. na noszeniu breloków z tym hasłem. Promował chrześcijański portal matrymonialny Przeznaczeni.pl. i występował z prelekcjami z cyklu „Akademia liderów" w stołecznym ośrodku Opus Dei przy Filtrowej. – Zrobił przychodzącym do nas studentom warsztaty z retoryki – mówi mi profesor UW Adam Szafrański, kierownik ośrodka, który „za pierwszego PiS" na początku stulecia prezesował Urzędowi Regulacji Energetyki. – Polecił każdemu chłopakowi, by się krótko przedstawił z jak najlepszej strony. A potem bez lukrowania ocenił. Byliśmy pod wrażeniem tego, jak dużo umiał powiedzieć o każdym, wysłuchawszy jedynie 30-sekundowej autoprezentacji. Uważam go za doskonałego profesjonalistę o wielkiej kulturze osobistej.

W 2017 r. zdominowana przez prawicę rada miejska Przemyśla, gdzie komentator prowadził wcześniej współorganizowaną przez Bractwo św. Łazarza imprezę biegową, przyznała mu honorowe obywatelstwo. Laudację wygłosił prezydent Robert Choma: – Pan Przemysław Babiarz jest obecnie najbardziej rozpoznawalną przemyską twarzą w Polsce, doskonałym ambasadorem Przemyśla. Może stanowić przykład, jak osiągając wiele, nie zapominając jednocześnie o swoich korzeniach.

Przemyski honor uwieńczył serię nagród – rok wcześniej prezenter odbierał Złotą Telekamerę oraz tytuł Mistrza Mowy Polskiej. W tym drugim, popularnym plebiscycie pokonał m.in. kolegę po fachu Artura Orzecha i uwielbianego przez publiczność księdza Adama Bonieckiego.

●

Pasmo sukcesów przerwała choroba. Wiosną Babiarz znalazł się na dłużej w szpitalu. Przyczyny mediom nie zdradził, ale musiał odejść z programu „Va Banque". Gdy wydobrzał, powiedział Onetowi, że zaczyna przygotowania do paryskich igrzysk.

Komentuje je ponownie od 2 sierpnia. Po wejściu na antenę zawiódł jednak tych, którzy liczyli na to, że „odniesie się" do zawieszenia. I daje się wyczuć, że uważa na słowa. Już pierwszego dnia, kiedy relacjonował bieg na 800 m kobiet i zwrócił uwagę na zawodniczkę pod flagą palestyńską, zaczął tak: – [Layla] Almasri z Palestyny, kraju na pewno w tej chwili… kraju, no… – tu zrobił przerwę, by zmienić kierunek wypowiedzi – …w każdym razie kraju, który jest w niełatwej sytuacji, odbiegająca poziomem od pozostałych zawodniczek, ale honorowy start, udział w igrzyskach – to się liczy.

„Nie ulega wątpliwości, że chciał powiedzieć coś innego. Być może zwrócić uwagę na ludobójstwo, jakiego w Palestynie dokonują Żydzi" – napisał w artykule „Polowanie na Przemysława Babiarza" autor serwisu Polonia Christiana ukryty pod skrótem „tg". „Tego jednak się nie dowiemy, ponieważ Babiarz ugryzł się w język, nie dając tym samym środowiskom lewicowo-liberalnym nowego powodu do ataku". ●

REKLAMA

Kraj/34330132

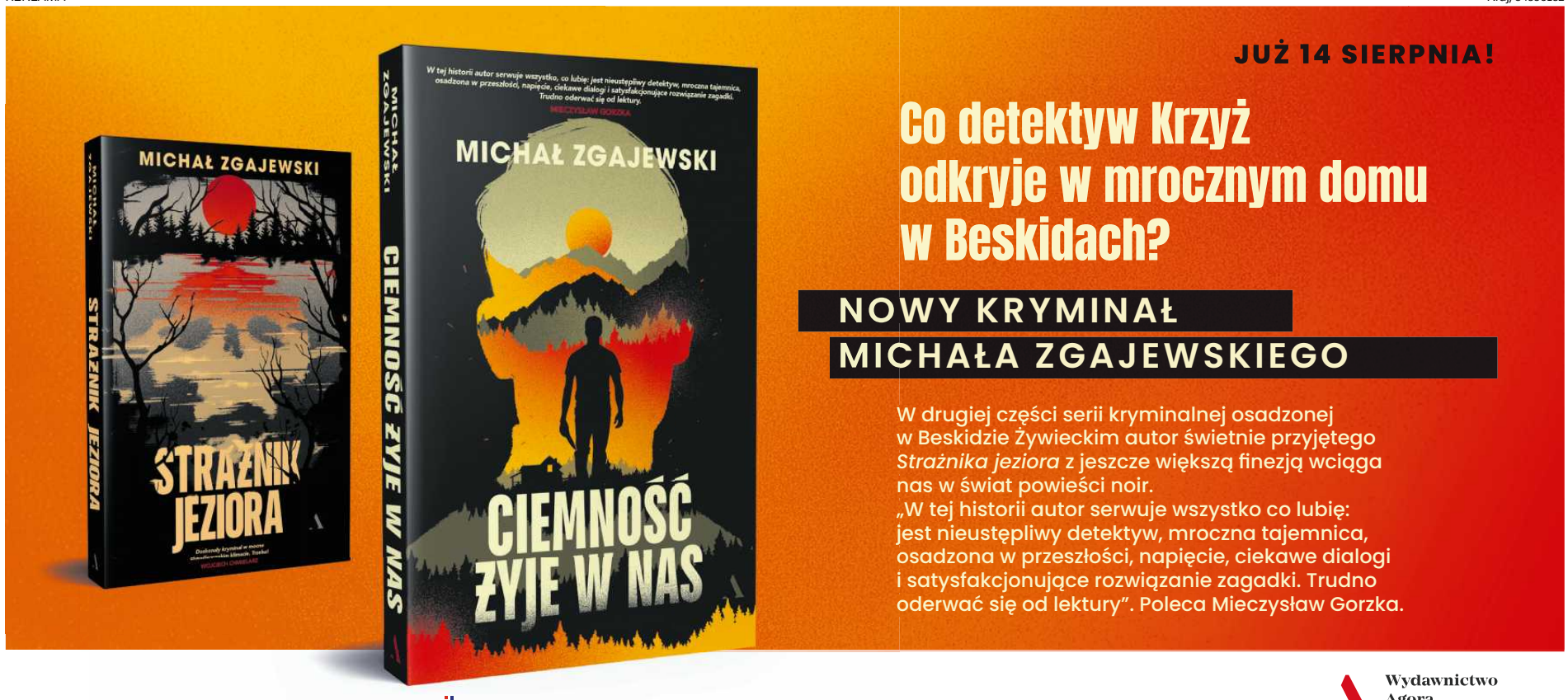

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

Czy świadek Konopnicka pogrąża KRASNOLUDKI?

Czy krasnoludki mogły powoływać się na stan wyższej konieczności z myślą o przyszłej populacji Polaków?

Z **WITOLDEM KULESZĄ**
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

WOJCIECH SZOT: Czy krasnoludki istnieją?
WITOLD KULESZA*: Oczywiście! Choć – jak to przedstawił Koszałek-Opałek – „gdy zaczęły dzwony z wież kościelnych bić", musiały się skryć pod ziemią. W polskim kodeksie karnym napisano jednak, że zakazane jest ograniczanie człowieka w jego religijnym wyznaniu. Zatem należałoby stworzyć warunki, w których krasnoludki będą mogły wyjść spod ziemi i zamieszkać w ludzkich siedzibach zgodnie z pradawną zasadą: „Każda chata ma swego Skrzata".

To prawo zwyczajowe, które powinno być współcześnie respektowane.
JAN KULESZA:** Nasza wiedza o krasnoludkach pochodzi ze źródeł pisanych. W książce „Koszałki-Opałki, czyli prawo karne w bajkach" cytujemy Oskara Kolberga, który już w 1882 roku pisał: „Już dawno nie widziano krasnoludków, toteż bieda, niedostatek i ucisk co dzień się powiększa". Niestety, krasnoludków bezpośrednio zaobserwować już nie można, natomiast ślady ich działalności można identyfikować, jeżeli przypiszemy je krasnoludkom. Szczególnie cenna jest relacja świadka Marii Konopnickiej oraz przytoczone przez nią sprawozdanie Koszałka-Opałka.

Jako prawnicy specjalizujący się w prawie karnym na podstawie tej relacji, uzupełniając ją o kilka innych dokumentów, jak choćby historie zanotowane przez braci Grimm, postanowiliśmy się przyjrzeć czynom karalnym, których dopuściły się lub mogły się dopuścić krasnoludki.

Piszą panowie, że również inne instytucje związane z prawem zwyczajowym krasnoludków powinny być respektowane. I to nie tylko w odniesieniu do krasnoludków.
W.K.: Materiał źródłowy jest dosyć skąpy. Zatem mogły wystąpić pewne błędy, ale wydaje się, że polską tradycją są małżeństwa osób tożsamych płciowo. Element tradycji z nieznanych przyczyn nieprzełożony na system prawny. Luka w prawie. Podajemy dosyć obszerne uzasadnienie, w którym odwołujemy się do prawa rzymskiego, dlaczego narusza ona podstawowe zasady systemu prawa.

Według relacji świadka Marii Konopnickiej krasnoludki mają czerwone kapoty, kaptury, brody i z wyglądu są jak ludzie. O tym, że są mężczyznami, świadczą męskie imiona. Nie wiemy, jak powiększała się populacja krasnoludków, ale to nie jest istotne w tym przypadku.

Konopnicka w relacji opisuje, że w jamce pod ziemią doszło do wspaniałego ślubu jednego krasnoludka z drugim. Co prawda nazywa go „panną młodą", ale skoro wszystkie krasnoludki to mężczyźni, możemy założyć błąd świadka. Zatem mamy do czynienia

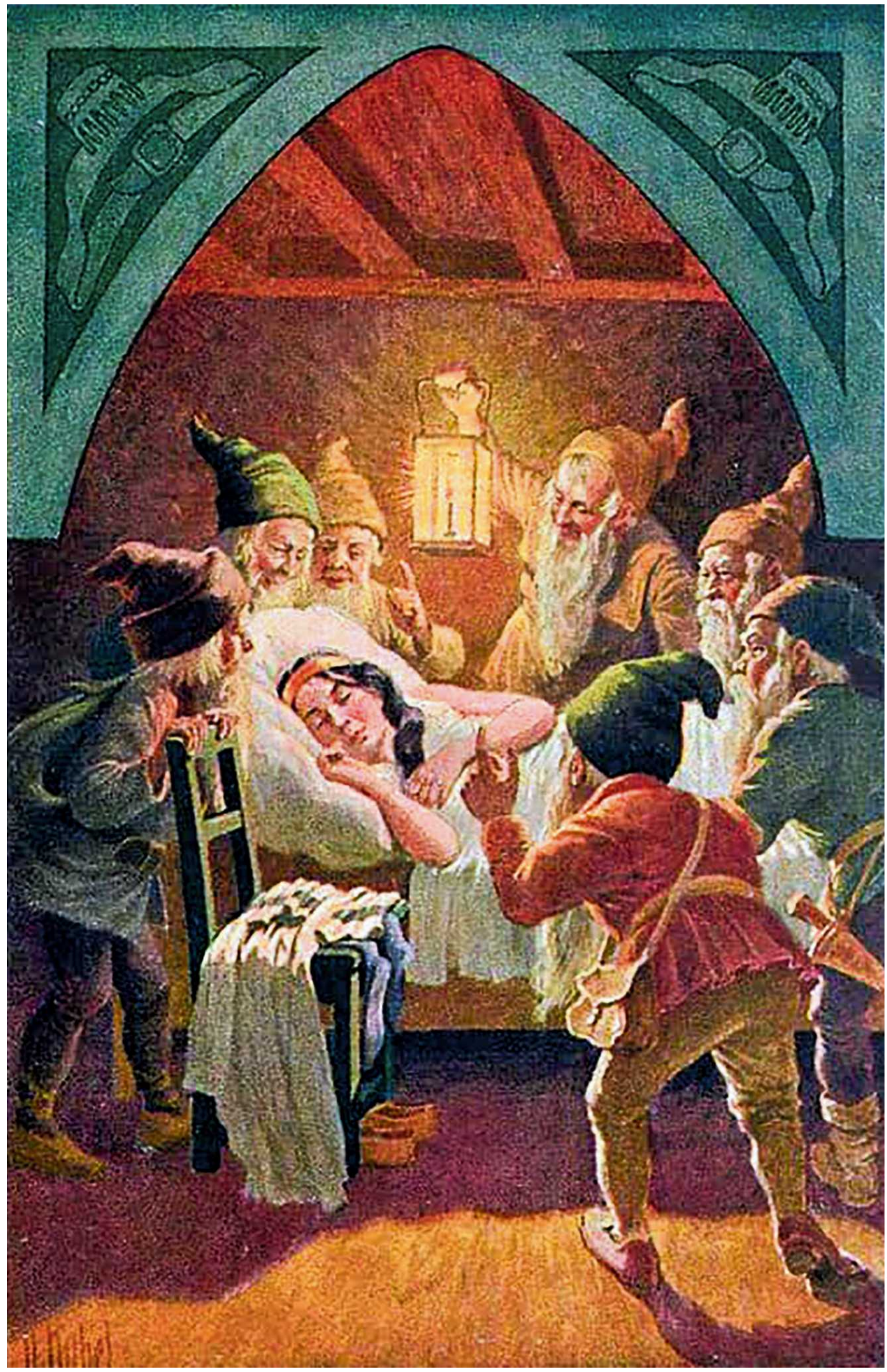

FOT. DOMENA PUBLICZNA

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

ze ślubem dwóch, a nie dwojga krasnoludków. W tej sytuacji, zwłaszcza gdyby krasnoludki wyszły z podziemi, trzeba by przyjąć ich zwyczajowe prawo jako prawo obowiązujące powszechnie. Paulus w „Digestach" pisał: „Vetustas semper pro lege habetur", a więc „długotrwała tradycja zawsze uchodzi za ustawę".

Z nieznanych przyczyn takie małżeństwo nie ma jeszcze ram prawnych, ale – jak wykazuje mój współautor Jan Kulesza – nic nie stoi mu na przeszkodzie, wynika ono z podstawowych zasad prawa rzymskiego, które mówią o równości. Do tego dochodzi jeszcze cała nadbudowa socjologiczna. „Amor omnibus idem", „miłość dla wszystkich jednaka", pisał Wergiliusz, i tym cytatem kończymy rozdział poświęcony temu zagadnieniu.

Jednocześnie czytelnicy powinni mieć na baczeniu, że nie wszystkie zjawiska ze świata krasnoludków ocenilibyśmy tak pozytywnie.

W.K.: W relacji Koszałka-Opałka występuje wstrząsający wątek natury kryminalnej.

W przypadkach gdy matki okazywały się niefrasobliwe i zaniedbujące zarówno gospodarstwo, jak i dziatwę, krasnoludki wkraczały do akcji. Porywały zaniedbywane niemowlęta i przenosiły je pod ziemię, do swego królestwa. Tam otaczały je opieką, ale jednocześnie – gdy osiągnęły odpowiedni wiek – zmuszały do służby. Z punktu widzenia prawa karnego jest to oczywiście porywanie niemowląt i zamiana ich statusu na niewolników służących krasnoludkom. To zbrodnia.

Zastanawiamy się, czy krasnoludki mogą się powoływać na to, że troszczyły się o przyszłość populacji Polaków. Co prawda, uprowadzamy je z domostw, ale stwarzamy im warunki rozwoju – mogły myśleć krasnoludki.

Czy zatem mogły się powoływać na stan wyższej konieczności z myślą o przyszłej populacji Polaków? Otóż nie. Stan wyższej konieczności dotyczy sytuacji, w której uchyla się niebezpieczeństwo grożące w danym okresie. Nie można zatem porywać dzieci z myślą o przyszłości ich czy kraju. Z tego względu, że one są pokrzywdzone w chwili czynu uprowadzenia.

Przeciwko stanowi wyższej konieczności przemawia również wstrząsająca historia Jaśka uprowadzonego spod opieki matki. Krasnoludki zobaczyły, że „drzwi otwarte, gospodyni nie ma, prosięta po kątach ryją, a dziecko w kołysce płacze". W miejsce porwanego „swego Podziomka, brodę mu pięknie zgoliwszy, w kolebkę włożyli".

Jasiek, jakkolwiek zwrócony ostatecznie matce, wykazywał następnie cechy co najmniej nieprzystosowania społecznego. Koszałek-Opałek pisze, że „zawsze dziki był, od ludzi uciekał", a ci go „mieli za głupiego". Można powiedzieć, że doszło do ciężkiego uszczerbku na zdrowiu pokrzywdzonego.

O tej historii trzeba mówić również jako o przesłaniu dla rodziców. Jeżeli dziatwa nie jest otaczana należytą opieką, trzeba liczyć się z tym, że wyrządza się krzywdę, jak w przypadku Jaśka, nienaprawialną. Choć już krasnoludki takich dzieci nie porwą i nie zastąpią krasnoludkowymi podrzutkami, to brak należytej opieki sprawi, że dzieci staną się niezdolne do nawiązywania pożądanych kontaktów w społeczeństwie i mogą znaleźć się w sytuacji Jaśka.

J.K.: Jeżeli pan redaktor pyta o stałą działalność przestępczą krasnoludków, czyli nie o jednorazowe zachowania, to zdecydowanie takim było puszczanie w obieg sfałszowanych pieniędzy.

Przypomnijmy, na czym polegał ten proceder.

J.K.: Zgodnie z relacjami śmieci wyniesione na powierzchnię z Kryształowej Groty zamieniały się w pieniądze. Krasnoludki wprowadzały je do obiegu poprzez darowiznę dla ubogich. Jest to jeden z klasycznych sposobów prania brudnych pieniędzy, czyli pochodzących z czynu zabronionego. Krasnoludki robiły to stale, gdy uznały, że trzeba kogoś wspomóc. Niestety, tutaj również nie zadziała stan wyższej konieczności, czyli nie da się uchylić odpowiedzialności karnej.

Pozostałe czyny, które opisujemy, zdarzały się sporadycznie.

Co wśród nich?

W.K.: Zamach stanu czy wpływanie na polską historię w postaci uśmiercenia Popiela. Według Koszałka-Opałka to nie myszy, ale przebrane za nie krasnoludki poturbowały go na śmierć.

Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdyby Popiel nie został usunięty. Może w ogóle nie byłoby chrześcijaństwa na tych ziemiach? Ale to już nie są rozważania karnistyczne. Nas interesowała kwestia zamachu stanu, którego dopuściły się krasnoludki.

Zaciekawiło mnie w tej sprawie to, że sprawiedliwość zawsze jest po stronie zwycięzców.

J.K.: Proszę jednak zwrócić uwagę na to, że krasnoludki nie były beneficjentami zmiany. One były tylko karzącą ręką sprawiedliwości, ale nie objęły potem władzy. To więc tym bardziej interesujący przypadek – rzadko się zdarza, by osoba, która usuwa panującego, nie przejmowała władzy, czyli działała rzeczywiście pro bono, nie odnosząc z tego żadnych korzyści. Długofalowo można nawet powiedzieć, że zabicie Popiela zadziałało na niekorzyść krasnoludków.

W.K.: W komentarzach prawników karnistów do przestępstwa zamachu stanu zwraca się uwagę na to, że kodeksy karne opisują czyn zamachu stanu jako dokonywany na etapie usiłowania. Znaczy to, że karze się sprawców zamachu stanu za usiłowanie jego dokonania, ale faktycznie tylko wtedy, gdy zamach się nie powiódł.

Jeżeli zamach stanu się uda, piszą autorzy, to prawo karne oddaje się posłusznie w ręce tych, którzy udany zamach przeprowadzili. Nie będą zatem sami siebie – jako ci, którzy dokonali z sukcesem obalenia władzy – ścigać prawno-karnie za to, co uczynili.

Prawo karne w przypadkach udanego zamachu stanu przestaje działać. Dlatego też pisze Koszałek-Opałek, że zamach stanu został dokonany poprzez uśmiercenie Popiela z konieczności. Nie było innego wyjścia, wynika z relacji. Niczego jednak nie mówi Koszałek-Opałek o odpowiedzialności za jego dokonanie.

Zostawiamy czytelnikom do przemyślenia tę sytuację.

J.K.: Na stronie 24 naszej książki sformułowaliśmy definicję sprawiedliwości sędziowskiej. „Sprawiedliwość sędziowska to umiejętność naprawy ubytku moralnego, wyrządzonego czynem przeciwnym ustawie, oparta na zasadach akceptowanych przez wszystkich rozsądnych ludzi, respektująca równość obywateli w obliczu prawa, urzeczywistniająca się w procesowym orzeczeniu niezawisłego i bezstronnego jurysty". Sędzia powinien być sprawiedliwy niezależnie od tego, jakie jest oczekiwanie władzy. Bo – jak piszą Heindl i Schambeck – „król, który dziś rozkaże sędziemu dokonanie niesprawiedliwości, może go jutro postawić przed sądem za to, że był mu posłuszny".

W.K.: Jednym z zagadnień badawczych, którym się zajmujemy, są zachowania sędziów i prokuratorów w systemach totalitarnych, czyli w okresie narodowego socjalizmu, rozliczeń po III Rzeszy, w PRL, aż po dzień dzisiejszy, czyli rozliczenia sędziów, prokuratorów, którzy orzekali do 1989 roku w procesach politycznych.

Wszystko zależy od tego, jak te narzędzia prawne będą stosowane. Ewentualny grzech nie leży w przepisach prawa, tylko po stronie osoby, która albo podąży za tą definicją, albo nie. Czy będzie to prawnik zawsze gotowy służyć każdej kolejnej władzy, niezależnie od tego, jaka jest tej władzy narracja. Ale to już zupełnie niebajkowy wątek.

Dobrze wyjść poza bajkę.

W.K.: W tym, o czym mówi mój współautor Jan Kulesza, mieści się wątek, który przedstawiają współcześni niemieccy autorzy jako wynik ich dociekań nad problematyką sprawiedliwości. Sprawiedliwości widzianej zwłaszcza przez pryzmat niesprawiedliwości przeszłości. W tym wątku jawi się jako myśl przewodnia teza, że nieosądzenie po wojnie prawników, którzy urzeczywistniali bezprawie III Rzeszy, wynika z pewnej cechy zawodu prawnika.

Mianowicie prawnicy przez swoje wykształcenie w duchu pozytywizmu prawniczego, czyli stosowania prawa takiego, jakim ono jest, stają się technikami władzy. Służą swoją wiedzą przy przekształcaniu woli rządzących w ustawy. Bez prawników rządzący nie są w stanie swej władzy urzeczywistnić.

Co się jednak dzieje, gdy zmienia się władza? Prawnicy, którzy służyli totalitarnej władzy, cytuję za Janem Kuleszą, „z niezmąconą samoświadomością dostosowali się do nowych warunków". Bez obawy czy wyrzutów sumienia, że oferują nowej władzy urzeczywistnianie jej woli, mimo że to wola diametralnie różniąca się od tej, którą urzeczywistniali w okresie panowania starej władzy.

Żeby mechanizm oddawania się do dyspozycji nowej władzy działał sprawnie, prawnicy muszą zapewnić sobie nieodpowiedzialność za to, co uczynili dla władzy właśnie pokonanej. Muszą zapewnić sobie nieodpowiedzialność za czynienie bezprawia w przeszłości, bowiem od tego zależy ich obecny status. Władza także przemilcza grzechy prawników, bo ich potrzebuje.

Dlatego też Jan Kulesza buduje owo pojęcie sprawiedliwości sędziego, żeby pokazać fałsz postaw prawników, którzy uważają siebie samych za wolnych od odpowiedzialności za wyrządzone w przeszłości zło.

To aluzja do współczesności?

W.K.: Panie redaktorze, my niczego nie sugerujemy. Czytelnik sam oceni. My patrzymy na stulecia historii, a nie na bieżące wydarzenia.

Który z panów słucha Dody?

J.K.: Nie mam wyjścia. Przyznaję się.

Proszę zauważyć, panie redaktorze, że wiele stawianych przez nas pytań pozostaje bez jednoznacznej odpowiedzi. Choćby kwestia uśmiercenia Smoka Wawelskiego przez Szewczyka Dratewkę

Pytam, bo znalazłem w Waszej książce przypis do utworu D. Rabczewskiej „Nie daj się".

J.K.: Jest ona dosyć głęboko zanurzona w wątkach kulturowych. Ich źródła znajdują się częściowo w pokoleniu seniora, częściowo w moim. A ja czerpię ze wszystkiego, co mnie otacza. Więc jeżeli mogę zacytować, mając przy tym trudny do ukrycia ubaw, Dorotę Rabczewską – robię to.

Czy senior czytał juniorowi bajki?

W.K.: Oczywiście. Najchętniej Gustawa Morcinka o utopcach, które mogą zamienić dzieci pozbawione rodzicielskiej opieki. Na to, że dziecko zostało podrzucone przez utopce, mogła wskazywać zbyt daleko idąca asertywność przechodząca w jego krnąbrność. W takich przypadkach oddziaływanie wychowawcze rodziców miało charakter prewencyjny przed zarzutem, że dziecku brakuje kindersztuby.

Sam też byłem wychowywany na baśniach. Mama czytała mi „O krasnoludkach i o sierotce Marysi". Jednak to utopce, ponieważ były przedstawione w zewnętrznej szacie mniej sympatycznie aniżeli krasnoludki, jawiły mi się jako mające przez swe osobowości i czyny moc silniejszego oddziaływania.

Zadziałało?

J.K.: Jak widać... Dziecko zostało wychowane.

To ładne zdanie.

W.K.: Jedną z moich ulubionych czytanek był też Sienkiewiczowski opis obrony Jasnej Góry. Na jego podstawie stawiałem pytanie o zasady prowadzenia działań wojennych. Chodziło o to, by zainspirować juniora jako słuchacza do refleksji nad tym, że przemoc wojenna nie znosi żadnych ograniczeń.

Historia wojen szwedzkich pokazuje, jak stan wojenny łamie wszystkie zasady, także prawa zwyczajowego, które wówczas jeszcze nie przybrało postaci prawa stanowionego. Z tego wyniknęła refleksja na temat wojny sprawiedliwej, z którą łączy się pojęcie wojny obronnej. Po latach zaowocowało to wstępem Jana Kuleszy do napisanej przeze mnie i Dietera Schenka pracy o Arthurze Greiserze, namiestniku III Rzeszy w Kraju Warty.

Czytaliśmy również oczywiście bajki w rodzaju „Stoliczku nakryj się"...

Tak zupełnie niewinnie?

W.K.: To była świetna okazja do rozmowy o tym, że szczurek Wiechetek nie miał takiego urządzenia i aby wyżywić swoją rodzinę, kradł na raty zboże ze skarbczyka krasnoludków, za co został skazany na śmierć..

Z obecnego stanu prawnego wynika, że przestępstwo popełniane na raty, jako czyn ciągły, zagrożone jest surowszą karą aniżeli czyn zaboru mienia, kradzieży dokonany jednym aktem.

Żeby to czytelnikowi wyjaśnić, możemy odwołać się do filmu „Piraci z Karaibów". Otóż bohater filmu, kapitan Jack Sparrow, w pewnym momencie dokonuje jednym czynem zaboru całego skarbca. Przy użyciu konnego zaprzęgu wyciąga go z wnętrza banku i wywozi w miejsce, w którym miałby zostać otwarty. Otóż gdyby popatrzeć na ów czyn z perspektywy współczesnego polskiego prawa karnego, to taki jednorazowy akt jest zagrożony łagodniejszą karą aniżeli działanie na szkodę banku czynem ciągłym.

Innymi słowy, zuchwałość prowadzi do łagodniejszej odpowiedzialności niż działanie skryte.

Można powiedzieć, że ustawodawca docenia cechy osobowości. Trochę à rebours.

W.K.: Paradoks polega na tym, że kradzież szczególnie zuchwała zagrożona jest surowszą karą aniżeli kradzież zwykła. Wobec tego, jeżeli sprawca zamierza – podobnie jak szczurek Wiechetek – dokonać rabunku zboża z podziemnego skarbczyka krasnoludków, to gdyby zdecydował się na kradzież szczególnie zuchwałą, dokonaną jednorazowo, groziłaby mu łagodniejsza kara aniżeli za czyn ciągły, czyli przestępstwo kradzieży z włamaniem popełnione na raty przez szereg nocy.

J.K.: Analiza tych opowieści, choć sprawiała nam ogromną przyjemność, miejscami była bardzo trudna. Dokonanie przemyślanej kwalifikacji, wykluczenie wszystkich możliwości przy dosyć ograniczonym zakresie zeznania nie było łatwym zadaniem. Gdy analizowaliśmy sprawę konsumpcji przez Jasia i Małgosię chatki wiedźmy, nawet bardzo doświadczona prokuratorka nie była pewna, jak zakwalifikować sprawę. Mamy bowiem do czynienia z czymś niezwykle rzadkim w praktyce.

No tak, ludzie rzadko kiedy jedzą czyjeś domki. To można czy nie można zjeść domek z piernika?

W.K.: Oczywiście, że nie. Można jeść w domku. Ale powstaje pytanie: Czy jest to zniszczenie mienia czy kradzież? To dwa różne czyny zabronione przestępstwa albo wykroczenia, zatem od odpowiedniej kwalifikacji dużo zależy. Mamy nadzieję na polemikę z naszą propozycją.

J.K.: Nie ma rozwoju prawa karnego bez sporu. Chodzi nam o to, żeby ów spór nie był jedynie dozwolony jurystom. Dlatego że pojęcie sprawiedliwości jest pojęciem, którego juryści jako tacy nie powinni wyłącz-

eprasa.pl a8fd4bb077

nie definiować, powołując się na swą profesjonalną legitymację. Nie powinni myśleć, że skoro są prawnikami, wobec tego tylko im dozwolone jest pisać o tym, co jest prawem i co jest sprawiedliwością w jego stosowaniu.

Dlatego pisząc o chatce wiedźmy, mój współautor zwrócił się do wybitnego autorytetu, profesora Tadeusza Urbana, który jest – poza byciem profesorem i kierownikiem Katedry Budownictwa Betonowego na Politechnice Łódzkiej – renomowanym biegłym sądowym. Urban napisał opinię, która „prima facie" nas samych zaskoczyła.

W.K.: Pisze w niej, że domek z piernika to rozwiązanie, które nie narusza współczesnego prawa budowlanego. Mało tego – jest to budownictwo ekologiczne. Wobec tego nasze pierwotne wyobrażenie, że wiedźma odpowiada za wzniesienie budynku wbrew sztuce budowlanej, a co za tym idzie – Jaś i Małgosia, którzy rozbierali taki budynek, działali zgodnie z prawem, bo likwidowali stan bezprawia, upadło.

Rzadko się zdarza, by ktoś z takim autorytetem przyznawał się do błędu.

J.K.: Zawsze zakładam, że mogę się mylić. Gdy rozmawiam z osobami studenckimi, które o coś pytają i akurat nie znam odpowiedzi, mówię po prostu „nie wiem". Obiecuję, że przeczytam, ustalę, i to robię. Myślę, że to uczciwa postawa. Nie można osób studenckich zbywać. Jeżeli się pomylę, przyznaję, że nie miałem racji.

W.K.: Dobry wykład prawa nie może sprowadzać się ani ograniczać do napełniania pustego wiadra przepisami ustaw, lecz wzniecać ma myślowe płomienie oświetlające Justycję w całym jej majestacie.

Proszę zauważyć, panie redaktorze, że wiele stawianych przez nas pytań pozostaje bez jednoznacznej odpowiedzi. Choćby kwestia uśmiercenia Smoka Wawelskiego przez Szewczyka Dratewkę.

Jeżeli przyjąć obiegową wersję, że jego przyczyną było podanie podstępem środków, które wywołały silne pragnienie, a Smok nie zapanował nad owym pragnieniem i pił w sposób nieumiarkowany wodę z Wisły, aż pękł, to z jednej strony ten przekaz uzasadnia często używane powiedzenie: „Nie pij tyle, bo pękniesz", ale z drugiej ustawodawca wprowadził do kodeksu karnego ostatnią nowelizacją odpowiedzialność karną za przygotowanie do zabójstwa człowieka.

Wcześniej odpowiedzialność zabójcy zaczynała się od usiłowania.

W.K.: Teraz każdy, kto podejmie wiadomość o przygotowaniu do zabójstwa bliźniego, ma obowiązek zawiadomić o tym organy ścigania.

A cóż ma zrobić sprzedawca w sklepie, który zgodnie z życzeniem klienta sprzedaje mu – jego zdaniem w nadmiernej ilości – papryczki wywołujące silne pragnienie?

Nabywca mówi: Potrzebuję przygotować wielką kolację, więc biorę cały zapas owych papryczek.

Wiedzą powszechną jest, że skonsumowane papryczki wywołują pragnienie. Także wiedzą powszechną jest to, że zaspokaja się je poprzez picie płynów. Wreszcie wiedzą powszechną jest owa reguła ostrożności: „Nie pij tyle, bo pękniesz". Zatem w świetle ustanowionej karalności przygotowania do zabójstwa i obowiązku zawiadomienia organów ścigania o powzięciu wiarygodnej wiadomości o takim przygotowaniu sprzedawca papryczek powinien złożyć stosowne doniesienie na klienta. Zwłaszcza że może się powołać na sprawę Szewczyka Dratewki.

Pytanie o sens tej zmiany w prawie karnym pozostawiamy otwarte. Staramy się jednak pokazać, czym skutkują – wprowadzane często przez ustawodawcę bez głębszego namysłu – zmiany w prawie.

Jak wpadli panowie na to, że zeznania Konopnickiej mogą posłużyć do wykładu o prawie karnym?

W.K.: Koncepcja tej książki wynika z nauk naszego mistrza, profesora Jana Waszczyńskiego. Przed ponad pięćdziesięciu laty było mi dane być jego asystentem. Przyuczał mnie do prowadzenia wykładu, instruując, że – poza wątkiem merytorycznym – powinienem mieć schowanego w rękawie białego królika. O co chodziło? O to, że wykład uniwersytecki nie jest obowiązkowy. Zatem żeby słuchaczy nakłonić do przybycia na niego, trzeba przygotować coś, co nie jest ani napisane w podręczniku, ani w komentarzu. Ów biały królik to w moim przypadku historie krasnoludkowe opisane m.in. przez Marię Konopnicką.

Te wykłady, choć napisane, nie były publikowane. Jan Kulesza, mój współautor, w pewnym momencie zdecydował, że powinny zostać opublikowane. Zredagował je, dopisał większą część tekstu, dodając też inne aspekty bajek i ilustrując wywód między innymi problematyką Kopciuszka, która pojawia się w bajkach braci Grimm. Tych – dodajmy – nieocenzurowanych, czyli w swoim finale niezwykle okrutnych.

Myślimy już nad drugim tomem tego opracowania. Wiele pytań pojawia się choćby w historii o nowych szatach króla. Otóż, jak pewnie czytelnicy pamiętają, chłopiec zakrzyknął: „Król jest nagi", gdy ten pojawił się w nowych szatach, które nagości nie zakrywały. Otóż w kodeksie karnym znajdujemy przepis, który mówi o przestępstwie polegającym na utrwalaniu wizerunku nagiej osoby bez jej zgody. Król jest przekonany, że jego ciało okrywają nowe szaty. Wszyscy mu o tym mówili. Jest też oczywiste, że władca nie wyraził zgody na przedstawianie go nago.

Ale co się dzieje, gdy dziennikarz napisze sprawozdanie z prezentacji króla w nowych szatach, ilustrując fotografią jego nagość? Czy – jak powie prawnik karnista – zrealizuje znamiona przestępstwa utrwalania wizerunku nagiej osoby bez jej zgody? Utrwalanie cielesnej nagości lidera politycznego, jak każdego obywatela, bez jego zgody, jest czynem zabronionym. Jednakże nie dotyczy to cytowania jego publicznych wypowiedzi obnażających nagość intelektu. Niech czytelnicy się nad tym zastanowią. ●

*prof. Witold Kulesza

• profesor nauk prawnych związany z Uniwersytetem Łódzkim. Współautor ustawy o IPN, w latach 2000–06 dyrektor Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

**dr. hab. Jan Kulesza

• profesor w Katedrze Prawa Karnego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego. Autor dwóch monografii, współautor m.in. Komentarza do Kodeksu Karnego (red. M. Królikowski/R. Zawłocki). Prowadzi Kino Karnisty, podczas którego pokazuje stosowanie prawa karnego na przykładzie znanych filmów fabularnych.

• Witold Kulesza, Jan Kulesza, „Koszałki-opałki, czyli prawo karne w bajkach. Repetytorium dla studiujących, sądowników i podsądnych", Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2024

FOT. TOMASZ STANCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

A na końcu wygrywa facet w t-shircie

Myślimy obrazami, nie słowem, więc myślenie nam się upraszcza ALBO Każdy chce grać w Barcelonie, ale nikomu nie chce się trenować

Marcin Matczak

Młody asystent, ciągnący za sobą pełną walizkę książek, spotyka na korytarzu uczelni profesora, który idzie sobie lekko, z rękami w kieszeniach. „Pan profesor to ma dobrze – mówi asystent – te wszystkie książki ma pan profesor w głowie". „Dużo niżej, kolego, dużo niżej" – odpowiada profesor.

Ten akademicki suchar przypomniał mi się, gdy na igrzyskach olimpijskich w Paryżu srebrny medal w strzelectwie zdobył Yusuf Dikec, Turek w średnim wieku, którego zdjęcia obiegły świat. W sporcie, w którym strzelający korzystają ze snajperskich okularów, celowników, całych komputerów czy małych statków kosmicznych przyczepionych do lufy, facet wystąpił saute. W t-shircie, z ręką w kieszeni, jakby od niechcenia, stał tam, celował i prawie wygrał te zawody. I od razu stał się sensacją międzynarodową, memem rozchodzącym się po sieci z prędkością wystrzelonej kuli. Dlaczego? Skąd ta fascynacja?

Okazuje się, że ludzie dziś uwielbiają bohaterów innych niż kiedyś. Wystarczy spojrzeć na historię filmu i zmieniające się postaci, które fascynują widzów. Pamiętam czyjąś refleksję dawno temu, że był oto czas, kiedy Oscary i miliony z kinowych biletów wędrowały do twórców filmów o ludziach słabych i chorych, którzy potrafili pokazać w tej słabości jakąś szczególność. To był czas takich obrazów, jak „Moja lewa stopa", „Rainman" czy „Urodzony 4 lipca".

Później przyszedł czas, gdy podziwialiśmy bohaterów silnych i sprawnych – jego zenitem był sukces „Gladiatora", w którym Maximus siłą woli i mięśni przyćmiewa wszystkich, i złych, i dobrych, nawet Marka Aureliusza, który – choć wielki intelektem – pada jak mucha w pierwszej fazie filmu i tyle po jego mądrości. Potem tylko krew, tygrysy i piasek Koloseum.

A dzisiejszy bohater jest całkiem nowy – nie jest ani wątłym cieleśnie Danielem Day-Lewisem, ani kupą mięśni w stylu Maximusa, nie jest ani całkiem słaby, choć jest swojski, nie jest też dominujący, choć rywalizuje i wygrywa. Dzisiaj króluje bohater bez bohaterstwa, mistrz bez napinki, człowiek, którego niezwykłością jest jego zwykłość.

Najlepiej było widać to nowe bohaterstwo, gdy bohater w starym stylu, czyli Armand Duplantis, pobił niewyobrażalny rekord świata w skoku o tyczce (6.25!). Oczywiście była wielka radość i świętowanie, ale nie zdarzyło się nic porównywalnego kulturowo do medialnego sukcesu Turka. Co więcej, dziennikarze napisali, że po swoim osiągnięciu Duplantis wykonał gest Yusufa! A przecież Yusuf nie wykonał ani gestu Duplantisa, ani gestu Usaina Bolta – nie musiał, bo to on stał się postacią do naśladowania. Zmiana wzorca jest tu oczywista. I teraz muszę rozłożyć mój warsztacik z narzędziami, którymi analizuje się komunikację, żeby tego nowego, tureckiego bohatera, rozłożyć na czynniki pierwsze.

•

Myślimy współcześnie obrazami, nie słowem, a to oznacza, że myślenie nam się upraszcza. Obraz, mem przekazuje emocję i w przypadku naszego nowego bohatera jest to emocja dość złożona: jest wielki, ale zwyczajny, jest mistrzem, ale nie epatuje mistrzostwem. Wygrywa od niechcenia, pozornie bez wysiłku – jakby właśnie wyszedł z baru sobie postrzelać. Jest więc jednym z nas – nie żaden gigant, nie żaden nieosiągalny wirtuoz. Wygrywa, jakby nie trenował, a więc dzięki swojej wewnętrznej wartości, która w tym jego medalu się objawiła.

To oczywiście fikcja – nie da się zdobyć medalu olimpijskiego przypadkiem, bez pracy. Ale Turek pobudził naszą tęsknotę za tym, żeby doceniać zwyczajne. Stał się uosobieniem podejścia coraz bardziej powszechnego: „You are enough!" – „Jesteś wystarczający!". Melisa Camara Wilkins, doradca personalny, wyjaśnia na swoim blogu, że wszyscy „pływamy w morzu oczekiwań", a tymczasem idea „Jesteś wystarczający", choć nie oznacza, że jesteś idealny, głosi, że „nie musisz być kimś więcej, robić więcej, kupować więcej, aby być tym, kim chcesz być".

Brzmi pięknie, ale przecież to bzdura. Przepraszam za złośliwość, główne narzędzie dźgania mózgów czytelników, którego używa felietonista, ale to nowomowa i groch z kapustą: nie jesteś idealny (a więc masz świadomość, że coś trzeba poprawić), chcesz kimś być (a więc wyznaczasz sobie cel i chcesz do tego dążyć), ale jednocześnie absolutnie nic nie musisz robić, bo jesteś wystarczający!

To zmora naszych czasów. Wszyscy wpatrują się w efekt czyjegoś sukcesu – piłkarza, modelki, muzyka, aktora, wpatrują się w ich pieniądze i sławę, ale nie widzą procesu, który do tego doprowadził. Każdy chce grać w Barcelonie, nikomu nie chce się trenować. Każdy chce mieć willę na wybrzeżu i Lamborghini w garażu, ale niewielu chce się iść do roboty.

To przekleństwo, które doprowadza ludzi młodych do kryzysu mentalnego – wszystko kusi efektem, nic nie pokazuje wysiłku. A rację miała Dolly Parton, która kiedyś podobno powiedziała o swoich strojach: „nie masz pojęcia, kochanie, jak wiele kosztuje, by wyglądać tak tanio!".

•

I dlatego uważam, że Turek swoim byciem cool, swoją nonszalancją nas oszukuje. Cóż z tego, skoro chcemy być tak słodko oszukiwani. Chcemy wierzyć, że można przyjść z ulicy na olimpiadę i pokazać tym wszystkim „fachowcom", że strzelać, pływać i śpiewać każdy może. To też jest jakiś wymiar buntu przeciwko autorytetom.

Tymczasem sympatyczny pan Józek występuje na igrzyskach olimpijskich od 2008 roku, a po powrocie do kraju, wbrew zwolennikom czterodniowego tygodnia pracy, powiedział: „Chociaż na zewnątrz, wyglądałem spokojnie, w środku miałem burzę. Ludzie czasami mówią »to takie łatwe, zdobyłeś medal z ręką w kieszeni«. Tak to wygląda na zewnątrz, ale za tym medalem stoi 24 lat ciężkiej pracy. Trenuję 4-5 godzin dziennie, sześć dni w tygodniu".

Nie chcemy tego. Wolimy fake news, że jest mechanikiem samochodowym, że zaczął strzelać, bo trwał jego rozwód z żoną. Mem jest przecież dużo lepszy od prawdy. To głębokie pragnienie, żeby niezwykłość była normalna, łatwa i przyjemna, żeby być profesorem-luzakiem z dowcipu, panem Józkiem z olimpiady, żeby „być" i „mieć", ale nie „robić". A przy takim podejściu można sobie co najwyżej strzelić w kolano. ●

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

ALKOHOL, AROGANCJA PLUS SKUTER WODNY

FOT. SHUTTERSTOCK

I tylko dzieci szkoda. Co robią na jeziorach i jak toną Polacy

Iwona Görke

Kwatera Hitlera w Gierłoży, Święta Lipka, Reszel – Krzysztof Zachwieja wymienia miejsca, które najczęściej chcą odwiedzić turyści przyjeżdżający na Mazury. Wie, co mówi. Po Krainie Tysiąca Jezior oprowadza od ponad 40 lat.

Prawie wszyscy są zainteresowani Wilczym Szańcem, kwaterą Hitlera, w której 20 lipca 1944 r. spiskowcy z pułkownikiem Clausem von Stauffenbergiem na czele przeprowadzili nieudany zamach na dyktatora. Ale na Mazurach jest wiele miejsc, o które turyści nie pytają. – Rzadko kto chce oglądać pałace w sąsiedztwie obwodu królewieckiego. A szkoda, bo warto – uważa Zachwieja. Czasami, gdy wczasowicze pytają go o miejsca, które by polecił, zachęca do odwiedzenia mniej znanych, m.in. Puszczy Boreckiej, prywatnego Muzeum Mazurskiego w Owczarni, mostów kolejowych w Stańczykach, piramidy w Rapie i Kanału Mazurskiego z nieukończonymi śluzami czy wstąpienia do klasztoru Staroobrzędowców w Wojnowie.

Turysta współczesny i ten sprzed kilkudziesięciu lat zainteresowany jest tymi samymi punktami. Tylko turyści sprzed kilku dekad nie mieli w rękach smartfonów. One nie pomagają utrzymać zainteresowania wycieczek. Mimo starań przewodnika. Ale ten się nie obraża ani nie złości, bo zawsze było tak: jedni słuchali bardziej, inni mniej, jedni byli skupieni, drudzy rozkojarzeni.

Są jednak obszary, w których zmiana jest zauważalna. – Wśród turystów w latach 70. i 80. dominowali żeglarze. Przypływali na Niegocin od strony Pisza, Narwią lub Pisą. Później pojawiła się możliwość transportu łodzi samochodami na naczepach – wspomina Zachwieja. Dziś żeglarzy zastąpili turyści motorowodni. Niegdyś ta forma była niedostępna dla większego grona. Motorówki kosztowały niemało. Paliwo również, o ile w ogóle było. Teraz nie dość, że motorówki i skutery wodne się zdemokratyzowały, to jeszcze na jeziorach dołączyły do nich houseboaty, czyli barki mieszkalne z napędem motorowym.

Barka może się kojarzyć niezbyt luksusowo, ale to błąd. Houseboaty to właściwie luksusowe hotele pływające tam, gdzie zdecyduje wynajmujący. Nie można się nimi co prawda rozpędzić, nie oznacza to jednak, że nie stanowią zagrożenia. W połowie lipca czescy turyści wpłynęli luksusową barką na kamienie na jeziorze Śniardwy. Houseboat zatonął, a wczasowiczów z wody wyciągali ratownicy Mazurskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

– Na wodzie jest na szczęście więcej osób rozsądnych od tych nierozsądnych – ocenia Zachwieja. Mieszka w pobliżu Kanału Giżyckiego, zwanego także Łuczańskiego. – Są czasem sytuacje, że jakiś idiota, przepraszam za słowo, ale inaczej nazwać takiej osoby nie można, płynie po kanale z prędkością kilkukrotnie przekraczającą tę, z jaką powinno się po nim pływać – opowiada. I wyjaśnia: po kanale pływa się wolno, by nie robić falowania. Ono jest niebezpieczne dla innych użytkowników, ale i dla brzegów, bo je niszczy.

Właściwie wszędzie na jeziorach można wypożyczyć jednostki pływające bez patentu. Nie trzeba mieć żadnych dokumentów, które poświadczą, że wypożyczający ma jakiekolwiek umiejętności czy wiedzę na temat tego, jak działa taka czy inna maszyna lub jak poruszać się po wodzie.

– To nie do końca mądre – uważa Zachwieja. – Owszem, można tego patentu nie mieć, ale niech ten człowiek, który chce popływać, przynajmniej odbędzie jakieś szkolenie, być może powinien je robić ten, od kogo łódkę wypożycza. Osoba wypływająca na jezioro czy kanał powinna znać podstawowe przepisy; wiedzieć m.in., kiedy ma ustąpić miejsca komuś płynącemu z naprzeciwka, kiedy ograniczyć prędkość, nie powodować falowania. Chociaż, zastrzega wodniak, obserwuje, że jak ktoś pływa bez patentu, to jest na ogół raczej ostrożny. Dlaczego? Bo nie ma zaufania do swoich umiejętności.

– Ale panowie na skuterach to zupełnie inna bajka. Nie mówię, że każdy jest szalony czy jest idiotą, ale sporo jest osób, których ponoszą adrenalina i testosteron. Amatorzy prędkości potrafią szaleć blisko plaż czy na kanale, gdzie powinno się pływać wolno.

– Mówi pan o mężczyznach. Kobiety nie szaleją?

– Powiem szczerze, że pań to ja bardzo niewiele widziałem na skuterach. I nie przypominam sobie, by jakaś szalała na skuterze czy motorówce.

Co innego żaglówki. Kobiety często są sterniczkami. Ale to zupełnie inna sprawa. – Sternikiem zostaje się po szkoleniu. Takie osoby mają zazwyczaj inną świadomość. Znają przepisy. Z osobami pływającymi motorówkami i skuterami jest inaczej; z przepisami są na bakier, a adrenalina sprawia, że nie zawsze zachowują się w sposób akceptowalny – podsumowuje.

Mirosław, armator z Giżycka, pływa po mazurskich jeziorach od 33 lat. – Gdy zaczynałem, to na jeziorach było zdecydo-

eprasa.pl a8fd4bb077

wanie mniej jednostek pływających. Teraz trzeba mieć oczy dookoła głowy.

– Bo osoby pływające bezpatenciakami nie znają przepisów?

– W większości tak, nie znają ich.

– Czy przez to na jeziorach jest niebezpiecznie?

– Wie pani, ja płynąc 30-tonowym statkiem, to go w miejscu nie zatrzymam. Tym bardziej moi koledzy, którzy pływają statkami żeglugowymi ważącymi 100 ton – mówi. To nie znaczy, że co chwilę na wodzie ktoś się z kimś zderza. Kolizje są sporadyczne.

Mirosław na pokład może wziąć 40 osób. Jest wtorek, chwilę po 15, a on realizuje trzeci rejs. Nie zawsze jednak udaje się zapełnić statek. – Społeczeństwo jest ubogie, my cen nie podnosimy, dzięki temu ludzie przychodzą i z nami pływają. Bywa, że i zniżki dajemy. Dlaczego miałbym nie dać zniżki dużej rodzinie? Trzeba być człowiekiem – mówi armator.

Na turystów nie narzeka, chociaż miałby na co.

– Wyskakują z łódek, topią się, pływają po kamieniach – mówi. Po kamieniach pływają, bo nie znają znaków informujących o mieliznach.

– A ci, co pływają na skuterach?

– Pływają szybko, czasami się przy statku popisują, ale na jeziorach z nimi nie ma problemów. Gorzej na kanale. Wyprzedzają, nie znają przepisów – ocenia Mirosław.

•

– Teraz można wiele jednostek wypożyczyć bez patentu...

– Tak. I powiem pani, że na tych łodziach często są kamikadze – mówi Jan, marynarz, który po mazurskich jeziorach pływa od 59 lat. Obecnie statkiem na 100 osób. Opowiada: – To, co robią na kanałach, to się w głowie nie mieści.

Ci na skuterach to szaleją nam pod dziobami. Nie daj Bóg, coś by mu się z silnikiem stało i pod naszym dnem by poszedł na dno! I po człowieku.

Ale i tak Jan uważa, że teraz jest cudnie, nie to, co wtedy, gdy zaczynał pływać. – Są takie łodzie wypasione, że to się – jak to się mówi – w pale nie mieści, skąd ludzie mają takie pieniądze. Bo one kosztują 2-3 mln i więcej! A kiedyś, wspomina, trzeba było ciągnąć łodzie kanałami na burłakach, na sznurkach, cumach. – Teraz wszystko jest na silnikach. Naprawdę coś wspaniałego!

– Nie ma żalu za tym, co było?

– A skąd! Nie tylko łodzie są ładniejsze, ale i porty. Nowoczesne mariny.

W Giżycku budują właśnie nowy kapitanat, mówi. Taki z prawdziwego zdarzenia. – W kształcie statku. Będzie bardzo ładny, z poczekalnią, restauracją. Musi pani przyjechać za rok i zobaczyć.

Ale pod jednym względem dawniej było lepiej – przyznaje armator. Na Mazury przyjeżdżały wycieczki z zakładów pracy, z PGR-ów, kolonie. Wszystkie statki pełne. On pływał takim na 300 osób. W tym roku sezon rozpoczął się na dobre w połowie lipca, wreszcie, ale nie jest tak jak kiedyś. Jan słyszy od ludzi, że wczasy w Polsce są drogie. I Mazury też są drogie.

A przecież – ocenia – Polacy mają pieniądze. – Niedawno pewien mężczyzna wynajął nas na sześć godzin. Mówię, że to będzie 7 tys., a on na to: „W porządku, co to za pieniądze?" – wspomina Jan. Na statku, którym pływa, jest restauracja, można zjeść i wypić. Ludzie nie patrzą na koszty, przekonuje. – Polak, ile ma, tyle wyda. To Niemcy krzyczą: „Teuer, teuer", że wszystko drogie – mówi Jan.

•

– Im więcej ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo na wodzie, tym lepiej – ocenia, spoglądając na taflę jeziora Ukiel Gabor Sawicki, policjant wodniak.

Dziś nad bezpieczeństwem czuwają nie tylko ratownicy, strażnicy miejscy i policjanci – ci zwykli oraz wodni. „Uwaga, proszę opuścić teren parku wodnego" – słyszymy głos ochroniarza dobiegający z głośników na promenadzie. – Pan ochroniarz też ogarnia to, co dzieje się tutaj – mówi policjant.

Sawicki od czterech lat pracuje na wodzie. Musiał odbyć specjalistyczne dwustopniowe szkolenie i zdać egzaminy. – Lubię swoją pracę. Świeci słońce, jesteśmy na zewnątrz, nad jeziorem. A ja lubię przyrodę, wodę i pływanie. Mam kontakt z ludźmi, współpracujemy ze strażą leśną i rybacką – wylicza. Ale praca satysfakcjonująca wcale nie znaczy łatwa. Sezon na wodach trwa od maja do końca września, ale to wakacyjne miesiące są najbardziej pracowite.

Siedzimy niby w cieniu, ale jest upalnie. Na plaży masa ludzi. W wodzie też. Pluskają się. Pływają na rowerkach wodnych i kajakach. Są oczywiście żaglówki i motorówki. Obok nas zwodowana policyjna łódka. Ma koguta i skaner pokazujący głębokość. To się przydaje, bo czasem trzeba silnik, jak przy przesmyku, podciągnąć do góry.

Motorówka może rozpędzić się do 70 km na godz. Oklejona jest tak, by z daleka było widać, że płyną funkcjonariusze. Dzieciaki cieszą się na widok policyjnej łódki, chcą ją zobaczyć z bliska, dorośli przeciwnie. Widząc biało-niebieskie barwy, często spływają na brzeg.

Typowy dzień wodniaka? Odprawa w komendzie, pobranie łódki na plaży. – Kontrolujemy wszystkie jednostki pływające. Nie tylko te silnikowe, ale także kajaki czy rowerki wodne – mówi Gabor. – Widzi pani te żółte boje? One wyznaczają odległość 100 m od plaży. Do nich można płynąć tylko z prędkością manewrową, jeżeli ktoś ją przekroczy, to popełnia wykroczenie. Często podczas kontroli okazuje się, że popełniono więcej wykroczeń – opowiada mundurowy.

Sprawdzać mogą wyrywkowo także tych „użytkowników wody", którzy nie wzbudzają podejrzeń, bo i tacy miewają coś na sumieniu. Na przykład nieodpowiednio wyposażoną łódkę czy motorówkę. Za braki w sprzęcie, nawet jeżeli jest z wypożyczalni, odpowiada użytkownik, nie właściciel.

Najczęstszym wykroczeniem jest jednak pływanie pod wpływem alkoholu. Tym grzeszą i pływacy, i kajakarze, i sternicy. Nie ma reguły.

– Kogo częściej przyłapujecie w stanie nietrzeźwości – kobiety czy mężczyzn?

– Piją zarówno panie, jak i panowie. Trudno powiedzieć, kto częściej.

– Brawurą kto się większą odznacza?

– Tu też nie ma zasady.

– A ci na motorówkach bez patentu to szaleją na wodzie?

– Taką bezpatentówką nie można się za bardzo rozpędzić, bo one mają obniżoną moc silnika. Ale to nie zwalnia nikogo z odpowiedzialności. Takie łodzie również kontrolujemy. Sprawdzamy trzeźwość sterników, wyposażenie łodzi. Najczęściej brakuje w nich apteczek, gaśnic, a nawet środków asekuracyjnych. A te mogą się przydać w najmniej oczekiwanym momencie.

•

Bo „gadżety" to nie jest biurokratyczny wymysł. Warunki na wodzie szybko mogą się zmienić, do tego odrobina pecha i nieszczęście gotowe. – A ludzie często przeceniają swoje umiejętności – zauważa Sawicki. Na wodzie to po alkoholu drugi i największy problem. – Ostatnio interweniowaliśmy wobec człowieka, który płynął wpław przez jezioro. Bez żadnej bojki, żadnej asekuracji.

Również pływający na skuterach wodnych się przeceniają. Próbują pływać szybko, przeskakiwać fale. – Mieliśmy niedawno taką sytuację: trzy osoby w wyniku dużej prędkości spadają z maszyny. Chłopak i dziewczyna dopłynęli do brzegu, ale druga dziewczyna krzyczała, że boli ją noga. Zabrali ją woprowcy. Złamała kość udową, o ile dobrze pamiętam, z przemieszczeniem. Innym razem mieliśmy mężczyznę, pijanego, który uderzył skuterem w żaglówkę.

No i nie brakuje dorosłych szalejących na skuterach z dziećmi; gdy widzą niebiesko-białą łódź, szybko kierują się do brzegu.

Ale żeby głupio się zachować, nie trzeba być pijanym. – Można mieć dokumenty sternika, a nie potrafić dobrze pływać. Jak z prawem jazdy: to, że ktoś zdał egzamin, nie znaczy, że od razu świetnie jeździ – porównuje Sawicki.

Policjant nie chce wrzucać wszystkich motorowodniaków do jednego worka. Są i tacy, którzy szanują innych wypoczywających. Zachowują się zgodnie z zasadami, także tymi niepisanymi – przede wszystkim nie przepływają z dużą prędkością koło osób pływających kajakiem lub rowerkiem wodnym.

Policjanci wodni nie tylko patrolują akweny, ale także uczestniczą w poszukiwaniach zaginionych. Zdarza się, że w środku nocy zrywają się z łóżka, bo z łódki wypadł wędkarz. Przyczyny? Można gdybać – problemy zdrowotne, wiek, zasłabnięcie, alkohol.

Sawicki: – Im dłużej trwają poszukiwania osoby, która zaginęła na wodzie, tym, niestety, mniejsze prawdopodobieństwo, że zostanie odnaleziona żywa. Niemniej zawsze podczas takich akcji oddajemy całe serce i robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odnaleźć żywego człowieka.

Pamięta pierwszego denata, którego wyciągał z wody: wędkarz. Wypadł z łódki. Wyciąganie topielców nie należy do pozytywów tej pracy.

•

– Praca ratownika wodnego jest niebezpieczna? – pytam Jarosława Srokę, prezesa Mazurskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, ratownika z 20-letnim stażem. Zastanawia się.

– Niebezpiecznie jest wtedy, gdy walczymy o ludzkie życie lub zdrowie, gdy jest presja czasu albo gdy ludzie dookoła myślą, że wiedzą lepiej, i nam przeszkadzają.

Niebezpiecznie może być także przez samych chronionych. Sroka wspomina dwie emblematyczne sytuacje.

Pierwsza: plaża w Rynie, minione wakacje. Ratownicy wielokrotnie zwracali uwagę grupce wypoczywających nad wodą, by przestrzegali regulaminu kąpieliska. A ci swoje, pływali w miejscach do tego nieprzeznaczonych, spożywali alkohol. Ratownikom grozili pobiciem, a nawet śmiercią. – A w tym sezonie nasz zespół wezwano do Rydzewa nad jeziorem Bocznym, do nieprzytomnego około 50-letniego mężczyzny. Udało mu się pomóc, ocknął się i rzucił z pięściami na ratowników. Był kompletnie pijany, ponad pięć promili we krwi. Karetka zabrała go do szpitala, trafił na SOR.

Sytuacje jak w Rynie czy Rydzewie nie są wyjątkiem. – Zdarzają się coraz częściej – ocenia Sroka. Na szczęście większość osób szanuje pracę ratowników. – Pewnie gdyby te osoby z Rynu były trzeźwe, nie zachowywałyby się w ten sposób. Pan z Rydzewa nawet nie wiedział, co robi – mówi.

Niemniej ratownik uważa, że za akcje, w których wypływają do osób pijanych, i w dodatku agresywnych, powinien płacić delikwent. A alkohol jest stałym elementem plażowania i pływania. – Kiedy ktoś idzie w góry, wie, że musi być przygotowany fizycznie, nie będzie przecież wchodził na Giewont pijany. Wypoczynek nad wodą nie wymaga takiego przygotowania fizycznego i może to sprawia, że ludzie są skłonni wsiąść na motorówkę czy skuter po kilku piwach. A często nawet wypić piwo na pokładzie czy za sterem – ocenia. – Wszystko dla ludzi, ale wszystko z głową. Na łodzi jest kilka osób i spożywają alkohol? W porządku, ale sternik musi być trzeźwy.

•

Napoje wyskokowe nie są jedyną zmorą ratowników. Druga to nieprzestrzeganie przepisów. Ludzie po prostu ich nie znają. – Na wodzie, tak jak na drodze, mamy znaki, co można robić, a czego nie. Przez przyjazdem na Mazury wypadałoby chociaż trochę zapoznać się z przepisami. To nie jest wiedza tajemna, łatwo ją znaleźć w internecie.

Po mazurskich jeziorach pływa dużo nowego, dobrze wyposażonego i drogiego sprzętu. Tyle że nie zawsze za sterami siedzą osoby, które wiedzą, jak się nimi poruszać. – Coraz modniejsze są czartery wszystkiego. Ludzie wypożyczający łódkę bez patentu bardzo często nie wiedzą, na jakim sprzęcie płyną, gdzie są, do jakiego portu dobijają – ocenia Sroka.

Żeby wypożyczyć skuter, na Mazurach trzeba mieć patent, ale formalne kwalifikacje niekoniecznie idą w parze z realnymi umiejętnościami i odpowiedzialnością. W wielu miejscach na mazurskich jeziorach obowiązuje zakaz wywoływania fal, więc skoro zrobić ich sobie nie można, amatorzy prędkości ich szukają. – Upatrują sobie statek i skaczą przez fale, które zostawia. Bywa, że taki skuter zderzy się z motorówką – wspomina Jarosław Sroka. – Nie mówię, by na skuterach nie pływać, one po to są, ale trzeba trochę potrenować, by wiedzieć, o co chodzi w pływaniu szybką maszyną motorową.

A wiedza może uratować nie tylko zdrowie, ale również życie.

Kilka lat temu na jeziorze Bocznym houseboat wpłynął na mieliznę. Ostrzegały o niej znaki kardynalne, żółto-czarne boje, jednocześnie pokazując, z jakiej strony ją ominąć. Statkiem płynęło kilkoro dorosłych osób i dzieci. Część dorosłych zeszła z pokładu na mieliznę, by zepchnąć statek. Za sterem został jeden z mężczyzn, dodawał gazu. – Udało się im zepchnąć houseboata z mielizny, ale nie wszystkie osoby wróciły na pokład. Jedna z kobiet wpadła pod statek, pod wodę – wspomina Sroka. Kobiety nie udało się uratować. – Nigdy nie zapomnę twarzy tych dzieci, które pytały ojca, gdzie jest mamusia i kiedy do nich wróci.

Niektóre z tragedii to po prostu nieszczęśliwe wypadki. Jak ten z końca maja. Trzy osoby na żaglówce – starszy pan z małżonką i wnukiem – pływali po jezio-

Na Warmii i Mazurach podczas tegorocznych wakacji utonęło 25 osób. Od początku sezonu, czyli od 1 maja – 33 osoby, w tym roku – 46 osób

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

rze Śniardwy. Maszt zahaczył o linię wysokiego napięcia. Poparzony mężczyzna wpadł do wody, utonął. Poparzona została także jego żona oraz świadek, który ruszył na pomoc. – To nie pierwszy przypadek, gdy ktoś zahaczył o linię energetyczną i zginął – przypomina szef MOPR. Marzy mu się ustawienie tzw. łapaczy, czyli lin, o które zawczasu zahaczałyby żaglówki. Innym pomysłem jest puszczenie kabli pod wodą. – To nie jest niewykonalne, takie rzeczy się robi, także w Polsce, chociażby na kanale do Węgorzewa.

Przy niemal każdej rozmowie o tragediach na wodzie wraca temat urządzeń ostrzegających przed warunkami pogodowymi. W niedzielę 28 lipca na Mazurach oraz Warmii załamała się pogoda. Ostrzegali przed nim synoptycy. Na mapach pogodowych widoczne były wielkie chmury niosące deszcz. Ale osoby przebywające w woj. warmińsko-mazurskim nie otrzymały SMS-ów z alertami pogodowymi albo dostały je z godzinnym opóźnieniem. Na jeziorach błyskały maszty ostrzegawcze, lecz wielu żeglarzy jej zlekceważyło lub nie zrozumiało komunikatu. I wypłynęli. Wiało bardzo mocno, zarejestrowano 10 w skali Beauforta. Wywróciło się pięć łodzi, zatonęły dwie. Trzy osoby utonęły.

•

Są i tragedie, których przyczynę trudno pojąć. W maju mężczyźnie pływającemu po jeziorze Dargin wiatr zwiał czapkę. Wskoczył za nią do wody. Nie miał siły, by dopłynąć na pokład. Bez oznak życia wyciągnęła go załoga, ratownicy MOPR przywrócili krążenie, ale zmarł w drodze do szpitala.

I najgłośniejszy dramat, z końca lipca. Na przesmyku Przeczka z łodzi wypadła czteroletnia dziewczynka. Miała kamizelkę ratunkową. Na pomoc ruszył ojciec, za nim matka. Oboje zniknęli pod wodą. Czterolatkę na jeziorze zauważyli wodniacy, powiadomili służby. Dziecko było przytomne, rodziców dzień później znaleźli nurkowie ze Specjalistycznej Grupy Ratownictwa Wodno-Nurkowego „Mrągowo" Komendy Powiatowej PSP w Mrągowie. Ciała znajdowały się około 11 m pod wodą.

– Jak ratownicy radzą sobie z takimi smutnymi finałami akcji ratunkowych?

– Każdy inaczej. Jedni potrzebują przerwy, inni po prostu idą kolejnego dnia do pracy. Bo w niej czekają nowe wyzwania. Ale jeżeli ktoś potrzebuje, może skorzystać z pomocy psychologa – mówi Jarosław Sroka.

– Ilu ratowników służy w MOPR?

– Za mało – odpowiada natychmiast szef. Osiemnaście osób jest na etat przez cały rok. W sezonie Sroka zatrudnia dodatkowe osoby na umowy-zlecenia. To daje 26 osób w szeregach. Są jeszcze nastolatki, młodzi zajawkowicze, wolontariusze. Ale tak ogólnie to młodzi nie garną się do przygody z ratownictwem wodnym. – Młodzież jest coraz słabsza. I fizycznie, i psychicznie. To chyba wina cywilizacji.

Na kursach na ratownika mają średnio 20-30 osób. Po kursie przychodzą do nich trzy, może cztery osoby. – A później znikają.

Ratownikiem może zostać osoba, która – pozornie to oczywistość – nie boi się wody i dobrze sobie w niej radzi, opanuje wiedzę paramedyczną i zda kurs. Twardym wymogiem jest pełnoletność, ale MOPR zachęca już 14-latków, by przychodzili i podpatrywali, jak pracują ratownicy, uczyli się pomagać. A Sroka chciałby przyjmować nawet młodsze osoby, nawet 12-latki. – Chodzi o to, by połknęli bakcyla, a gdy trafią na kurs, już coś wiedzieli o tej pracy.

– Ratowników mamy za mało też przez finanse – przyznaje. – Teraz będę pisał aneksy do umów, z wynagrodzenia 4242 zł na 4300. Brutto. Jak za to przeżyć, gdy ktoś ma rodzinę? Dzieci? Państwo powinno lepiej finansować ratownictwo wodne – uważa ratownik. – Bo te 4 mln w skali roku na cały kraj będący jedną z 20 gospodarek świata, to śmiech na sali. Ale taki przez łzy. Potrzebuję przy najniższej krajowej półtora miliona na wypłaty dla pracowników. A dofinansowania mam 736 tysięcy z urzędu wojewódzkiego. Nasze najnowsze łodzie mają dziewięć lat. Dziewięć! Policja czy straż pożarna wymienia samochody co dwa-trzy lata.

Skutek? Średnia wieku ratowników MOPR to „grubo ponad czterdziestkę". – Ci ludzie starają się prowadzić aktywny i zdrowy tryb życia, ale z wiekiem się nie wygra. Potrzeba nam świeżej, młodej krwi – kończy ratownik.

•

– Do założenia organizacji ratującej ludzi wypoczywających w wodzie i nad nią zainspirował nas wypadek – wspomina Zbigniew Kurowicki, który przez prawie 30 lat, aż do października zeszłego roku, był prezesem Mazurskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Był początek lat 90. Przeszła burza i nawałnica. Wywrócił się jacht mieczowy. – One wywracały się, jeżeli żeglarz był mało przewidujący. W tym wywróconym, na grzyba, czyli z masztem w dół, było dwoje dzieci, pięciolatek i ośmiolatek – opowiada.

Nie było komu wyciągnąć tych dzieci. Straż pożarna nie zajmowała takimi sprawami, a WOPR mógł najwyżej popłynąć na patrol, i to przy ładnej pogodzie. Więc Kurowicki popłynął własną motorówką z kolegą żeglarzem, który na ratownictwie się nie znał, własną motorówką. Udało mu się wyjąć dzieci. Rodzicom nic się nie stało.

– Mój synek miał wtedy sześć lat. Pomyśleliśmy, że trzeba stworzyć system ratownictwa na naszych Wielkich Jeziorach Mazurskich. Dogadaliśmy się z władzą samorządową przy zmianie administracyjnej kraju i z ludźmi – jak ja to mówię – szaleńcami, moimi kolegami ratownikami, bo przecież, żartem oczywiście mówiąc, trzeba być szalonym, żeby narażać swoje życie za głupotę innych – uśmiecha się Kurowicki, sprawnie manewrując – bo jest również kapitanem statku pasażerskiego i wygospodarował dla mnie chwilę podczas kolejnego rejsu.

Ratuje ludzi od 1983 r., ale ratownictwa liznął już pod koniec lat 70. Z rodzicami sprowadził się do Giżycka w 1975. Był tu już jego brat, muzyk, który porzucił muzykę dla żeglarstwa. Opłynął świat „Zawiszą Czarnym". A Zbigniew wstąpił do harcerstwa i tam uczyli się, jak pomagać, jak ratować ludzi. – Miałem wesołe dzieciństwo. Nie chodziłem czysty, tylko wesoły.

Tamta wiedza przydała mu się w latach 90. „Szaleńcy" uderzyli do wielkich firm i się udało – wsparły ich Plus, Orlen, PZU. Firmy finansowały zakup pierwszych łodzi ratunkowych wysokiej klasy, stworzono system powiadamiania ratunkowego i łączności. Na początku nowego stulecia udało im się dogadać z wojewodą oraz niepublicznym zakładem zdrowotnym i utworzono wodne karetki.

Ratownik weteran woli nie myśleć, co by było, gdyby się wtedy nie skrzyknęli. Bo ich inicjatywa zbiegła się z liberalizacją – czy raczej przymykaniem oka na łamanie istniejących – zasad na jeziorach.

– Owszem, w Unii Europejskiej w wielu krajach można pływać bez papierów, ale diabeł tkwi w szczegółach. W Norwegii czy we Francji, jak ktoś nie ma patentu, to pływa po kanałach, a po małych jeziorach, tylko jeżeli wieje nie mocniej niż 4 w skali Beauforta – mówi Kurowicki. Wystarczy wybrać się nad Niegocin, żeby zobaczyć, co ten niby niewysoki stopień oznacza w praktyce – dobrze wieje, porządna fala. – A u nas wypożyczający łódkę bez patentu podpisuje kwit, że został przeszkolony z manewrówki i przepisów wodnych. I tyle.

Wypływa przy 5, 6 stopni skali Beauforta, często nie wie gdzie, wpływa między znaki kardynalne ostrzegające przed kamieniami i mieliznami.

To spotkało świeżo upieczonego wodniaka, który kilka lat temu zapędził się na Kamienie Sztynorckie, pas kamieni zalegających pod wodą na długości około 200 m. Przywalił, wybił dużą dziurę, utknął. Włączył wsteczny, by wypłynąć. Na szczęście się nie udało. Bo łódź łódź osiadła na dnie, tylko dach wystawał, a gdyby odpłynął, poszedłby pod wodę gdzieś dalej, na głębinie. I miałby małe szanse na ratunek.

•

Kurowicki nie owija w bawełnę: – Wiele wypadków na jeziorach, w tym śmiertelnych, powoduje brawura i głupota żeglarzy.

Przypomina o słynnym białym szkwale z 2007 r. Przed nadejściem nawałnicy jako prezes MOPR wydał polecenie, by zespoły ratownictwa wodnego wypłynęły ostrzegać niefrasobliwych żeglarzy – niech kierują się do najbliższego portu lub brzegu. Od dwóch godzin nad Mazurami wisiała ogromna chmura. Na wodzie mogło być 15 tys. różnych jednostek, licząc średnio cztery osoby na pokładzie, można więc mówić o jakichś 60 tys. ludzi. Nie wszyscy zastosowali się do polecenia, inni nie zdążyli zawrócić. – Wywróciło się trzydzieści parę łódek. Utonęło 15 osób – wspomina.

– Na sto osób, które wyjęliśmy z wody, jedynie trzy miały na sobie kamizelki. Mówiły po francusku, to byli turyści z Belgii.

Za to po zakończonej akcji niektórzy uważali, że ratownicy zrobili za mało.

– Mówili, że nawaliliśmy. A my w 20 minut przeprowadziliśmy akcję na całym szlaku Wielkich Jezior Mazurskich. To 320 km kw.! To nie my zawiniliśmy, ale ludzka nieświadomość. Gdyby ludzie nie lekceważyli kamizelek i ostrzeżeń, nikt by nie utonął.

Ratownik podkreśla, że akcji informacyjnych pod hasłem: „Zakładajcie kamizelki!" zrobili wiele, ale nie zaszkodziłoby, gdyby o edukację zadbały również kurorty. W reklamach, na billboardach, w materiałach promocyjnych – wszędzie, gdzie pojawia się wizerunek turysty wodniaka, żeglarza, młodych ludzi na łódce, rodziny w kajaku, modele powinni mieć na sobie kamizelki. Żeby ludziom weszło to do głowy. A tymczasem – zauważa – poziom świadomości jest taki, że turyści wciąż mówią na nie „kapoki". – Gdy kapoków już dawno nie ma! Kapoki, poduszki wypchane włóknem roślinnym, to były kiedyś.

Ale kamizelka nie jest w modzie, bo „niewygodna", „krępuje ruchy", no i źle wypada na zdjęciu. Podobnie jak w modzie nie są znajomość przepisów i szkolenia. Kurowicki, tak jak inni moi rozmówcy wodniacy, obserwuje, że z regułami jest kiepsko. Osoby bez patentu nie wiedzą, jak mają się poruszać po drodze wodnej – bo przecież jezioro czy kanał, na którym wyznaczono tory dla statków, jest oficjalną drogą, tyle że nie na stałym lądzie.

– Zmorą zawodowych kapitanów jest delikwent, który siada za stery, a coraz częściej to i daje dziecku pokierować dużą, mocną łodzią.

A nie ma zielonego pojęcia, jaka jest prognoza, czy będzie wiało, czy będzie padało, z której strony będzie wiało i tak dalej – denerwuje się ratownik. – No i osoby bez patentu nie zdają sobie sprawy z tego, że statek musi mieć prędkość, żeby utrzymać manewrowość. Zobaczą statek, dają na wsteczny i stają, a my dostajemy siódmych potów, żeby takiej jednostki nie uderzyć.

•

Ale starzy, doświadczeni ratownicy najbardziej skarżą się nie na niewiedzę, lecz na tzw. mental wypoczywających nad wodą. – Kiedyś była życzliwość albo chociaż uważność, dziś, jak płyną, to czują się panami całego świata. Zapłaciłem, należy mi się, płynę dużą jednostką, więc mogę wszystko.

O przepraszam, kolega trąbi, muszę mu odtrąbić – Kurowicki naciska klakson. – I nic takim ludziom nie można zrobić. W razie wypadku zjawia się policja, urząd żeglugi, mój patent kapitana ląduje na stół, ja dmucham w balonik, załoga dmucha, wszystkie papiery, wyposażenie przetrzepane. A ten pan, co we mnie wpłynął, nie ma patentu, najwyżej dostanie grzywnę i trzeba się z nim sądzić, żeby dojść odszkodowania.

– Rozmawiałam z innymi ratownikami, z policjantami, z wodniakami, każdego u turystów wkurzało trochę co innego. A pana, ratownika i kapitana jednocześnie, co wkurza u ludzi najbardziej?

– Ratownika nic nie powinno wkurzać, bo jak ktoś potrzebuje pomocy, to niesie pomoc. Ale najtrudniej to zdzierżyć bezczelność. Nawet bardziej niż głupotę.

Długo próbowaliśmy ludziom zwracać uwagę, pytać, dlaczego ktoś robi coś, co zagraża jego bezpieczeństwu, ale przestaliśmy, bo co słyszeliśmy w odpowiedzi? „Spier...!". Więc jako ratownik powinienem ugryźć się w język, ale powiem pani, że tym ludziom, co z własnej głupoty robią sobie krzywdę, to się nie do końca współczuje. Gorzej, jak krzywdę robią rodzice dzieciom. ●

Numer alarmowy zintegrowanego systemu ratownictwa nad wodą: 601 100 100.

Numer alarmowy aktywny zawsze i wszędzie: 112

wyborcza | magazyn **wyborczej** WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl a8fd4bb077

ŚWIAT

Ołeh Sencow:

MÓWIĄC O WOJNIE ALBO KŁAMIESZ, ALBO NIE MÓWISZ NIC

FOT. LAURENT VAN DER STOCKT/GETTY IMAGES

– Bo prawda nie podoba się nikomu – mówi reżyser i żołnierz Ołeh Sencow, laureat Nagrody Sacharowa.

Nakręcił operację ewakuacyjną na froncie. „Moje GoPro na hełmie zaczęło nagrywać. Nie chciałem tego filmu, ale po pewnym czasie uznałem, że jest potrzebny".

Óscar Gutiérrez

EL PAÍS

Najnowszy film Sencowa łączy w sobie dwa paradoksy. Pierwszy polega na tym, że przez 90 minut pokazuje prawdziwą wojnę – ale bez walki. Drugim jest to, że reżyser nakręcił go bez scenariusza czy nawet planu, właściwie przez przypadek, jako dowódca w okopie, a nie jako filmowiec. Podkreśla to zresztą wielokrotnie podczas rozmowy: teraz uważa siebie za wojskowego, nie artystę.

Urodzony 48 lat temu w wiosce Skaliste, niedaleko Symferopola na ukraińskim półwyspie Krym, obecnie okupowanym przez Rosję, Sencow jest jak kot – zamiast jednego miał już kilka żyć, wszystkie bardzo intensywne. To, w którym był aktywistą rewolucji Euromajdanu; to, które doprowadziło go po sądowej farsie do rosyjskiego więzienia; to, które zmusiło go do 145-dniowego strajku głodowego, po którym stał się symbolem wolności sumienia i laureatem Nagrody Sacharowa; wreszcie to, które prowadzi teraz – jako żołnierz na froncie wschodnim przeciwko rosyjskim najeźdźcom. Dokument „Real", który został pokazany w lipcu na festiwalu filmowym w czeskich Karlowych Warach, opowiada właśnie o tym ostatnim.

„Został dobrze przyjęty przez krytyków, nie spodziewałem się tego", przyznaje w kawiarni w centrum Kijowa. „To nie kokieteria, serio: to film bez początku ani końca, i być może nie ma żadnego sensu czy znaczenia. Podobnie jak wojna".

Sencow mówi powoli, czasem bardzo cicho, ale zawsze z zielonymi oczami wpatrzonymi uważnie w rozmówcę. „Zazwyczaj – przyznaje – nie miałem włączonej kamery, gdy działo się coś naprawdę ważnego, nie sposób wtedy myśleć o filmowaniu". Ale punktem wyjściowym filmu „Real" jest moment, w którym GoPro przymocowane do jego hełmu zaczęło działać, bo przypadkowo je włączył, poprawiając sprzęt.

Ten dokument półtorej godziny z pewnego dnia małego oddziału ukraińskiej piechoty uwięzionego w okopie podczas operacji mającej na celu dotarcie do pozycji o kryptonimie „Real" – powszechnym zwyczajem sztabowców jest nazywanie pozycji na linii frontu nazwami klubów piłkarskich, aby ułatwić komunikację radiową. Pojazd wojskowy bradley, w którym jechał Sencow, został trafiony, zmuszając załogę do ukrycia się, podczas gdy organizowano ewakuację całej grupy uderzeniowej pod silnym ostrzałem wroga.

– Po 2,5 latach na froncie człowiek czuje się jak ściśnięta, skompresowana sprężyna... Wracam do oddziału za tydzień

„Kilka miesięcy po tych wydarzeniach – mówi Sencow, popijając wystygłą już herbatę – zdałem sobie sprawę, jak duża była pojemność karty mojego aparatu. W pierwszym odruchu chciałem to wszystko wymazać. Tamta walka kosztowała tak wiele

LENA LEADING — EUROPEAN NEWSPAPER – ALLIANCE

eprasa.pl a8fd4bb077

ofiar. Mimo to, albo właśnie dlatego pokazałem to moim przyjaciołom filmowcom, a oni uznali to za interesujące", wyjaśnia.

Operacja wojskowa, którą nagrał swoim GoPro, miała miejsce podczas kontrofensywy rozpoczętej latem 2023 przez armię ukraińską na froncie wschodnim. Zakończyła się niepowodzeniem. W rosyjskim kontrataku w godzinach, w których Sencow nakręcił tę długą sekwencję, w miejscu, w którym przebywał, zginęło 22 żołnierzy.

Pytam, czy pokazał ten film swoim kolegom z armii?

„Nie, oni to już widzieli... Wojna nie jest tak heroiczna, jak sugeruje kino. Wszelkie świetne filmy wojenne z ostatnich lat, widzom wydające się tak dojmująco realistyczne, są jedynie wyobrażeniem. Ja już nie lubię tego rodzaju filmowania".

„Prawdziwą wartością tego filmu, jak sądzę – dodaje Sencow – jest ukazanie walki o przetrwanie, kiedy musisz orientować się w sytuacji wszelkimi

– Film został dobrze przyjęty przez krytyków, nie spodziewałem się tego – przyznaje w kawiarni w centrum Kijowa. – To nie kokieteria, serio: to film bez początku ani końca, i być może nie ma żadnego sensu czy znaczenia. Podobnie jak wojna

zmysłami, raczej nasłuchując niż patrząc, ponieważ i tak nie widać, skąd nadejdzie śmierć".

Faktycznie, „Real" odzwierciedla, w prawdziwej sekwencji i zarazem w subiektywnym ujęciu, surowość frontu; strach w oczach mężczyzn w mundurach; oczekiwanie; gwizd pocisków, które przelatują tuż obok i zmuszają ludzi do odruchowego zgięcia karku; przerwana łączność; brak amunicji; bliska obecność wroga; zmęczenie, desperacja, jeszcze więcej strachu.

W tym sensie jest to dokument par excellence, niezrównany. Sencow nie dokonał żadnej edycji materiału, poza montażem dźwięku.

Sencow: „Gdy masz mówić o wojnie, albo kłamiesz, albo nic nie mówisz, bo nikomu nie spodobałaby się prawda. Gdyby ludzie wiedzieli wszystko, byliby oszołomieni tym horrorem".

Jego prawda, jego sprzeciw wobec nielegalnej aneksji Krymu, nie spodobała się Kremlowi już dekadę temu. Sencow został aresztowany przez rosyjskie władze w maju 2014, a następnie skazany na 20 lat więzienia za rzekome planowanie ataków terrorystycznych, w tym wysadzenie pomnika Lenina. Nigdy nie przyznał się do winy, nie było też żadnych dowodów. Społeczność międzynarodowa i świat kultury domagały się jego uwolnienia. Podczas uwięzienia w arktycznym więzieniu w północnej Rosji prowadził strajk głodowy.

Cztery lata po uwięzieniu Parlament Europejski przyznał mu Nagrodę Sacharowa za Wolność Myśli.

Ostatecznie we wrześniu 2019 został zwolniony w ramach wymiany więźniów. „W więzieniu – mówi – jesteś albo sam w celi, albo z ludźmi, którzy uważają cię za wroga. Na linii frontu oczywiście możesz zostać zabity, ale za to zachowujesz wolność, jesteś pośród przyjaciół i masz kontakt z rodziną".

Wkrótce po wyjściu na wolność Sencow nakręcił film „Nosorożec" o półświatku w latach 90. na Ukrainie – był w programie Festiwalu Filmowego w Wenecji. Potem zaczął pracę nad aż pięcioma różnymi scenariuszami niezwiązanymi z wojną o Donbas – ale wtedy Moskwa rozpoczęła inwazję na pełną skalę. Sencow zaciągnął się w lutym 2022, by brać udział w bitwie o Kijów. Po odparciu wojsk rosyjskich spod stolicy, już pozostał w wojsku, odtąd walczy w Donbasie.

Wyraźnie widać, że jest zmęczony. „Po 2,5 latach na froncie człowiek czuje się jak ściśnięta, skompresowana sprężyna... Wracam do oddziału za tydzień".

Co czuje do Rosji? „To, co Putin robi mojemu narodowi, można porównać tylko do działań Hitlera". Czy nakręci film fabularny o wojnie? „Tak, ale nie teraz. Robienie filmu o wojnie, gdy ona trwa, jest po prostu niewłaściwe". ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

1 RP

FOT. IVAN ANTYPENKO /REUTERS

Przygotowania do negocjacji

NATO już nie wierzy w zwycięstwo Ukrainy?

Rozejm w ciągu sześciu do dziewięciu miesięcy – mówią nam nieoficjalnie w Brukseli.

Christoph B. Schiltz

WELT

Już prawie nikt w kwaterze NATO w Brukseli nie spodziewa się, że Ukraina odzyska utracone terytoria. Ale nikt nie chce tego przyznawać – przynajmniej oficjalnie.

To był kolejny zły weekend dla Ukrainy. Rosyjscy najeźdźcy zdobyli dwie kolejne miejscowości w obwodzie donieckim, Prohres i Jewheniwkę, a ukraińskie brygady zmechanizowane – 31., 47., i 110. – znajdują się pod coraz większą presją wokół pobliskiego Oczeretyne. Siły rosyjskie wystrzeliły sześć ciężkich bomb szybujących na miasto Wochańsk na północ od Charkowa.

Prawdopodobnie to tylko kwestia czasu, gdy Rosjanie przełamią drugą linię obrony Ukrainy na froncie w Donbasie.

Jednocześnie Moskwa zdołała zmusić Ukrainę do koncentracji wojsk w rejonie Charkowa. „Ukraińcy złapali przynętę" – przyznaje pułkownik Markus Reisner z austriackiego ministerstwa obrony, który od początku wojny uważnie analizuje jej bieżący przebieg. Do tego wobec ciągłych ataków na infrastrukturę dostawy energii elektrycznej stają się coraz bardziej niepewne – miliony ukraińskich gospodarstw domowych często nie mają wody ani prądu przez wiele godzin.

Personel wojskowy i dyplomaci z UE i NATO od miesięcy z rosnącym niepokojem obserwują rozwój sytuacji na ukraińskim froncie. Nie mówi się o tym publicznie, aby nie osłabiać poparcia zachodniej opinii publicznej na Zachodzie i nie demotywować ukraińskich żołnierzy w ich kampanii obronnej przeciwko Rosji.

Przeprowadziliśmy liczne rozmowy na temat dalszego rozwoju sytuacji w Ukrainie. Nasi rozmówcy w Brukseli nie chcieli mówić o sytuacji Ukraińców pod nazwiskiem. Alę wypowiadając się anonimowo żaden z dyplomatów ani przedstawicieli NATO nie spodziewa się, że Ukraina osiągnie narzucony sobie cel odzyskania Półwyspu Krymskiego, który Rosja nielegalnie zaanektowała w 2014 roku.

Większość z nich wprost twierdzi, że – krótkich żołnierskich słowach – „Ukraina nie wygra". Konkretnie oznacza to definitywną utratę nie tylko Krymu, ale także innych wcześniej podbitych terytoriów. A stanowią one obecnie prawie jedną piątą całkowitej powierzchni kraju.

Jednak wysoki rangą środkowoeuropejski dyplomata, który jest w stałym kontakcie z ośrodkami decyzyjnymi w UE, powiedział:

„Celem Zachodu jest, aby Ukraina była w stanie utrzymać swoje pozycje w tym roku. Zakładamy, że Rosja powoli wyczerpie swoje siły wiosną 2025, siła rosyjskiej ofensywy znacznie przygaśnie, a z kolei Ukraina ponownie zacznie przejmować inicjatywę militarną". Niestety, jest to jednak opinia mniejszości.

Większości naszych rozmówców wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, że powoli zbliża się zawieszenie broni, być może w ciągu najbliższych sześciu do dziewięciu miesięcy – i to niezależnie od tego, kto będzie kolejnym prezydentem USA od stycznia.

„Biorąc pod uwagę okoliczności, nie widzę innej opcji niż zawieszenie broni. Sytuacja zamrożenia konfliktu ta może potem trwać latami, a lokalne naruszenia rozejmu będą się notorycznie powtarzać" – przyznaje jeden z czołowych dyplomatów unijnych.

Zapytany, czy Władimir Putin nie wykorzysta czasu zyskanego dzięki ewentualnemu zawieszeniu broni, aby skonsolidować poważnie nadszarpnięty potencjał swojej armii, a następnie ponowić atak, dyplomata powiedział: „Zachód musi również wykorzystać ten czas na poprawę swoich zdolności obronnych. Wtedy uda się powstrzymać Rosję przed kontynuacją wojny".

Moskwa mimo sankcji zarobiła 700 miliardów euro na eksporcie paliw

Dlaczego wiara Zachodu w ukraińskie zwycięstwo w dużej mierze osłabła? I dlaczego zawieszenie broni wydaje się teraz coraz bardziej realistyczne, a wręcz pożądane? W dużej mierze wynika to z założenia, że Zachód nie zwiększy swojego wsparcia wojskowego dla Ukrainy do poziomu, który umożliwiłby jej przeprowadzenie udanej kontrofensywy na dużą skalę.

W Waszyngtonie i Berlinie strach przed eskalacją wojny i nieprzewidywalnością Putina jest po prostu zbyt duży – co do tego panuje konsensus w kręgach wojskowych NATO. Konkretnie oznacza to, że kluczowi zachodni politycy, w tym przede wszystkim prezydent USA Joe Biden i kanclerz Niemiec Olaf Scholz, obawiają się – według ekspertów wojskowych – że Putin może użyć taktycznej broni jądrowej pod presją widma porażki na polu walki lub że Federacja Rosyjska może się rozpaść, co oznaczałoby, że kontrola nad ponad 6000 rosyjskich głowic jądrowych może wpaść w ręce terrorystów lub nieprzewidywalnych watażków, takich jak przywódca Czeczenii Ramzan Kadyrow.

To dlatego Zachód będzie nadal dostarczał Ukrainie broń „z wyczuciem proporcji". Z drugiej strony, Bruksela przyznaje również, że Rosja, w przeciwieństwie do Ukrainy, jest w stanie mobilizować więcej nowych rezerwistów – według Kijowa, na zajętych terytoriach jest obecnie 520 tys. rosyjskich żołnierzy, a według ukraińskiego głównodowodzącego Ołeksandra Syrskiego, do końca roku może być ich pod bronią nawet 690 tys.

Kolejną korzyścią dla Moskwy jest to, że miliardowe przychody z ropy naftowej, gazu i węgla napływają bezustannie – pomimo coraz szerzej zakrojonych zachodnich sankcji. Według fińskiego Centrum Badań nad Energią i Czystym Powietrzem (CREA), Rosja od początku wojny zarobiła na paliwach kopalnych 700 miliardów euro. Może to z łatwością sfinansować rosnące koszty wojny, a zwłaszcza produkcję broni, która idzie w rosyjskich fabrykach pełną parą.

Rosja zamieniła się w wielką fabrykę amunicji

Według naczelnego dowódcy sił NATO w Europie, Christophera Cavoli, Rosja może obecnie produkować trzy miliony pocisków artyleryjskich rocznie. To „ponad trzy razy więcej – według szacunków Pentagonu – niż jeszcze na początku wojny, a także więcej niż wszyscy członkowie NATO poza USA razem wzięci", powiedział Cavoli, składając raport Komisji Sił Zbrojnych Izby Reprezentantów.

Ukraiński prezydent wykazał ostatnio gotowość do bezpośrednich negocjacji z Rosją, po raz pierwszy podczas ewentualnych rozmów pokojowych w listopadzie. Kilka dni temu powiedział również: „Myślę, że wszyscy musimy zrozumieć, że wojna musi zakończyć się tak szybko, jak to możliwe".

Ale w miniony weekend Zełenski najwyraźniej lekko się wycofał z tych słów: w wywiadzie dla japońskiego nadawcy NHK powiedział mianowicie, że nie może zgodzić się na żądania zawieszenia broni, dopóki Rosja okupuje terytorium Ukrainy.

Prezydent zaczyna się wahać, bowiem już 44 proc. Ukraińców twierdzi, że nadszedł czas na negocjacje – jak wynika z sondażu przeprowadzonego przez renomowane Centrum Razumkowa.

Jednak w Brukseli zdają sobie sprawę z ryzyka, że zgoda na zawieszenie broni może oznaczać koniec politycznej kariery Zełenskiego. ●

eprasa.pl a8fd4bb077

Zamiast Rosji

PIERWSZE BUDDYJSKIE PAŃSTWO W EUROPIE

Często słyszę, że rozpad Federacji Rosyjskiej to myślenie życzeniowe. **Kiedyś często słyszałem, że Związek Radziecki będzie trwał w nieskończoność.**

Z **JANUSZEM BUGAJSKIM**
ROZMAWIA
AGNIESZKA LICHNEROWICZ

AGNIESZKA LICHNEROWICZ, TOK FM: Federacja Rosyjska się rozpadnie?
JANUSZ BUGAJSKI*: To niemal nieuniknione. Przy czym rozpad nie musi nastąpić nagle, może być rozłożony na raty. Nie musi prowadzić do całkowitego upadku i nie da się w pełni przewidzieć, jakie podmioty wyłonią się z pękania Federacji.

Ale biorąc pod uwagę kruchą rosyjską tożsamość oraz słabość państwa i jego gospodarczych, społecznych, a także politycznych fundamentów, Rosja naprawdę stoi w obliczu załamania się państwowości.

Zachód powinien się przygotować?
– To był temat tabu. Jednak w ostatnim roku zauważyłem zmianę: ośrodki analityczne zaczęły zajmować się przyszłością Rosji i jednym z rozważanych scenariuszy jest dezintegracja. Niezależnie, czy proces rozpadu zacznie się za dwa, czy za dziesięć lat – nie powinniśmy zostać zaskoczeni.

Wydaje się, że Zachód jest przerażony potencjalnym upadkiem Rosji.
– Wiele lat temu przygotowywaliśmy dla amerykańskiej agencji rządowej scenariusze przyszłości. Wymyśliłem taki, w którym Rosja poprosiła NATO o pomoc, by zapobiec rozpadowi. Gra wojenna opierała się na dylemacie, czy Sojusz powinien pomóc Rosji powstrzymać odrywanie się regionów.

To oczywiście skrajny wariant, niemniej nie jesteśmy przygotowani na kruszenie się Federacji. Jak współpracować z nowym przywództwem i ograniczyć chaos? Co, jeśli nowy rosyjski reżim ogłosi, że odrzuca imperializm, chce być normalnym państwem jak – powiedzmy – Kazachstan? Albo powstanie reżim rewizjonistyczny, który zechce wojny przeciwko jakiemuś wyrywającemu się regionowi – uznamy, że Moskwa ma prawo do tych terytoriów czy nazwiemy to inwazją?

Musimy być gotowi na różne scenariusze. Jest jeszcze oczywiście kwestia broni nuklearnej i powstrzymania jej rozprzestrzeniania się.

Co jest kluczowe?
– Po pierwsze, musimy być gotowi do obrony przed próbami zemsty ze strony Moskwy, która będzie obwiniała Zachód za rozbijanie Rosji. Ataki hybrydowe, choćby dezinformacyjne w Europie, już trwają. Jednak jak zareagujemy, jeśli Rosja zrzuci bombę na miasto w Estonii?

Po drugie, powinniśmy mieć dobre rozeznanie w sytuacji w regionach. Jak zareagujemy, gdy jakiś ogłosi niepodległość? Nie możemy popełnić tych samych błędów co wcześniej. Powinniśmy mieć kontakty wśród ludzi, którzy mogą przejąć władzę. Co zrobimy, gdy zwrócą się do nas o wsparcie ekonomiczne albo wystąpią o członkostwo w organizacjach międzynarodowych?

Czy to nie jest myślenie życzeniowe?
– Często to słyszę. Często też słyszałem prognozy, że Związek Radziecki będzie trwał w nieskończoność. Potem zaś w Waszyngtonie i zachodnich stolicach powtarzali, że po upadku ZSRR władzę w Moskwie przejmie demokratyczny rząd. Jeszcze później zachwycano się „modernizatorem" Dmitrijem Miedwiediewem – a ja napisałem wtedy książkę o ponownej imperializacji Rosji.

Zachodnia polityka wobec Rosji od dekad opiera się na życzeniowym myśleniu i na wybieganiu myślą niedaleko w przód. Czas na analizowanie w dłuższej perspektywie. Imperia powstają i upadają. Niektórzy twierdzą, że będzie to trzeci odcinek rosyjskiego upadku – najpierw wyrwała się m.in. Polska i rozpadł się blok sowiecki, potem upadł ZSRR i wyszły narody bałtyckie i państwa Azji Środkowej, a teraz czas na upadek tego, co zostało, czyli Federacji Rosyjskiej.

Czego Putin powinien się bać najbardziej: separatyzmów, protestów ulicznych czy buntu elit?
– Wojna w Ukrainie jedynie bardziej uwidoczniła trapiące Rosję od dawna przypadłości. Poważna militarna przegrana może się okazać iskrą. Ale może nią też być zła sytuacja gospodarcza. Być może wyzwalaczem okaże się suma różnych zjawisk.

Jeden ze scenariuszy, który zarysowałem w książce, zakłada, że w elicie wybucha walka o władzę. Centrum jest skupione na wojnie, pakuje w nią większość dochodów, więc jakiś regionalny rząd uznaje, że nie mogą już oddawać surowców do Moskwy. Nasilają się protesty przeciwko trudnym warunkom życia i brakowi opieki nad weteranami. A kiedy w Moskwie władza słabnie, wszystko może się zdarzyć.

Czemu szczególnie powinniśmy się przypatrywać?
– Przede wszystkim dochodom państwowym. Rosyjscy ekonomiści, z którymi rozmawiam, uważają, że strumień dochodów z paliw kopalnych wysycha i Moskwie brakuje pieniędzy na utrzymywanie gospodarki wojennej. Gazprom w zasadzie zbankrutował. Następny w kolejce jest sektor naftowy.

Poza tym Federacja zmaga się z niedoborem siły roboczej. Demografia jest nieubłagana, Rosja się kurczy, społeczeństwo się starzeje, setki tysięcy młodych wyjechały, kolejne tysiące zmobilizowanych zginęły.

Moskwa może liczyć na ratunek Chin.
– Chiny żądają tańszego paliwa. Nie chcą kupować za tę samą cenę co kiedyś Europejczycy. Wyzyskują Rosję do granic możliwości. Liczą na to, że upadnie lub będzie bezbronna wobec przejęć zasobów na Syberii.

Ale wiele analiz wskazuje na to, że rosyjska gospodarka ma się lepiej, niż można się było spodziewać, zyski z ropy rosną, PKB też.
– Moskiewska propaganda próbuje przekonać Zachód, że sankcje nie działają. Jednak eksperci zwracają uwagę, że przychody z ropy, czyli fundament budżetu, maleją, a długoterminowe prognozy są pesymistyczne, bo Rosja nie potrafi zrekompensować utraty europejskich rynków. Krajowe inwestycje w sektor energetyczny idą ślamazarnie i nie przynoszą spodziewanych efektów, a zagraniczne wraz z know-how wyparowały.

Gazprom radzi sobie coraz gorzej, w przegrzanej gospodarce gwałtownie rośnie inflacja, a rezerwy finansowe Moskwy się kurczą i wcześniej czy później sektor obronny nie będzie w stanie utrzymać produkcji. Masowe inwestycje państwa w gospodarkę wojenną mogą tymczasowo pozwolić Kremlowi na głoszenie, że PKB rośnie, ale w rzeczywistości na dłuższą metę wojenna strategia dusi gospodarkę.

Gdzie jeszcze są potencjalne słabości?

• **2 sierpnia, obchody Dnia Spadochroniarza w okupowanym przez Rosjan Doniecku**
FOT. REUTERS/ALEXANDER ERMOCHENKO

Scenariusz ewentualnego rozpadu Rosji

Granice Rosji | Terytoria na terenie Rosji, które mogłyby się odłączyć | Granice Gruzji | Terytorium na terenie Gruzji, które mogłoby się odłączyć | Terytorium Polski dla porównania

© GAZETA WYBORCZA

eprasa.pl a8fd4bb077

– Rosjanie przekonują, że tak jak w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej mają nieograniczoną liczbę żołnierzy. Ale w pewnym momencie dojdą do ściany. Według zachodnich wywiadów stracili pół miliona ludzi. Co istotne, w tym część elitarnych jednostek i korpusu oficerskiego.

Motywacją dla tych, którzy walczą, nie jest ruski mir, a po prostu pieniądze. Wygląda na to, że pieniędzy już nie starcza na pensje i odszkodowania dla rodzin. A na pełną mobilizację Putin się nie zdecydował.

Który region może się chcieć oderwać?
– Na przykład Czeczenia. Kadyrow ma problemy zdrowotne, jego rządy zbliżają się ku końcowi. Niczym w Korei Północnej może próbować namaścić kogoś z rodziny na następcę, ale Czeczenia to inna kultura i obyczaj – system klanowy, w którym frakcje będą walczyć o władzę. A secesja jednego z regionów może zainspirować kolejne.

Secesje będą odbywały się pokojowo?
– To będzie miks dwóch scenariuszy: radzieckiego i jugosłowiańskiego. Co było powodem masowej przemocy na Bałkanach? Nie ruchy secesjonistyczne, ale próba utrzymania przez Slobodana Milosevicia kraju w całości. Wiele będzie więc zależeć od tego, czy Putin spróbuje zmobilizować Rosjan – ruski etnonacjonalizm – przeciwko ludności nierosyjskiej. Jednak wbrew temu, co się często mówi, Putin nie jest rosyjskim etnonacjonalistą. Jest imperialistą.

Spotkałam w Ukrainie rosyjskich skrajnych nacjonalistów – walczą przeciw Putinowi.
– Są różne rodzaje rosyjskich nacjonalistów, ale większość z nich wcale nie chce, by Czeczenia była częścią Rosji. Natomiast imperialista próbuje separatyzmy powstrzymać.

Kto jeszcze może stanąć w kolejce do secesji?
– Na Kaukazie Północnym Dagestan, gdzie Rosjanie stanowią wyraźną mniejszość, Czeczenia oraz Inguszetia. Sytuacja z Osetią Południową jest bardziej skomplikowana, trudno przewidzieć, czy będą trzymać się Rosji.

Idąc dalej, jest kwestia Kabardo-Bałkarii, Karaczajo-Czerkiesji i Adygei, które są zamieszkane przez ludność czerkieską, i Bałkarów, którzy mogą stworzyć nowe republiki albo zbudować konfederację. Po upadku caratu siedem narodów tworzyło tam Republikę Górską.

Kto jeszcze?
– W regionie Idel-Ural leży sześć republik: Baszkortostan, Czuwaszja, Mari El, Mordowia, Tatarstan i Udmurcja – we wszystkich etniczni Rosjanie są w mniejszości, co więcej, ich społeczności się kurczą, a lokalne rosną. A po etnicznych Rosjanach to Tatarzy stanowią drugą największą grupę etniczną w Federacji.

Tatarstan ma ropę.
– I wciąż jest tam sporo rozgoryczenia, bo Moskwa próbuje zlikwidować stanowisko lokalnego prezydenta. Tatarstan był już o krok od ogłoszenia niepodległości w latach 90., ich problemem jest jednak to, że nie mają granicy z żadnym innym krajem. Ale tu warto zwrócić uwagę na tzw. korytarz oreburski, który Rosjanie utworzyli jako bufor pomiędzy Tatarstanem, Baszkortostanem a Azją Środkową. Region zamieszkuje duża populacja Kazachów, których w razie chaosu Kazachstan może chcieć bronić.

A dalej na wschód?
– Wielka, a mało omawiana kwestia mongolska. Mongolia to prawdopodobnie najbardziej demokratyczne państwo w regionie. Nawiasem, bardzo mnie irytuje, gdy ludzie mówią, że Rosjanie to Mongołowie – gdyby byli Mongołami, to byliby demokratyczni! To stereotyp sprzed ponad 500 lat.

Południowa Syberia jest zamieszkana przez sporą populację mongolską. Z Mongolią graniczą Tuwa oraz Buriacja. Są jeszcze Ojraci z Kałmucji. Wszyscy oni są buddystami. W tym regionie mogłoby więc powstać pierwsze państwo buddyjskie w Europie.

Secesja to scenariusz tylko dla mniejszości?
– Niektórzy eksperci prognozują, że wzrost frustracji może być spowodowany wyzyskiem ze strony centrum. Bałtycka Partia Republikańska z Królewca wzywa do stworzenia czwartej republiki bałtyckiej i zbliżenia z Polską oraz Litwą. Do dużych protestów w przeszłości dochodziło we Władywostoku i w Chabarowsku. Mieszkańcy, którym zależy na rozwoju gospodarczym regionu, wzywają do zbliżenia gospodarczego z Japonią, Koreą Południową, Kanadą i USA.

Są też regiony bogate w ropę oraz gaz, jak Chanty-Mansyjski Okręg Autonomiczny, Republika Komi i Sacha vel Jakucja. Zapewniają dużą część dochodów rosyjskiego budżetu, a pozostają biedne. Gdy zbiegną się wszystkie czynniki, o których mówiłem, lokalni przywódcy mogą zdecydować, że nie chcą już oddawać wszystkich zasobów Moskwie, lecz wolą bezpośrednio handlować z innymi krajami, choćby Chinami.

Potencjalnie jednym z najbogatszych krajów mogłaby zostać zamieszkana przez Jakutów Sacha z ogromnymi rezerwami złota, diamentów i metali, czyli surowców, które będą poszukiwane do nowych technologii. To ogromne terytorium, wielkości Indii, co prawda nie graniczy z innym państwem, ale z Oceanem Arktycznym, a w efekcie globalnego ocieplenia trasa morska może zostać otwarta.

Wśród przesłanek do rozpadu wymienia pan słabą rosyjską tożsamość. Jest słaba, bo zanim się rozwinęła, wykształcił się rosyjski imperializm.
– Nie ma jednej definicji tego, czym jest Rosja. Kiedyś student zapytał Putina o granice, a ten odpowiedział, że Rosja nie ma granic. Co to za kraj bez granic? Jaką ma tożsamość? We współczesnym świecie państwo musi mieć granice i jakoś współistnieć z sąsiadami. Chyba że będzie dążyć do ich zabicia i wchłonięcia, co właśnie próbują w Ukrainie, ale przecież daleko dalej już się nie posuną.

W Rosji trwa niekończąca się dyskusja – co to znaczy „rosyjski"? Na razie wychodzi na to, że „Ruski" to niby określenie etnicznego Rosjanina, a rosyjski to określenie imperialne.

Co zrobimy, gdy ogłaszające niepodległość regiony Federacji zwrócą się do nas o wsparcie ekonomiczne albo wystąpią o członkostwo w organizacjach międzynarodowych?

Ruski mir...
– ...ma obejmować tych, którzy mówią po rosyjsku i mieszkają w jakiejkolwiek wersji państwa rosyjskiego. To bardzo niedookreślona koncepcja. We współczesnym świecie ten stan po prostu nie może przetrwać – coraz mniej ludzi chce uczyć się rosyjskiego, a Moskwa ma coraz mniejsze znaczenie na arenie międzynarodowej. We współczesnym świecie najlepiej radzą sobie albo państwa narodowe, jak w Europie, albo – jak USA – wielonarodowe oparte na obywatelstwie. Rosja nie jest żadnym z nich.

Wielu znawców Rosji przekonuje jednak, że narody podbite przez Moskwę zostały silnie zsowietyzowane i zrusyfikowane, w efekcie ruchy emancypacyjne są zbyt słabe.
– Pełzająca rusyfikacja trwa, kilka lat temu Moskwa zniosła obowiązek nauki języka mniejszości etnicznych w ich republikach, co jeszcze bardziej je osłabiło wobec dominującego rosyjskiego. Ale w niektórych regionach ma to odwrotny skutek. W Baszkortostanie wybuchły protesty, do kolejnych, na tle ekologicznym, dochodziło nawet podczas wojny.

Kiedy resentyment i gniew będą rosnąć, wszystko może się zacząć dziać bardzo szybko. A pretensji będzie więcej razem z ludźmi wracającymi z frontu. Coraz więcej będzie pytań: Po co zginęli? Gdzie są pieniądze, które nam obiecano?

Sceptycy przekonują, że Rosjanie się nie buntują. Historycznie nauczyli się cierpliwie wiele znosić.
– W czasach caratu ludność chłopska była jeszcze bardziej uciskana. Ludzie nie znali przypadków narodów lub regionów odrywających się od caratu, dla nich cesarstwo tylko podbijało nowe ziemie. Dlaczego zatem mieliśmy wojnę domową, która trwała nawet po tym, gdy bolszewicy przejęli władzę w 1917 r.? Bolszewicy walczyli nie tylko z białymi, ale z różnymi regionami, które się buntowały, choćby na Dalekim Wschodzie.

To bardzo protekcjonalny pogląd, że Rosjanie są jak owce. To nie jest aż tak proste.

Może nie są, ale reżim staje się coraz brutalniejszy. Może liczyć na donoszących sąsiadów i najnowsze technologie inwigilacji. Właśnie z tego powodu trudno sobie wyobrazić protesty tam, gdzie Putin mógłby mieć naprawdę kłopoty, czyli w miastach.
– Rosjanie coraz bardziej odczuwają konsekwencje wojny w swoim codziennym życiu i – jak wskazują niezależne badania – potencjał protestu rośnie. A według analityków rośnie też potencjał protestu wśród lokalnych elit coraz bardziej dociskanych przez Moskwę. To może być podglebie poważnych problemów Kremla, gdy zacznie brakować federalnych środków na wsparcie regionów.

Natomiast represje wobec organizacji wyzwoleńczych uznanych przez Kreml za ekstremistyczne mogą przynieść odwrotny skutek, dociśnięcie śruby równie dobrze może się przyczynić do rosnącego oporu mieszkańców nierosyjskich regionów.

Brzmi to trochę, jakby był pan kontynuatorem tzw. polskiej myśli wschodniej, tej piłsudczykowskiej, a później giedroyciowskiej. W której Polska miała wspierać walkę o wyzwolenie narodów podbitych przez Moskwę, by rozsadzić imperium.
– Jestem przekonanym neoprometeistą. To antyimperialny i antykolonialny ruch. To demokratyczna polityka, jej celem jest przecież promowanie niepodległości regionów i narodów, które nie chcą być podporządkowane Moskwie.

Nie wszystko zawsze się udawało, ale prometeizm ma na koncie sporo sukcesów. Pierwsza faza to wyzwolenie Finlandii, krajów bałtyckich i Polski. Druga nastąpiła po upadku Związku Radzieckiego, gdy doszło do wyzwolenia wszystkich krajów środkowoeuropejskich. Myślę, że teraz mamy trzecią fazę prometeizmu. Ja sam współpracuję z przedstawicielami ruchów i grup na wygnaniu, ostatnio spotkaliśmy się w Wilnie na Forum Wolnych Narodów po Rosji.

To nieduże reprezentacje, do tego bez głębszych wpływów, a przede wszystkim bez możliwości działania w ojczyznach.
– Początkowo byliśmy ignorowani, ale rosyjscy urzędnicy zaczynają nas traktować poważnie. Jeden z deputowanych Dumy ogłosił w czasie trwania Forum, że Wilno powinno zostać zbombardowane. Jeśli zaczynają się pojawiać takie głosy, to nie przypadkiem. Tak samo jak wynaleźli ruch LGBT, a potem go zakazali, tak samo zakazali tak zwanego antyrosyjskiego ruchu separatystycznego. To pokazuje rosnącą paranoję.

Liderem ruchu neoprometejskiego jest teraz Ukraina. Jej Rada Najwyższa utworzyła nawet komisję ds. poprawy stosunków z rdzennymi narodami Rosji, która aktywnie wspiera ruchy niepodległościowe. A ukraińskie zaangażowanie przenosi temat z – jak szydzono – kanapy i kawiarnianego klubu dyskusyjnego do poważnej polityki.

Wspieranie narodów daje większe szanse na upadek obecnego reżimu niż współpraca z liberalną opozycją?
– Jest kilka rosyjskich środowisk opozycyjnych. Ja najlepiej znam Kongres Deputowanych Ludowych z liberalnym demokratą, byłym parlamentarzystą Ilją Ponomariewem. Część tych ludzi pełniła w Rosji funkcje pochodzące z wyborów, więc ma jakąś legitymację i rozpoznawalność, może nie powszechną, bo po wielu latach gumkowania ich to niemożliwe – ale jednak. Sam Ponomariow był jedynym deputowanym, który sprzeciwiał się aneksji Krymu.

Kongres uznaje prawo narodów do samodzielnej decyzji, czy chcą zostać w Rosji, czy się wybić na niepodległość. I chce, by Rosja była prawdziwą federacją. A takiej deklaracji nie usłyszymy od Julii Nawalnej czy Michaiła Chodorkowskiego, oni są wciąż tzw. liberalnymi imperialistami.

A co, jeśli nic się nie zmieni – Rosja będzie trwać taka, jaka mniej więcej jest?
– Na to też musimy być przygotowani. Dlatego trzeba zadbać o bezpieczeństwo i dlatego nie wolno nam uznawać nowych rosyjskich granic i zdobyczy terytorialnych. ●

FOT. HOTNEWS.RO/DOMENA PUBLICZNA

Janusz Bugajski

• ekspert waszyngtońskiego centrum analitycznego The Jamestown Foundation. W przeszłości dziennikarz, analityk, wykładowca i doradca amerykańskich organizacji i agend rządowych. Autor ponad 20 książek, m.in. „Fourth World Conflicts: Communism and Rural Societie", „Cold Peace: Russia's New Imperialism", „Expanding Eurasia: Russia's European Ambitions". Właśnie ukazała się po polsku najnowsza – „Państwo upadłe. Droga do rozpadu Rosji".

eprasa.pl a8fd4bb077

Plankton potrafi ugryźć

Szanse na ulokowanie u nas dużej rosyjskiej agentury są niewielkie. Ale…

Stefan Niesiołowski*

Jaka jest skala rosyjskich wpływów w Polsce? Co wiemy o politycznym i medialnym planktonie, który działa na ich rzecz? O tym pisze Przemysław Witkowski w „Partii rosyjskiej".

Nie chcę popadać w spiskową teorię dziejów i nie zakładam, że wszystkie nasze problemy polityczne to sprawka demonicznego Putina. Czasem jednak wystarczy w odpowiednim miejscu odpowiednim ludziom podrzucić jabłko z napisem „Dla najpiękniejszej" i sami zaczną się brać za łby. Taki jest mechanizm rosyjskich działań zmierzających do wprowadzenia u nas chaosu, podziałów, zajadłych sporów osłabiających społeczeństwo i możliwości obronne państwa.

Już samo szukanie i analizowanie rosyjskiej agentury działa na jej rzecz, jak wszystko, co dzieli i utrudnia racjonalne działanie. W czasach opozycji demokratycznej, szczególnie tzw. przedsierpniowej, nielicznej, nękanej różnymi szykanami, wkładaliśmy wiele trudu w ustalanie, kto wśród nas jest agentem SB, kto donosi. Pamiętam, jak na jednym z podziemnych zebrań mój brat Marek (skazany w procesie Ruchu na 3,5 roku więzienia) powiedział: – Wariat czy ubek, to przecież na jedno wychodzi.

Po upadku komunizmu i otwarciu akt SB okazało się, że z reguły najbardziej radykalni, antysowieccy, wzywający do niezłomnego oporu okazywali się donosicielami.

Podobne mechanizmy dotyczyły wielu konspiracji, w tym całej prawie emigracji we Francji w XIX wieku. Do dziś nierozstrzygnięte jest pytanie o Macierewicza: szkodzi i działa przeciw Polsce, na rzecz Rosji, ale czy działa świadomie, kierując się przekonaniami, czy jest „świrem"?

•

Historia stosunków polsko-rosyjskich sprawia, że szanse na ulokowanie tu dużej rosyjskiej agentury są niewielkie, a możliwości powstania partii otwarcie wzywającej do podporządkowania Polski Rosji, na wzór Komunistycznej Partii Polski, żadne. Taka partia natychmiast zostanie okrzyknięta zdrajcami. KPP istniała tylko raz, a i tak zdobyła w Polsce władzę pod inną nazwą i to z pomocą Armii Czerwonej. Dziś pozostaje jedynie tworzyć różnego rodzaju prorosyjskie grupki, które autor precyzyjnie opisuje, segreguje i diagnozuje.

Przychodzi na myśl Mickiewicz, który opisując wojska carskie, pisze: „Żeby rozróżnić pułki w tej piechocie,/ Trzeba mieć bystry wzrok naturalisty,/ Który przegląda wykopane w błocie/ I gatunkuje, i nazywa glisty" („Dziadów części III Ustęp", „Przegląd wojska"). Jako biolog, którego habilitacja polegała w dużym stopniu na opisywaniu i badaniu wyszukiwanych w błocie larw i poczwarek muchówek (Diptera), w pełni potwierdzam trafność tej opinii.

Książka Witkowskiego jest charakterystyką ważniejszych, bardziej znanych i dłużej działających grup, partii, różnego rodzaju struktur i politycznych planów mających na celu podporządkowanie Polski Rosji.

Same intencje, zamiary i motywy autorów politycznych pomysłów prowadzących do budowania rosyjskiej agentury nie mają znaczenia w wymiarze politycznym. W moralnym mają istotne, bo ważne jest, czy ktoś działa z głupoty czy chciwości, czy z wrogości do narodu i państwa polskiego.

Witkowski wyróżnia kilka podstawowych typów motywacji prorosyjskiej agentury. Pomijając te finansowe werbowanych i opłacanych agentów, których co jakiś czas wyłapują służby, a którzy podpalają np. supermarkety czy przekazują Rosji informacje wojskowe, mamy do czynienia z tradycyjnie endeckim prorosyjskim „realizmem politycznym". A w ślad za tym z nienawiścią do liberalnego „zgniłego Zachodu" oraz „amerykańskiego imperializmu", Ukraińców czy Niemców. A także np. z narodowym komunizmem, którego symbolem jest Mieczysław Moczar. Są też grupy wprost nawiązujące do KPP i istniejące na obrzeżach partii Razem, która co jakiś czas ujawnia swoje urojenia.

Istnieje wreszcie wiele filiacji i inklinacji pośrednich. W latach 80. powstawały pod kontrolą władz PRL-u różne organizacje jak Narodowe Odrodzenie Polski, Stronnictwo Narodowe itd., którym patronowali nestorzy endecji jak Napoleon Siemaszko, Jan Matłachowski, Bogusław Rybicki (wszyscy byli tajnymi współpracownikami SB).

Odzyskanie niepodległości w 1989 r. otworzyło przed prorosyjskimi środowiskami trafnie nazywanymi przez Witkowskiego „partią rosyjską" nowe możliwości.

> Już samo szukanie i analizowanie rosyjskiej agentury działa na jej rzecz. Jak wszystko, co dzieli i utrudnia racjonalne działanie

•

Grupy widzące w UE czy w całym Zachodzie zagrożenie dla tradycyjnej moralności, polskości i katolicyzmu otwarcie głosiły, że wrogiem jest Zachód, Żydzi, masoni, a nie Związek Sowiecki, komuniści czy Rosja, która powstała na gruzach ZSRR. Tego rodzaju poglądy głosił m.in. Marian Barański, a nieco później Janusz Korwin-Mikke.

Powstanie KOR-u (1976), organizacji o ogromnych zasługach dla odzyskania wolności, wywołało furię u nacjonalistów i antysemitów, jak Barański; powołał on do życia Komitet Obrony Życia i Rodziny, który zajmował się głównie zwalczaniem KOR-u jako organizacji żydowskiej, trockistowskiej i antypolskiej. Komitet otrzymał pełne poparcie prymasa Wyszyńskiego i sekretarza Episkopatu Polski Bronisława Dąbrowskiego.

Już wtedy powinien zapalić się sygnał ostrzegawczy, że Kościół w Polsce gotowy jest sprzymierzyć się ze środowiskami agenturalnymi i antypolskimi w obronie swoich interesów, a jego poparcie dla demokratycznej Polski – przejściowe. Co osiągnęło pełny wymiar w okresie reżimu pisowskiego. Niestety, takie światełko się nie zapaliło, przynajmniej nie u mnie. Naiwnie sądziłem, że Kościół zawsze będzie działał na rzecz wolnej i demokratycznej Polski.

•

Głównym celem polityki rosyjskiej wobec niepodległej Polski jest likwidacja tej niepodległości poprzez dzielenie społeczeństwa, destabilizację i wywoływanie sporów wewnętrznych. Temu służy też jawnie korzystające w pewnym okresie z rosyjskich nadajników na Uralu Radio Maryja. Podsyca ono wszelkie możliwe konflikty, atakuje Unię, demokrację i wykorzystuje religię do celów politycznych.

Tadeusz Rydzyk organizuje własne partie lub grupy w innych partiach i udziela poparcia wybranym przez siebie politykom. Najczęściej tym antyzachodnim i prorosyjskim.

Radio Maryja (ta nazwa to bluźniercze nadużywanie imienia Matki Boskiej) włącza się do działań szkodliwych dla Polski, dzielących społeczeństwo, propagujących kłamstwo i nienawiść. Taką kampanią było podsycanie kłamstwa smoleńskiego, którego rzecznicy twierdzili, że katastrofa pod Smoleńskiem była mordem politycznym popełnionym przez Tuska razem z Putinem.

To kłamstwo właściwie nadal głosi pisowska propaganda, a Radio Maryja i inne media pana Rydzyka nigdy swoich kłamstw nie odwołały. Inne szkodliwe działania w/w rozgłośni to np. popieranie antyszczepionkowców, których brednie prowadzą do rozprzestrzeniania się chorób i utrudniają profilaktykę. To tylko najbardziej spektakularne przykłady szkodliwości mediów rzekomo katolickich, a w istocie niemających nic wspólnego z nauką Kościoła.

Przez pewien czas w Polsce działała jawnie prorosyjska partia Zmiana, której liderem był Mateusz Piskorski, wywodzący się z Samoobrony. Sprzeciwiała się rozmieszczeniu wojsk NATO w Polsce, witała na granicy wjeżdżających na motocyklach zwolenników Putina, tzw. Nocne Wilki, popierała aneksję Krymu.

•

Witkowski wymienia wiele grup, które działają na rzecz Moskwy, wzniecając niepokoje, nazywa to „pompowaniem chaosu". „Kreml inwestuje ogrom czasu, energii i funduszy, by uczynić głos takich środowisk słyszalnym. Promowane jest wszystko, co wzbudzi najwięcej emocji społecznych, co pogłębi polaryzację polityczną i konflikty. Bez wsparcia Moskwy ruchy te zapewne nadal by działały i wyznawały dotychczasowe cele, lecz skutki ich aktywności zapewne byłyby słabsze".

Mamy tutaj ludzi od dawna niestrudzenie popierających Rosję jak Korwin-Mikke, który też niestrudzenie zakłada partie i niestrudzenie kandyduje w różnych wyborach. Głosi konieczność przyłączenia Krymu do Rosji czy wyjścia Polski z Unii.

Towarzyszy temu przedziwna sympatia do dyktatur. Twierdzi, że za Hitlera było lepiej, o komorach gazowych milczy lub ich istnienie podważa (Hitler nie wiedział), za Hitlera były niższe podatki itp. W dodatku wielokrotnie obrażał kobiety – lubią być gwałcone – niepełnosprawnych i gejów.

Do „pompowania chaosu" należy zaliczyć też działania integrystów religijnych jak Ordo Iuris, obrońców życia na czele z fundacją Prawo do Życia Mariusza Dzierżawskiego. Integryści obsadzali wiele ważnych stanowisk, doprowadzili do faktycznego zakazu aborcji, czym wywołali falę protestów setek tysięcy ludzi (co być może sprawiło, że PiS przegrał wybory 15 października).

•

Nie cały, ale niestety Kościół odgrywa dziś rolę negatywną. W każdej prawie ważnej kwestii zajmuje stanowisko szkodliwe dla Polski lub milczy. Jawnie poparł kryminalistów Wąsika i Kamińskiego, wystosował haniebny list do żon torturowanych męczenników.

Przy kościołach rozprowadzana jest propaganda smoleńskiego kłamstwa, broszury antysemickie, anyszczepionkowe brednie, pisowska zakłamana wersja historii Polski z kultem Lecha Kaczyńskiego, Jarosława – zbawcy ojczyzny, dokonaniami Macierewicza, Rydzyka, „żołnierzami wyklętymi", szkodliwością liberalnego Zachodu itp.

W książce mamy obszerny katalog grup prorosyjskich oraz listę ludzi szkodzących Polsce i działających na rzecz Rosji. Niektórzy od lat, niektórzy w krótkim okresie i znikają jak efemerydy, np. Zygmunt Wrzodak, Ryszard Opara (kandydat na prezydenta nacjonalistów) czy Bogusław Kowalski. Jest to lista obszerna, ale nic nie wskazuje, by w dającej się przewidzieć przyszłości wyszło stamtąd jakieś istotne zagrożenie dla Polski.

•

Tomasz Piątek uważa, że „mamy w Polsce dwie partie rosyjskie. Jedna z nich to bohaterowie książki Witkowskiego, jawni zdrajcy. Druga to obóz rządzący związany z Prawem i Sprawiedliwością. W tym drugim przypadku zdrada rzadko kiedy jest zupełnie jawna. Tu antyrosyjskie deklaracje tuszują i upiększają proklemlowską politykę. Czasem tylko jakiś sygnalista z wnętrza »dobrej zmiany« odsłania przed nami kurtynę".

Uważam tę konkluzję za błędną, do jawnych zdrajców należy także Konfederacja, wroga wobec Ukrainy, Unii; ostatnio część jej członków zapisała się do frakcji w europarlamencie współtworzonej przez kryptonazistowską, jawnie wrogą wobec Polski AfD.

„Partią rosyjską" jest także PiS. Być może Kaczyński, który zna historię, chciałby podobnie jak Lenin wykorzystać pieniądze rosyjskie do zdobycia władzy w Polsce, a później się zobaczy. Lenin otrzymywał wsparcie od Niemiec, w zamian za co dokonał przewrotu w Rosji i zawarł pokój z Niemcami.

Ale sojusz PiS-u z rosyjskimi agentami jak Orbán czy Le Pen, niszczenie demokracji, co prowadzi do osłabienia Polski, działa na rzecz Rosji. Tak samo jak podpalanie Polski poprzez głoszenie, że Polską rządzą niemieccy agenci, mordercy i zdrajcy, a patriotami mogą być tylko zwolennicy PiS-u. Co upoważnia do stwierdzenia, że stoi on na czele kolejnej „partii rosyjskiej". ●

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Stefan Niesiołowski

• ur. w 1944 r.. były poseł, wicemarszałek Sejmu, senator. W czasach PRL-u działacz opozycji demokratycznej i więzień polityczny.
• Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

• Przemysław Witkowski, **„Partia rosyjska",** Arbitror 2023. Już w dobrych księgarniach oraz w formie e-booka na Publio.pl

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ

KOBIETY BOJĄ SIĘ ARABÓW. ALE MÓJ SĄSIAD Z SYRII JEST SPOKO

Jednego takiego widziałem, to mu mówię, że *to the right*, na prawo są Niemcy”. Rozkręca się kryzys migrancki na kolejnej granicy?

Anna Mikulska

• **18 kwietnia 2023, Görlitz: Manifestacja lokalnego ugrupowania Wolni Sasi „Stop powodzi azylantów” podczas sesji rady powiatu Görlitz, na której decyduje się budowa dwóch schronisk dla azylantów** FOT. SEBASTIAN KAHNERT / DPA / AFP

Z perspektywy miasta granicznego widać więcej. Decyzje dotyczące polityki migracyjnej zapadają daleko stąd – jak na przykład ta, by między Zgorzelcem a Goerlitz wprowadzić kontrole graniczne z powodu migrantów jadących z granicy polsko-białoruskiej po lepsze życie do Niemiec. Trwają już od połowy października i nie zapowiada się, by miały zniknąć.

Spodziewałam się ogromnych korków i sfrustrowanych mieszkańców. Miałam podstawy, bo tak było na początku. Burmistrz Zgorzelca Rafał Gronicz opowiada, że kilkakrotnie interweniował w sprawie kontroli granicznych u niemieckiego sąsiada. – Widzimy, że trochę się zmieniły, choćby dlatego, że samochody w trakcie sprawdzania są ściągane z drogi na bok – mówi, gdy spotykamy się w ratuszu. Dodaje jednak, że na autostradzie A4 problem jest większy, bo nawet przy wyrywkowej kontroli pojawia się korek.

Za to ruch w centrum miasta odbywa się niemal płynnie, a Bundespolizei – niemiecka Policja Federalna – tylko z rzadka zatrzymuje jakiś samochód na moście imienia Jana Pawła II nad Nysą Łużycką. Tak jak wtedy, gdy uwagę mundurowych zwrócił granatowy volkswagen. Wysiadł zeń jeden mały pies, a za nim trzech śniadych mężczyzn mówiących po rosyjsku. Dwóch policjantów przesłuchiwało ich na poboczu dobrą godzinę.

– Te kontrole to pokazówka – przekonują jednak mieszkańcy. – Taki straszak, nic więcej – wzruszają ramionami.

Ruch samochodowy śledzą nie tylko ludzie, ale też zaawansowany technologicznie system monitoringu; działające w Goerlitz kamery systemu PERIS, od Personal-Identification System, zbierają informacje dotyczące tablic rejestracyjnych oraz twarzy kierowców i pasażerów. Ale choć wydawać by się mogło, że za sprawą niemieckiej perfekcyjnej organizacji mysz się nie przeciśnie – nie to, co na wciąż w dużej mierze dziurawej granicy białoruskiej – rzeczywistość pograniczna to przemyt i międzynarodowe grupy kryminalne.

•

Dziesięć lat temu Polska i Niemcy podpisały umowę mającą ułatwić współpracę służb. Od 2007 roku w Świecku działa Centrum Współpracy Polsko-Niemieckiej, które koordynuje działania służb granicznych, celnych i policyjnych w sprawach pościgów transgranicznych. Chodzi głównie o przemyt narkotyków, a w uboższej, przedunijnej przeszłości też samochodów i alkoholu.

W latach 90. w Zgorzelcu trwała wojna gangów Jacka B. ps.”Lelek” i Zbigniewa M. ps. „Carrington”, która kosztowała życie wielu ludzi, a szczątki ciał do dziś odnajdywane są w podmiejskich lasach. Obaj zajmowali się głównie przemytem spirytusu z Zachodu do Polski, zarabiając na tym miliony. „Carrington” został ujęty w 1998 roku, co uważa się za kończenie „wojny zgorzeleckiej”. W tym roku „Lelek”, po odsiedzeniu 15 lat w więzieniu, popełnił samobójstwo.

Dziś na granicy odbywa się zupełnie inny, choć równie, a może nawet bardziej lukratywny przemyt – ludzi. Globalnie działające siatki szmuglerów generują miliardowe zyski każdego roku. W kwietniu ministra spraw wewnętrznych Niemiec Nancy Faeser szczyciła się, że od października służby zatrzymały 708 przemytników. Brzmi imponująco, lecz chodzi o ostatnie ogniwo szerokiego procederu. Zdecydowana większość z nich pochodzi z Ukrainy, Syrii albo Gruzji, to po prostu kierowcy, ludzie od czarnej roboty.

Którzy coraz częściej, zamiast ryzykować przejazd i kontrolę, zatrzymują się tuż przed granicą i każą klientom przejść z kraju do kraju na własnych nogach. Pod mostem znajduje się pokryte graffiti techniczne przejście. Policja zainstalowała tam ogrodzenie zwieńczone concertiną, ale nie da się drutem kolczastym przegrodzić całej Nysy – a ta rzeka jest wdzięczna do przekraczania, w niektórych miejscach ma półtora metra, w innych sięga nieco powyżej kostek.

Radny AfD z Goerlitz: Nie chcemy wzrostu agresji ani umocnień stereotypów wobec tych obcokrajowców, którzy już się tu zintegrowali. My przed tym ostrzegaliśmy, a teraz winę za te nastroje zwala się na nas

Nadrzeczny park pod wieczór pełen jest rowerzystów, spacerowiczów z psami, znajomych rozmawiających po polsku, niemiecku, ukraińsku. Gdy siedziałam po niemieckiej stronie, na drugim brzegu przemknął mężczyzna z plecakiem, w pomarańczowej czapce z daszkiem. Schował się w zaroślach dokładnie naprzeciwko mnie. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie. Chciałam zagadać, ale gdy zeszłam z mostu po polskiej stronie, zastałam jedynie wgniecioną trawę.

– Pewnie, że przechodzą przez rzekę. Sama widziałam jednego – mówi mi sprzedawczyni w budce z lodami po polskiej stronie, tuż nad brzegiem rzeki.

Od stycznia do maja na granicy – tylko na odcinku między Polską a Saksonią – Niemiecka Policja Federalna odnotowała 4336 „nieuprawnionych wjazdów”, głównie obywateli Ukrainy, Syrii i Afganistanu. Informacji, ile takich przejazdów odnotowano od początku wprowadzenia kontroli, policja nie była w stanie mi udzielić. Ukraińcy, jak dowiaduję się z kolei w urzędzie miasta, to głównie osoby, które już w Niemczech były, ale wróciły na jakiś czas do ojczyzny i miały problem z ponownym przekroczeniem wewnątrzunijnej granicy.

Z kolei Nadodrzański Oddział Straży Granicznej informuje, że w pierwszej połowie roku w ich oddziale zatrzymano 546 cudzoziemców (w samym Zgorzelcu – 290), którym służby niemieckie odmówiły wjazdu. Byli to głównie obywatele Rosji, Syrii i Białorusi, a dalej Afganistanu, Armenii i Turcji.

•

Na jakiej podstawie odbywają się zawrócenia? I co dalej dzieje się z tymi osobami?

Kluczowe znaczenie ma tu europejskie rozporządzenie Dublin III, które oznacza, że wniosek o ochronę międzynarodową powinien zostać rozpatrzony w pierwszym bezpiecznym kraju, do jakiego dotrze wnioskodawca – czyli w tym przypadku w Polsce. Rzecz w tym, że kolejny kraj – etap podróży, w tym przypadku Niemcy, może skorzystać z możliwości i odesłać migranta – ale nie musi.

– Z uwagi na względy rodzinne albo jeśli np. zatrzymana osoba przebywała na ich terytorium nielegalnie już kilka lat i można podejrzewać, że ułożyła sobie życie, Niemcy mają możliwość rozpatrzenia jej wniosku o ochronę międzynarodową u siebie, niezależnie od tego, przez jaki kraj wcześniej przejechała – tłumaczy Filip Rakoczy, prawnik ze stowarzyszenia Nomada, które świadczy pomoc prawną osobom migrującym.

Rozporządzenia nie stosuje się jednak bezpośrednio na granicy, bo osoba składająca wniosek o ochronę międzynarodową powinna zostać przyjęta i sprawdzona w ośrodku recepcyjnym. Bundespolizei zapewnia mnie, że zawrócone bezpośrednio na granicy mogą być tylko te osoby, które nie ubiegają się o ochronę i nie mają prawa wjazdu, a o każdym zawróceniu informowana jest polska Straż Graniczna.

Tymczasem w mediach niedawno pojawiły się doniesienia o afgańskiej rodzinie, którą w połowie czerwca niemieccy policjanci przewieźli na terytorium Polski, konkretnie do wsi Osinów Dolny w zachodniopomorskim. Straż Graniczna utrzymuje, że nie została o niczym poinformowana, a pozostawienie rodziny na terytorium Polski „odbyło się z naruszeniem zasad współpra-

eprasa.pl a8fd4bb077

cy obu służb i prawa regulującego kwestie przekazywania osób". Z kolei niemiecka policja nie uważa, by złamała prawo, bo osoby zawrócono po ustaleniu, że mają już rozpoczętą procedurę azylową w Polsce. Dodała też, że polscy funkcjonariusze zostali o „przekazaniu" poinformowani.

Sprawa zbulwersowała premiera Donalda Tuska, który zapowiedział interwencję u kanclerza Olafa Scholza.

●

Ile takich sytuacji ma miejsce – nie wiemy. A to nie koniec problemów.

– Obserwujemy trudności związane z zakwaterowaniem osób na terenie Polski w sytuacji, gdy nie złożą wniosku o ochronę międzynarodową i jednocześnie nie można wobec nich wykonać zobowiązania do powrotu ze względu na sytuację w ich krajach pochodzenia. Nie mogą być wtedy skierowane do ośrodków dla cudzoziemców, a Straż Graniczna coraz częściej każe im zgłaszać się po prostu raz w tygodniu do jej placówki, gdyż nie ma możliwości zapewnienia im dachu nad głową. Dotarły do nas osoby, które się skarżyły, że strażnicy zostawili je na stacji benzynowej przy granicy, zdarzyło nam się też opiekować ludźmi, którzy zostali sami na ulicach Zgorzelca – mówi Rakoczy.

Pogranicznicy z kolei zapewniają, że każdy, kto zgłosi potrzebę, otrzymuje pomoc od organizacji pomocowych albo samych funkcjonariuszy. Sprawę komplikuje luka w systemie – migranci z państw takich jak Syria czy Afganistan nie mogą zostać deportowani z uwagi na niebezpieczeństwo panujące w ich kraju. Co więc się stanie, jeśli zostaną cofnięci do Polski, ale nie będą chcieli się ubiegać tu o status uchodźcy? Rakoczy zauważa, że Straż Graniczna ma wtedy ograniczone możliwości działania. – A do odmowy ubiegania się o ochronę międzynarodową w Polsce często nakłaniają ich przemytnicy, strasząc, że uniemożliwi im to dalszą podróż w przyszłości. Są też i tacy, którzy po doświadczeniach granicy polsko-białoruskiej nie chcą tu zostać albo po prostu za wszelką cenę pragną się dostać do Niemiec czy Francji – dodaje.

●

Gdy pracowałam nad tym tekstem, dotarły do mnie informacje o historiach podobnych do tej z Osinowa Dolnego w samym Zgorzelcu. Zawróceni i zdezorientowani cudzoziemcy lądowali na ulicach miasta, nocowali pod gołym niebem w parku Nadnyskim, by spróbować przekroczyć granicę raz jeszcze.

Zaprzeczają temu i Policja Federalna, i Straż Graniczna. „Przed każdym przekazaniem cudzoziemca z Niemiec zarówno w ramach procedury dublińskiej oraz na podstawie readmisji [czyli przekazania] służby niemieckie informują o tym polską Straż Graniczną. Natomiast funkcjonariusze niemieccy nie mają obowiązku informowania strony polskiej o osobach, które otrzymują odmowy wjazdu na terytorium Niemiec, podczas przeprowadzanej tam tymczasowej kontroli granicznej" – informuje mnie rzecznik Nadodrzańskiego Oddziału SG.

– Wiem, że zawróceni migranci są przekazywani funkcjonariuszom, a co się z nimi dalej dzieje, to już pytanie nie do mnie. Zapewniam jednak, że nie ma dzikich tłumów migrantów koczujących w Zgorzelcu – mówi z kolei Rafał Gronicz.

„Dzikich tłumów" rzeczywiście nie widać, chociaż europosłanka PiS Anna Zalewska w serii tweetów z końca maja przekonywała, że mieszkańcy Zgorzelca „nie mogą spać spokojnie, boją się o bezpieczeństwo swoich rodzin". Dodała, że przemytnicy przywożą ludzi do miasta, a ci „do czasu nielegalnego przekroczenia granicy uprzykrzają życie mieszkańcom polskiej strony".

Wybieram się więc na długi spacer po mieście, by dowiedzieć się, jak widzą sytuację sami zgorzelczanie.

– Jednego takiego widziałem, to mu mówię po angielsku, że *to the right,* na prawo są Niemcy, a ten dalej idzie przed siebie, zagubiony taki. Ale tak to spokojnie, nic tu się nie dzieje – przekonuje mnie emerytowany mężczyzna, skręcając papierosa nad ogniskiem tuż przy brzegu Nysy.

– Widać ich, śpią czasem w parku, wędrują. No i co z tego? Przyjdą i pójdą. Problemów nie sprawiają. To nie jest temat, o którym byśmy tutaj rozmawiali – mówi z kolei sprzedawczyni w Żabce w średnim wieku.

Co innego po drugiej stronie rzeki. Tam obojętność wobec migracji rozmywa się w potoku skrajnych opinii.

●

Niechęć wobec przyjmowania uchodźców – głównie z Bliskiego Wschodu, ale też tych z Ukrainy – to jeden z głównych powodów popularności Alternatywy dla Niemiec (AfD), która we wschodnich landach cieszy się rosnącym poparciem, sięgając aż 30 proc. Niewykluczone wręcz, że w Saksonii, Turyngii i Brandenburgii wygra wrześniowe wybory do landtagów. Koalicja rządowa Olafa Scholza (centrolewicowa SPD, Zieloni i liberałowie z FDP) z niepokojem patrzy na wzrost popularności AfD, często oskarżanej o głoszenie skrajnych, a nawet neonazistowskich poglądów.

– Doświadczenie migracji na wschodzie i zachodzie Niemiec jest kompletnie inne. W 1989 roku tylko 1 proc. obywateli byłego NRD miało pochodzenie migracyjne w porównaniu z 34 proc. w RFN – tłumaczy Kamil Frymark, ekspert od niemieckiej polityki z Ośrodka Studiów Wschodnich. Do kontekstu historycznego dochodzi niezadowolenie z władzy kanclerza Scholza czy zielona transformacja, która uderzy w kieszenie zwłaszcza uboższej, czyli właśnie wschodniej części Niemiec. A że programy socjalne obejmują nie tylko obywateli, ale też osoby ubiegające się o ochronę, rośnie poczucie niesprawiedliwości.

– Wielu uważa, że uchodźcy spoza Europy czy z Ukrainy otrzymują od państwa wszystko, a „swoi", rodacy poszkodowani w wyniku transformacji ustrojowej, zostali bez żadnego wsparcia. Widzą, że ich podatki idą na pomoc socjalną, tylko nie dostrzegają, że osoby, które opiekują się nimi w szpitalu czy w domach spokojnej starości, to właśnie osoby z pochodzeniem migracyjnym – dodaje specjalista.

●

Jak wynika z danych niemieckiego Instytut Badań nad Zatrudnieniem, ponad 60 proc. uchodźców, którzy przybyli do Niemiec w pamiętnym roku 2015 PublikujAngela Merkel ogłosiła politykę otwartych drzwi – znalazło zatrudnienie w ciągu kolejnych siedmiu lat. Często w gastronomii, produkcji czy opiece społecznej. „Podczas gdy średnie zarobki uchodźców są znacznie niższe niż średnie zarobki pracowników urodzonych w Niemczech, zdecydowana większość z nich nie jest uzależniona od dodatkowych świadczeń socjalnych" – czytam na stronie instytutu.

Mimo to politycy AfD gardłują, że świadczenia socjalne dla cudzoziemców są zbyt kosztowne i przyciągają imigrantów, którzy nie chcą pracować. Tak to widzi choćby Sebastian Wippel, poseł do landtagu Saksonii z ramienia AfD i były policjant. Umawiamy się wcześnie rano w piekarni Bäckerei Wittig w centrum miasta. Kilka osób pije poranną kawę, przegryzając ciastem z kremem albo lukrowanym pączkiem. W roli tłumacza towarzyszy nam Lutz Jankus, szef frakcji AfD w radzie miasta, z Goerlitz związany od 20 lat.

Wippel był o krok od wygranej w wyborach na burmistrza w 2019 roku. Oczy Niemiec zwróciły się wtedy w kierunku niewielkiego Goerlitz, bo byłby to pierwszy członek AfD na takim stanowisku. Przegrał w drugiej turze, ustępując miejsca węgierskiemu imigrantowi Octavianowi Ursu. Dziś skupia się na wrześniowych wyborach do landtagu Saksonii. Jest dobrej myśli – w tegorocznych wyborach do europarlamentu AfD zdobyło 40 proc. głosów mieszkańców powiatu Goerlitz.

Gdy siedzimy w kawiarnianym ogródku, mija nas trzech mężczyzn w drogich na oko marynarkach. Wymieniają z posłem pozdrowienia i uśmiechy. – To lokalny biznesmen – wskazuje na jednego z nich Jankus.

Dopytuję Wippela, czy nie widzi związku pomiędzy wzrostem antyimigranckich nastrojów a działaniami jego partii. Skoro statystyki zaprzeczają narracji o leniwych migrantach, to może problem sztucznie kreuje partyjna retoryka? – Władza centralna, media, przedstawiają nas jako ultraprawicę, ale prawda jest taka, że gdy tylko widzimy, że któryś z członków prezentuje poglądy bardzo radykalne lub nawet nazistowskie, to zostaje wydalony z szeregów – odpowiada, po czym dodaje, że społeczeństwo naprawdę jest coraz bardziej radykalnie nastawione wobec migrantów, a jego partia właśnie przed tym przestrzegała jeszcze w 2015 roku.

– Nie chcemy wzrostu agresji ani umocnień stereotypów wobec tych obcokrajowców, którzy już się tu zintegrowali. Teraz winę za te nastroje zwala się na nas, chociaż jesteśmy tylko opozycją.

●

W powiecie Goerlitz (255 tys. mieszkańców) „tych obcokrajowców" są tysiące – 34 narodowości. Najwięcej Polaków (8 tys.) i Ukraińców (3 tys.), następnie osoby w procedurze azylowej (2 tys.) – rozdzielane proporcjonalnie po terytorium całego kraju – oraz z przyznaną ochroną (540), głównie z Syrii. Wippel załamuje ręce nad tymi z Bliskiego Wschodu.

– Na Marienplatzu w centrum miasta mieszkańcy boją się przychodzić, bo jest okupowany przez migrantów, zwłaszcza tych młodych, którzy szwendają się w grupach. Powszechnie wiadomo, że to miejsce niebezpieczne, mamy tam do czynienia z przemocą i narkotykami. Polacy ani Niemcy nie chcą walczyć o swoje, wolą unikać tych miejsc, żeby nie skończyć z nożem w brzuchu – oburza się, a ja dopytuję, czy zna konkretne przypadki, w których osoby z Bliskiego Wschodu zaatakowały lub były agresywne wobec Niemców.

Przekonuje, że prasa nie chce o takich sytuacjach pisać, ale zaniepokojeni mieszkańcy odzywają się do niego bezpośrednio. Podaje przykład agresywnych Syryjczyków, którzy rozkręcili bójkę w lokalnym klubie.

O tej sytuacji rozmawiam później w radach obu miast, gdzie słyszę, że to było po prostu nieporozumienie, a nie „atak grupy mężczyzn". Ale i tak zwolennicy zamkniętych granic lubią wyciągać tamto zdarzenie, chociaż zwykle wystarcza im samo nieokreślone „zagrożenie". Bo niepokoi ich po prostu sama obecność „obcych kulturowo".

– Proszę sobie wyobrazić, że poszedłem kiedyś z żoną i wnuczką na plac zabaw i byłem jedynym Niemcem, bo żona Polka. Na boisku grała jakaś grupa cudzoziemców, tych przybyszy. Moja żona poczuła się tak niekomfortowo, że postanowiliśmy stamtąd pójść – opowiada Lutz Jankus.

Jakie są więc postulaty partii w kontekście migracji? Wippel wymienia: wnioski o ochronę powinny być rozpatrywane w trybie przyspieszonym, a ci, którzy nie mogą zostać w Niemczech, powinni być wydalani natychmiast. Osoby, które ubiegają się o status uchodźcy, mają zamiast świadczeń pieniężnych dostawać pomoc rzeczową. Taki sam standard powinien działać w całej Unii. – Zobaczymy, kto wtedy będzie docierał do Europy – kwituje.

●

Tyle że migranci – uchodźcy czy nie – Niemcom są potrzebni. Starzejące się społeczeństwo samo nie udźwignie gospodarki. Według danych Federalnej Agencji Pracy do 2035 roku w kraju będzie 7 mln wakatów, a rąk do pracy już brakuje w zasadzie w każdym sektorze.

– Tu kłania się problem z uznaniem kwalifikacji cudzoziemców, które jest zbiurokratyzowane, a więc trudne i długotrwałe – tłumaczy Kamil Frymark. Specjalista zwraca jednocześnie uwagę, że hojny system socjalny przysługujący i starającym się o azyl, i Niemcom nie tylko może utrudniać społeczną aktywizację zawodową, ale też daje wiele pozytywnych efektów. Ludzie otrzymują stabilność, mogą poczuć się bezpiecznie – a gdy wiedzą, że nie będą musieli żyć z dnia na dzień, z trudem zaspokajając podstawowe potrzeby, mogą inwestować czas w edukację swoją i dzieci, od nauki języka poczynając. – Ten system umożliwia wyrównywanie szans ludziom żyjącym w Niemczech. Trzeba jeszcze tylko po prostu tak zarządzać nieuregulowaną imi-

1 RP

Goście idą

4336
NIEUPRAWNIONYCH WJAZDÓW
• **odnotowała Bundespolizei na odcinku granicy między Polską a Saksonią od stycznia do maja, głównie obywateli Ukrainy, Syrii i Afganistanu**

546 CUDZOZIEMCÓW
• **zatrzymał Nadodrzański Oddział Straży Granicznej w pierwszej połowie 2024. Głównie obywateli Rosji, Syrii, Białorusi, Afganistanu, Armenii i Turcji**

708 PRZEMYTNIKÓW LUDZI
• **zatrzymały niemieckie służby od października 2023 do kwietnia 2024. Głównie płotki, np. kierowców**

1 PROC. OBYWATELI WSCHODNICH NIEMIEC
• **miało pochodzenie migracyjne tuż przed zjednoczeniem. W Niemczech zachodnich 34 proc.**

PONAD
60 PROC. UCHODŹCÓW
• **którzy przybyli do Niemiec podczas wielkiego kryzysu migracyjnego 2015 roku, znalazło zatrudnienie. Głównie w gastronomii, produkcji i opiece społecznej**

40 PROC. MIESZKAŃCÓW POWIATU GOERLITZ
• **zagłosowało na AfD w wyborach do europarlamentu**

34 NARODOWOŚCI
• **żyją w 255-tysięcznym powiecie Goerlitz. Najwięcej Polaków (8 tys.) i Ukraińców (3 tys.), osób w procedurze azylowej (2 tys.) i Syryjczyków (540)**

7 MILIONÓW WAKATÓW
• **będzie w Niemczech w 2035 r.**

Sprzedawczyni z Żabki w Zgorzelcu: Migranci? Widać ich, śpią czasem w parku, wędrują. No i co z tego? Przyjdą i pójdą. Problemów nie sprawiają. To nie jest temat, o którym byśmy tutaj rozmawiali

eprasa.pl a8fd4bb077

gracją, by jak najszybciej umożliwić cudzoziemcom wejście na rynek pracy i zachęcić ich do tego – dopowiada.

Sebastian Wippel ma jednak inną receptę na brak pracowników. – Potrzebujemy porządnej polityki rodzinnej, która sprawi, że Niemcy będą zakładali rodziny, chcieli mieć dzieci.

Dziś pracuje nieco ponad połowa osób, które dotarły do Niemiec w latach 2015-16. Czy to mało, czy dużo – eksperci różnie oceniają. Z kolei w oczach przeciwników migracji i prawicowych populistów sprawa jest prosta: nie „ponad połowa się stara", tylko „prawie połowie się nie chce".

To interpretacje, a fakty są takie, że dla cudzoziemców spoza Europy istnieją liczne bariery utrudniające wejście na rynek pracy. Znacznie łatwiej jest za to kolejnym pokoleniom imigrantów, które już są pełnoprawnymi obywatelami.

Statystyki nie do końca współgrają również z narracją o rosnącej fali migrantów, w tym z granicy polsko-białoruskiej. Każdego roku Niemcy otrzymują 200-300 tys. wniosków o azyl, ale w tym roku odnotowano spadek ich liczby o 20 proc. (częściowo zapewne z powodu wprowadzonych kontroli granicznych).

Nie jest też tak, że partie głównego nurtu czy – jak chcą populiści: „establishmentu" – nie dostrzegają problemu. Od czasów kanclerz Merkel polityczna narracja wokół migracji znacząco się zmieniła. Sam Olaf Scholz zapowiedział, że konieczna jest szybsza i zwiększona deportacja osób, które nie mają prawa pobytu w Niemczech.

Obecnie 47 proc. osób ubiegających się o azyl w Niemczech otrzymuje ochronę.

●

Kilka minut piechotą od Bäckerei Wittig znajduje się okazały, secesyjny dom towarowy Jugendstilkaufhaus, który posłużył za plan filmowy do „Grand Budapest Hotelu" Wesa Andersona. Średniowieczne miasto z zachowaną architekturą kolejnych epok upodobało sobie wielu innych hollywoodzkich reżyserów. Turyści w piętrowych, czerwonych autobusach odwiedzają kolejne przystanki na filmowej trasie „Görliwood". Tuż obok domu towarowego znajduje się betonowy skwer z fontanną. Marienplatz – to właśnie przed nim przestrzegał mnie Sebastian Wippel.

Na jednej z ławek siedzi kobieta, obserwuje kilkuletnią córkę bawiącą się w wodzie. Kilka metrów dalej mężczyzna rozmawia przez telefon po arabsku. Na ławkach pod drzewami grupka Polaków pije tyskie z puszki. Obrazek uzupełnia starsza kobieta w hidżabie, nieco izolująca się na końcu niewielkiego placu, zapatrzona w fontannę.

Mijam ten skwer w drodze do ratusza, gdzie spotykam się z Alexandrem Klausem, komisarzem ds. migracji i integracji miasta Goerlitz. – Pan Sebastian Wippel jest politykiem i politykę musi uprawiać – uśmiecha się i dodaje, że mieszkańcy już odczuwają konsekwencje rosnącej popularności AfD. – Mam przyjaciół, lekarzy i inżynierów, którzy decydują się na wyprowadzkę nie tylko z Goerlitz, ale w ogóle z Saksonii, bo boją się tutejszego radykalizmu.

Wspomina o odbywającej się co poniedziałek demonstracji organizowanej przez Franka Liskego z młodej i niewielkiej Partii Wolnej Saksonii, na której wcześniej podnoszone były hasła sprzeciwu wobec szczepień na COVID-19, a dziś także wobec imigracji i dostaw broni do Ukrainy. – Jeśli AfD wygra wybory, obawiam się, że będziemy mieli problem z odpływem pracowników i przedsiębiorców – uważa Klaus. Jednocześnie zapewnia, że władze miasta nie zaobserwowały przemocy ze strony cudzoziemców wobec obywateli Niemiec ani odwrotnie. – Oczywiście, zdarzają się przypadki przestępstw czy konfliktów, ale dokładnie tak samo jak gdziekolwiek indziej na świecie.

Życie w Goerlitz wydaje się spokojne niezależnie od pory dnia. Wojnę kulturową obserwuję co najwyżej na murach, gdzie nasprejowane hasła lokalnej antify i wlepki „FCK AfD" są konsekwentnie zamalowywane i zrywane. Ale temat migracji wyraźnie dzieli społeczeństwo.

W ciągu kilku dni spędzonych po niemieckiej stronie rozmawiałam z osobami w różnym wieku, różnej płci i profesji. Słyszałam na przykład:

„Nasze państwo ma wiele do zaoferowania, więc oczywiście, że powinniśmy przyjmować uchodźców. Poza tym kiedyś sami możemy znaleźć się w potrzebie" (baristka, etniczna Niemka);

„Oni potrafią tylko niszczyć kraj, do którego przyjeżdżają. To taka mentalność, nic nie poradzisz. Ja tu przyjechałem w latach 90., mnie ludzie znają, wiedzą, że jestem porządny i pracuję" (sprzedawca kebaba z Turcji);

„Kobiety boją się wychodzić wieczorami z domów, wszędzie tych Arabów pełno. Ale będę głosował na CDU, bo AfD nie ma dobrych polityków" (dwudziestoparoletni Niemiec);

„Zobacz, tam idą. A czekaj, to akurat mój sąsiad z Syrii, ten jest spoko. Porządni też się zdarzają" (jego kolega z Polski);

„Absolutnie nie możemy ich wpuszczać. Na kogo zagłosuję we wrześniu? Nie będę na to odpowiadał, skończyłem z panią rozmowę" (czterdziestokilkuletni pracownik budowlany, rodowity Niemiec);

„Czy się boję? Ani trochę, tutaj straszne są co najwyżej procedury legalizacji pobytu" (nastolatka z Ukrainy).

●

Wieczorem, gdy upał trochę odpuszcza, przychodzi czas na dłuższe spacery po mieście. W trakcie jednego z nich poznaję Mustafę i Bashara al Hamada. Obaj są z Damaszku w Syrii, obaj w średnim wieku, obaj w procedurze azylowej od ponad roku.

Bashar przypłynął na wyspy greckie, stamtąd szlakiem bałkańskim, przez Czechy, dotarł do Niemiec. Mustafa ma za sobą granicę polsko-białoruską. – W Białorusi strażnicy bili mnie i szczuli psami, ale sytuacja w naszym kraju zmusza nas do tej drogi. Niemiecka policja przyjęła mnie tu z godnością – przekonuje.

Obaj czują się tu dobrze, nie doświadczyli rasizmu ani przemocy, zapewniają, że Niemcy są mili i uprzejmi. – Wiem, że moja twarz może sprawiać wrażenie, że jestem gwałtownym człowiekiem, ale uwierz mi, jestem naprawdę miłą osobą – śmieje się Bashar. – Jestem tutaj gościem i nie zrobiłbym niczego, co mogłoby zdenerwować Niemców.

W trakcie trwania procedury osoby ubiegające się o ochronę nie mogą legalnie pracować, ale obaj trzydziestoparolatkowie zapewniają, że zasiłek wystarcza im do przeżycia. – Gdy dostanę status uchodźcy, znajdę pracę i sprowadzę tu moje dzieci – mówi Mustafa, po czym znika na chwilę i wraca, częstując mnie słodką, mrożoną kawą w małej puszce, którą kupił w sklepie spożywczym prowadzonym przez emerytowanego Syryjczyka Mohammada.

W sklepie duży ruch, głównie ludzie o bliskowschodniej urodzie, ale nie tylko. Na półkach hummus w małych kartonikach, bliskowschodnie przyprawy, chleb pita, warzywa i owoce. Gdy później tego dnia robię zakupy na kolację, zagaduję Mohammada o sytuację jego rodaków uchodźców.

– Żyję tu od ośmiu lat, nie mogę na nic narzekać, ale moim ludziom jest ciężko, bo uciekają, szukając bezpieczeństwa, a Europa nie chce tego zaakceptować – wzrusza ramionami. ●

Parlament Europejski

• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA
20. ROCZNICA ŚMIERCI MIŁOSZA

Czesław Miłosz

Grób matki

I.
Mały glob srebrny w ruchu i planety
Elektronowym biegające torem
Dokoła słońca atomu. Lecz dla nas
Istnieje zawsze jeden punkt na ziemi
Który powraca w bezsensownym śnie
Gdy manekiny o szyjach drewnianych,
Bez głów, prowadzą taniec albo psy
Skaczą na nogach z rzeźbionego drzewa.
Między pamięcią, która niepokoi
Bo mówi: na nic zwyciężać minione,
I niepamięcią, która jest obrazą
Dla naszych pojęć o własnej dobroci,
Żyjemy chwiejni, podczas gdy pośpiesznie
Jak muchy w świetle bezustannych lamp
Elektron w pustce wymija elektron.

II.
O jakże huczy w te jesienne noce
Morze u ujścia Wisły. Grzmot napełnia
Płaską nizinę pod rzędami wierzb
I wiatr północny czesze suche trawy,
Dyszy w burzanach i sypie się szkło
Z rozbitych okien martwego kościoła.
Ciężkimi deszczu kroplami zmywane
Tarcze podłużne z grubego metalu
Zatarte znaki zwracają do chmur
W pobliżu miejsca gdzie są połączone
Ziemia i resztki tej co mnie zrodziła.
Samotność wieczna, krzyk wędrownych ptaków,
I bezustanny, głuchy oddech morza.

III.
Czysty poranek nad wodą był, matko.
Biała pierś ptaka na różowej toni
Między oparem ciemnego sitowia
I niezmącone radosne promienie.
Aż nagle obłok zjawił się i chmury
Zakryły słońce a wtedy łzy gniewu
Stanęły w oczach. Czemu tak jest, matko,
Że ani ranek, ani kwiat ni śniade
Jabłko na szorstkiej gałęzi jabłoni
Nie potrwa dłużej niż to jedno mgnienie?
Czemu otwiera się skrzydło motyla
Na lot mierzony ziarnkami klepsydry
I czemu matko sama być przestajesz
Piękną dziewczyną w której się kochałem?
Czyż nie ma rady żeby farbą złotą
Czy przezroczystą, pokryć świeżą różę
I tak zachować – na zawsze, na zawsze,
Kwiaty i ranki, drzewa i motyle?
Temu pytaniu oddawałem życie
Chcąc być jak tafla w której się powtarza
To co raz jeden na niej się odbiło.
I obojętny na to czy przedłużę
Świat o wiek cały czy o jedną chwilę.

IV.
A potem, matko, przychodzi dojrzałość
A z nią dążenie aby doprowadzić
To co złożone do najprostszych form
I chęć służenia ludziom. Wielkie prawa
Którymi rosną i giną gromady
Jawią się wtedy i mija się z żalem
Okno za którym pod lampą rodzina
Siedzi za stołem, nieświadoma losu.
I płacz jutrzejszy wchodzi w ciche sady
I małe życie, pokruszona glina,
Którą żelazna zgniata rękawica,
Jest materiałem krwawego eposu.
Niepowstrzymany pęd gwałtownych rzek,
Darmo stać z boku, załamując dłonie,
Ciałami ludzi podpalony wiek
Niech raczej nasze marzenia pochłonie.

V.
Ale pomiędzy tymi co pojmują
Żniwo narodów i lot błyskawicy
Jak w dni proroków jest mąż sprawiedliwy
I wielomówny mąż brudnego serca.
Czemużbym, matko, miał nie wierzyć w Piekło
Jeżeli uścisk wymieniałem dłoni
Z tymi, co w swoich nie patrzących oczach
Noszą niepokój i fałsz potępieńców?
O psy przeklęte, oprawcy człowieka,
Zapytujący ze śmiechem: cóż człowiek?
Albo wrzeszczący: człowiek, człowiekowi,
Z nogą opartą bliźniemu na gardle.
O nieszczęśliwi, co nie znają nawet
Chwili bojaźni pod obszarem nieba
I nie przyznają się nigdy przed sobą
Do wiedzy którą mogą mieć o sobie.
Nieprawda, matko, że w ludzkim rodzaju
Nie ma zbawionych ani potępionych.
Któż jednak powie: jestem sprawiedliwy,
Kiedy z tchórzostwa rośnie obojętność,
Z obojętności o zbrodni milczenie,
Z milczenia tylko śmierć i oskarżenie?

VI.
W historii księgę patrząc sfałszowaną
Gdzie podrobione wpisują wyroki
Któż się do dziejów odwołać poważy
Aby nadały tytuł jego czynom?
Któż papierowym odda się wawrzynom
Które na własny przygotował posąg?
Komu wystarczy od własnego cienia
Zachęty doznać albo potwierdzenia
I latom ufać, aż w pył go rozniosą?

VII.
Pomóż mi stworzyć miłość wiecznie żywą
Z mojej wytrwalej ze światem niezgody,
Natchnień i czynów jedyne ogniwo
Nieznane tworom bezmyślnej przyrody.
Rzecz tylko ludzką, w której elektronów
Rój obojętnie pociskami praży.
Dzieło istoty która w wielkim domu
Samotna mieszka z pleśnią swojej skazy,
Punkt nieruchomy, co dziejom na przekór
Na złe i dobre dzieli to co płynne,
Pomóż mi matko umocnić w człowieku,
Ty co znasz moje przysięgi dziecinne.
Spraw, niech mojego nie składam ciężaru.
Niech wiatr od Wisły biegnie oceanem.
Żeś chciała życia udzielić mi daru
Bądź pozdrowiona w imię Boga. Amen.

Czesław Miłosz urodził się 30 czerwca 1911 r., zmarł 14 sierpnia 2004, za cztery dni przypada 20. rocznica jego śmierci. Wiersz za jego tomem „Światło dzienne" (Instytut Literacki paryskiej „Kultury", 1953), jego pierwszą książką poetycką wydaną na emigracji.

FOT. MICHAŁ MUTOR / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl a8fd4bb077

WENEZUELA

System wyświetla komunikat o błędzie

FOT. REUTERS/LEONARDO FERNANDEZ VILORIA

• Caracas, Boliwariańska Gwardia Narodowa - paramilitarna formacja policyjna - pacyfikuje protesty przeciwko sfałszowanej wygranej Nicolasa Maduro w wyborach prezydenckich

Amerykanie znieśli sankcje na pół roku. Wystarczyło, żeby w Caracas otworzył się salon ferrari.

Mateusz Mazzini

10 czerwca był w szeregach Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Wenezueli, zwanej dalej po prostu Partią, dniem niezwykłej wręcz mobilizacji, ale i rozgardiaszu. Oto lider Partii, przywódca fizyczny i duchowy narodu wenezuelskiego, nowe wcielenie rewolucji boliwariańskiej Nicolás Maduro zarządził Wielki Test Wyborczy.

W kraju demokratycznym przedsięwzięcie o takiej nazwie można by od biedy uznać za telewizyjny teleturniej, w którym fanatycy historii najnowszej rywalizują na niszowe szczegóły i okruchy wiedzy elektoralnej. Jednak w Wenezueli, która demokracją od dawna nie jest, był to test w dosłownym tego słowa znaczeniu. Maduro postanowił sprawdzić, w jakim nastroju są jego wyborcy – i przede wszystko, czy na pewno są jego wyborcami.

Opisana niżej historia polskim czytelnikom może wydać się prozaicznym bareizmem, komediową pocztówką sprzed kilku dekad, dlatego obarczam ją od razu przypisem, że wydarzyła się naprawdę.

Otóż Partia w Wenezueli, podobnie jak na przykład na Kubie oraz niegdyś wszędzie w bloku wschodnim, strukturę ma niewyobrażalnie wręcz złożoną, wielopiętrową, z mnóstwem kacyków słabszych i silniejszych. Opiera się na lokalnych, osiedlowych komórkach, czymś na kształt POP, „podstawowych organizacji partyjnych" w czasach Polski Ludowej. Przewodniczącym tychże osiedlowych jednostek Maduro wydał żołnierski komunikat. Każdy miał obowiązek dodać do spisu wyborców 10 osób, które 28 lipca pójdą głosować w wyborach prezydenckich.

Nie była to jednak akcja profrekwencyjna, tylko budowanie poparcia dla dyktatora, wybory przeprowadzającego wyłącznie fasadowo. Każdy lokalny aktywista musiał osobiście gwarantować, wszyscy z jego dziesiątki stawią się w lokalu wyborczym – i oddadzą głos na Maduro.

Ponieważ żadna autokracja nie umie odseparować lojalności od stałego nadzoru, listy były oczywiście weryfikowane. Jeśli okazywały się niepełne albo podane nazwisko nie widniało już w spisie wyborców, osiedlowy działacz dostawał telefon z centralni. Rozpoczynało się śledztwo, Partia sprawdzała, co zawiodło. Problemy techniczne z rejestracją, choroba obywatela – zwolennika reżimu, nieważny dokument tożsamości?

Kiedy listy zweryfikowano, szefowie partyjnych komórek dostali drugi rozkaz, brzmiący znacznie bardziej złowrogo: to był test, 28 lipca będzie egzamin, macie jedno podejście. Ponosicie odpowiedzialność za doprowadzenie tych ludzi do lokalu wyborczego. Za wszelką cenę.

•

Już sama ta czerwcowa operacja byłaby wystarczającym powodem do uznania wenezuelskich wyborów za sfałszowane – a to było najlżejsze z oszustw Maduro. W nawałnicy jego opresyjnych polityk i aktów przemocy wobec opozycji mogłoby przejść całkowicie niezauważone.

Wenezuelski autokrata długo zwodził świat, zachowując pozory gotowości do demokratycznych ustępstw. Podpisywał nawet porozumienia o nieagresji z opozycją, którą sam wcześniej bezceremonialnie wyrzucił z kraju. Niektórzy dali się na to nabrać. Przez pierwsze miesiące 2024 roku również w specjalistycznych, eksperckich mediach poświęconych Ameryce Łacińskiej dało się przeczytać analizy, że tym razem szwindli już nie będzie.

Kolejna kradzież wyborów miała być niemożliwa, bo społeczeństwo jest zbyt biedne, by dało się po raz kolejny nabrać, a dyktatura już nie ma środków do kupowania poparcia, Wenezuela jako państwo i Wenezuela jako naród znalazły się na skraju całkowitego upadku. W takich sytuacjach zmiana ustrojowa jest bardziej prawdopodobna, bo ludzie – nie tylko zwykli obywatele, beneficjenci reżimu też – mają mniej do stracenia. Ryzykowne rozwiązania stają się jedyną drogą wyjścia z impasu, a akurat co do tego zdawał się panować olbrzymi konsensus – że Wenezuela dalej w takim stanie funkcjonować nie może.

Jako pierwsi wyjechali najbardziej zamożni, najlepiej wykształceni. Klasa kreatywna; ci, którzy wiedzieli, że poradzą sobie za granicą

Według danych UNHCR od 2015 r. z kraju wyjechało 8,5 mln osób. Zgodnie ze scenariuszem widzianym już dziesiątki razy w zamykających się na świat dyktaturach, jako pierwsi dali nogę najbardziej zamożni, najlepiej wykształceni. Klasa kreatywna; ci, którzy wiedzieli, że poradzą sobie za granicą. Dołączali do krewnych w USA i Hiszpanii.

W kolejnych latach zaczął się eksodus już bolesny, pełen ludzkiego cierpienia – bo wyjeżdżał praktycznie każdy, kto mógł, nawet jeśli nie miał żadnych gwarancji, że za granicą będzie mu lepiej. Pierwszy przystanek – najczęściej Kolumbia, co natychmiast wywołało napięcia pomiędzy Bogotą i Caracas, bo sąsiad Wenezueli nie był gotowy na przyjęcie setek tysięcy migrantów.

Wokół tego ruchu od razu wyrosła też dżungla przestępczości zorganizowanej, bo kartele, używając języka korporacyjnego, zwietrzyły szansę na dywersyfikację przychodów i ekspansję na nowe rynki. Najlepszym przykładem Tren de Aragua, najpotężniejszy wenezuelski gang, który szybko wyrasta na najbardziej wpływową i być może najbrutalniejszą strukturę przestępczą w tej części świata, z aspiracjami na prymat na całej półkuli zachodniej.

•

Tren de Aragua to w tej chwili główny produkt eksportowy Wenezueli – i akurat nad historią tej grupy warto pochylić się trochę bardziej, bo doskonale obrazuje znaczenie wenezuelskiego kryzysu dla całej Ameryki Łacińskiej. Pokazuje, jak katastrofalna pod

eprasa.pl a8fd4bb077

względem gospodarczym i pełna politycznej oraz fizycznej przemocy polityka Maduro rozlała się po kontynencie, wprawiając go w drgawki, choć wenezuelski reżim fetyszyzuje wręcz izolację.

Tren de Aragua był przez lata zwykłym gangiem – po prostu handlował narkotykami, porywał kobiety do domów publicznych, do tego przemyt, nielegalna broń. Nic wielkiego w latynoskim pejzażu, a i szklany sufit wisiał dość nisko, bo obok przecież rozwijały się kolumbijskie imperia, a na północny monopol miały słynne kartele meksykańskie. Wenezuelczycy zwietrzyli szansę na rozbicie tafli właśnie w pierwszych latach kryzysu migracyjnego, w 2018 r. Specjalistyczny portal InSight Crime, zajmujący się przestępczością zorganizowaną, wskazuje, że Tren de Aragua zaczął z eksodusu korzystać na dwa sposoby.

Po pierwsze, zarabiał na nim, oferując bezpieczny transfer przez granicę z Kolumbią, a często nawet dalej, w zależności od tego, kto gdzie chciał trafić: na północ, aż do USA lub na południe, nawet do Chile. W grupach migrantów byli ukryci żołnierze gangu, którzy w ten sposób trafiali do Kolumbii, budując tam przyczółki organizacji.

Po drugie, wykorzystał cywilów do przemytu narkotyków. To obrazek opisywany dziesiątki razy przez przechodzących przez dżunglę uchodźców. Maszerują, aż nagle z tyłu grupy, od przewodnika, pada rozkaz, by paść na ziemię i zrobić miejsce na środku ścieżki. Wszyscy muszą leżeć twarzą do ziemi, za podniesienie się bez pozwolenia grozi kulka w łeb. Po kilku minutach obok przebiegnie dwóch ludzi z bronią, pomiędzy nimi – najczęściej szczupły, młody chłopak z plecakiem. Też migrant, ale wytypowany przez gang do roli tragarza. Ten mały oddział przeprawi się przez dżunglę, w okolicach granicy wtopi się w tłum migrantów, ale transport zostanie szybko odebrany przez partnera po drugiej stronie – kogoś, kto ten szlak już przeszedł, także udając uciekiniera z Wenezueli.

To punkt pierwszy rozlewania się wenezuelskiego kryzysu na państwa ościenne, bo kiedy Tren de Aragua już stał obiema nogami w Kolumbii, tamtejsze grupy uznały, że pora zrobić z nim porządek. Na terenach przygranicznych zaczęły się regularne wojny, broń płynęła przez granicę szerokim strumieniem. Głównymi przeciwnikami Wenezuelczyków byli partyzanci z ELN, Armii Wyzwolenia Narodowego, jednej z najstarszych grup zbrojnych Ameryki Łacińskiej, mającej korzenie jeszcze w teologii wyzwolenia i marskistowsko-leninowskim zwrocie lat 60.

Tren de Aragua nie zamierzał jednak ustąpić, czuł się też coraz mocniejszy, bo migrantów, a więc pieniędzy, przybywało, chaos przy granicy się powiększał, zaś w kraju nikt nie zakłócał ich biznesów. Maduro, zajęty wielogodzinnymi tyradami przeciwko amerykańskiemu imperializmowi i zamienianiem kraju w prywatny biznes, zawarł z gangami pakt, praktycznie oddając im kontrolę nad więzieniami i całym systemem penitencjarnym. Zakłady karne w Wenezueli – to przypadłość, na którą cierpi wiele państw, ale nie w tak porażającym stopniu – stały się miejscem, w którym przestępcy mają pełną swobodę kontaktów ze światem zewnętrznym, włącznie z rekrutacją zza krat nowych członków.

A że wenezuelscy migranci niekoniecznie chcieli zostawać w nie najbogatszej i też niebezpiecznej Kolumbii, Tren przygotowywał się do wejścia na kolejne rynki. Pojawiał się w coraz to nowych krajach regionu, zawsze prowadząc do destabilizacji, a nawet kryzysu politycznego. Olbrzymie zamieszki, które ogarnęły Peru na przełomie 2022 i 2023 r., miały mocne podłoże kryminalne. Bezpośrednią przyczyną wybuchu było usunięcie z urzędu prezydenta Pedro Castillo, trybuna ludowego wielbionego przede wszystkim na terenach wiejskich – ale późniejszą przemoc, utrzymującą się na prowincji kilka miesięcy, napędzał też Tren de Aragua.

Identyczny scenariusz powtórzył się w Boliwii, aż wreszcie Wenezuelczycy rozchwiali Chile, najbardziej stabilny i rozwinięty gospodarczo kraju kontynentu.

Do tej pory chilijskie problemy z nielegalną migracją ograniczały się do kilkuset obywateli Haiti, którzy zostali tu po wygaśnięciu wiz turystycznych i koczowali w miejskich parkach Santiago de Chile. Migranci z Wenezueli, przeprawiający się przez trudną, położoną bardzo wysoko północną granicę, stanowili zupełnie nowe wyzwanie. Pojawili się w skali w Chile nieznanej. W porównaniu z falą migrancką na Morzu Śródziemnym liczby były śmiesznie małe, wystarczyło jednak, żeby nakręcić falę nienawiści i stworzyć nawóz dla rodzimego narodowego populizmu.

Chilijska skrajna prawica na czele z religijnym fanatykiem José Antonio Kastem, zwycięzcą pierwszej tury wyborów prezydenckich z listopada 2021 r., natychmiast zbudowała narrację o „państwie upadłym", które nie jest w stanie zapewnić obywatelom bezpieczeństwa. W przygranicznych miastach prawicowcy organizowali akcje zbierania ubrań i namiotów migrantów, które potem rytualnie palili na wielkich, miejskich ogniskach. Policja była obecna – żeby chronić ogień, nie migrantów.

A w tle był, a jakże, Tren de Aragua, który coraz skuteczniej handlował narkotykami na ulicach Santiago, czerpiąc dużo pokaźniejsze niż wcześniej zyski, bo to metropolia naprawdę bogata, nie tylko w skali Ameryki Łacińskiej.

•

Tymczasem Wenezuela pogrążała się w trudnym już do wyobrażenia kryzysie. Brakowało wszystkiego: leków, środków higieny, żywności, energii. A to wszystko w kraju, który ma największe na świecie złoża ropy. Mało tego, przez zdecydowaną większość drugiej połowy XX wieku to właśnie Caracas było oazą demokracji i politycznej stabilności w Ameryce Łacińskiej. Nawet szybka kwerenda po książkach opisujących ten kontynent, i reporterskich, i tych z gatunku marquezowskiego magicznego realizmu, pozwala zobaczyć skalę upadku tego kraju – prawie zawsze pojawia się w nich wątek ubiegania się o azyl w wenezuelskiej ambasadzie lub postać dalekiego krewnego, żyjącego komfortowym życiem zasobnej klasy średniej, właśnie w Caracas.

Pamięć o tym komforcie i regionalnym prestiżu jest cały czas obecna, zwłaszcza w diasporze. I właśnie w te tony próbowała uderzać María Corina Machado, liderka demokratycznej opozycji. To ona, wenezuelska Margaret Thatcher, miała być rywalką Maduro w lipcowych wyborach – ale dyktator nie wyraził zgody.

Nie wyraził, bo ryzyko było zbyt duże. Przez lata największym problemem wenezuelskiej opozycji było potężne rozczłonkowanie spowodowane wewnętrznymi sporami i przymusową emigracją. Ci, którzy wyjechali wcześniej i byli w USA czy w Europie, mieli najczęściej inną wizję tego, co z ojczyzną trzeba dalej zrobić, niż ci koczujący wzdłuż kolumbijskiej granicy. Mimo to Machado w ubiegłorocznych prawyborach opozycyjnych dostała 90 proc. głosów.

Maduro dodał dwa do dwóch – zaskakującą jednomyślność opozycji do wewnętrznych sondaży wskazujących na słabnące dlań poparcie – i stwierdził, że „Żelazna Dama Południa" nie może zgodnie z prawem ubiegać się o żaden urząd publiczny. Bo wcześniej poparła publicznie amerykańskie sankcje, za co reżim nałożył na nią karę.

•

To wszystko działo się już po podpisaniu Porozumień Barbadoskich z października. Pod nadzorem kilku krajów karaibskich i przede wszystkim Stanów Zjednoczonych Maduro i opozycjoniści złożyli podpisy pod dokumentem gwarantującym częściowe przynajmniej otwarcie procesu wyborczego. Reżim zgadzał się na pierwsze od 2018 r. wpuszczenie obserwatorów międzynarodowych do

Główny produkt eksportowy reżimu Maduro – najbrutalniejsi i najskuteczniejsi gangsterzy

lokali wyborczych i udział sił demokratycznych w głosowaniu. W zamian Waszyngton zdjął część sankcji, którymi obkłada Maduro regularnie od przejęcia przez niego władzy po ojcu „ludowej rewolucji", charyzmatycznym Hugo Chavezie, w 2013 r.

Na razie tymczasowo, na sześć miesięcy, ale wystarczyło, żeby wenezuelska dyktatura odżyła. Świat, zwłaszcza zagraniczny biznes, uwierzył, że w tym kraju jest jeszcze trochę dolarów do zarobienia. W Caracas otworzył się nawet salon Ferrari, a europejskie agencje turystyczne zaczęły oferować regularne turnusy w Wenezueli. Stolicę reklamowano wręcz hasłem „miasta, które jest znacznie mniej niebezpieczne, niż by się to mogło wydawać". Światu była też znów potrzebna wenezuelska ropa – po inwazji Rosji na Ukrainę trzeba było znaleźć inne niedrogie źródła surowca. Choć budziło to kontrowersje i sprzeciw partnerów regionalnych, na czele z Kolumbią, amerykański departament stanu wyciągnął do Maduro dłoń, licząc, że jej nie odgryzie.

Atmosfera pojednania trwała tylko kilka tygodni – tyle trwało, nim zdyskwalifikował Machado. Ale ku jego zdziwieniu opozycja niemal natychmiast pokazała nową kandydatkę, 80-letnią profesorkę filozofii, Corinę Yoris. Taktyka była dość prosta, liderzy opozycji uznali, że osoba politycznie dotąd nieaktywna i szerzej nieznana nie będzie Maduro przeszkadzać. Szybko się zdziwili, bo Yoris nie udało się nawet zarejestrować w spisie wyborczym. Dziwnym trafem za każdym razem, kiedy wypełniała formularz, elektroniczny system wyświetlał komunikat o błędzie.

Nicolás Maduro może wydawać się komiczny czy operetkowy, można go nazywać epigonem, ale to jednak polityczny manipulator klasy światowej

z ponad dekadą doświadczenia w wodzeniu za nos potężniejszych od siebie graczy. Wiedział, że na kogoś ostatecznie zgodzić się musi.

Padło na innego weterana, 74-letniego Edmundo Gonzáleza, byłego ambasadora w Argentynie. Po drodze reżim już przykręcał śrubę. Zamknął 14 najważniejszych osób związanych z Machado, wymyślając im zarzuty korupcyjne i zakazując działalności politycznej. Kilkoro innych działaczy opozycji do teraz ukrywa się w ambasadach różnych państw, czekając na azyl. Im więcej czasu mijało od spotkania na Barbadosie, tym coraz bardziej oczywiste stało się, że Maduro żadnej demokratyzacji nigdy nie planował.

Złudzenia ostatecznie zniknęły w kwietniu, kiedy zaprezentował nowe prawo, mające wyeliminować zagrożenie faszyzmem. Brzmi kuriozalnie – i słusznie, bo akurat Wenezuela z faszyzmem problemu wcale nie ma. Ustawa była banalnym narzędziem przemocy politycznej – groziła więzieniem za wszystko, co związane z działalnością publiczną. Organizacja protestu czy demonstracji, agitacja na rzecz opozycji, deklaracje poparcia dla reformy konstytucji i ordynacji wyborczej, nawet protestowanie z powodu braku żywności i energii elektrycznej – to wszystko oznaki faszyzmu, zasługujące na więzienie.

•

W takich warunkach demokratycznych wyborów przeprowadzić się nie dało. Zwłaszcza że dyktatura ostatecznie obraziła się na USA oraz Unię Europejską i postanowiła nie wpuścić międzynarodowych obserwatorów stamtąd do komisji wyborczych.

Amerykanie sankcje przywrócili, lecz Maduro tylko wzruszył ramionami, bo przez te pół roku kupił sobie co najmniej kilkanaście miesięcy dalszych rządów. Choć trzeba przyznać, że postanowił, w sumie nie wiedzieć czemu, zachować jakieś pozory – państwowa komisja wyborcza ogłosiła, że wygrał tylko 51 proc. głosów; Gonzalez miał otrzymać 44 proc.

Ale chociaż różnica może zwieść – i taki był cel wstrzemięźliwości – co bardziej naiwnych obserwatorów z krajów, w których uczciwe kilka procent dzieli wygranego i przegranego, nie ma szans, żeby były to autentyczne wyniki. Sondaże dawały prezydentowi od 35 do nawet 14 proc. poparcia. Odwrócili się od niego nawet najbiedniejsi, mający dość wiecznych kryzysów. Opozycja twierdzi, że ma zdecydowaną większość protokołów wyborczych – wynika z nich, że Gonzalez zdobył ponad 70 proc. głosów.

Na co Maduro znowu wzruszył ramionami. Do pacyfikacji protestów po wyborach posłał przyjaciół z dawnej Grupy Wagnera – na zdjęciach z Caracas widać Rosjan z bronią i pałkami, na ich bluzach są wagnerowskie naszywki.

Z Putinem przyjaźni się od lat, rosyjscy „instruktorzy wojskowi" są w Wenezueli co najmniej od 2016 r. Dwa lata później Maduro otworzył lotniska dla rosyjskich samolotów zdolnych przenosić ładunki nuklearne. W ubiegłym roku z długą wizytą odwiedzili go też irańscy dyplomaci, deklarując poparcie dla tzw. boliwariańskiej rewolucji. Nieważne, że już wtedy nic z jej realnych niegdyś zdobyczy już w Wenezueli nie zostało – dzisiaj zbierają tego owoce, bo po ukradzionych wyborach Maduro zapowiedział, że udostępni swoje złoża ropy krajom BRICS+. Skorzystają więc Chiny, Iran i Rosja, obywatele z tego wydobycia nie zobaczą ani grosza.

Wenezuelski dyktator władzy nie odda głównie dlatego, że nie ma już nic do stracenia. Amerykanie nałożą na niego kolejne sankcje, ale na tym etapie nie robi to już żadnej różnicy. Maduro na oczach świata zamienia się w karykaturę dyktatora, postać rodem z „Jesieni patriarchy" Márqueza. Stary, osamotniony, pozbawiony społecznego poparcia satrapa trzyma się władzy ostatkiem sił, choć z jego charyzmy czy ideologicznej siły zostały tylko strzępy.

Niewykluczone, że władzę zabierze do grobu. Problem w tym, że prędzej wpędzi tam całą Wenezuelę. ●

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie" oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów".

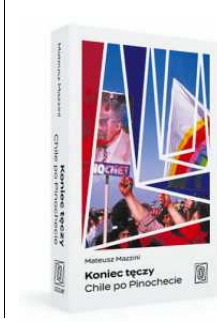

eprasa.pl a8fd4bb077

Menopauza bywa wyzwoleniem. Kobiety przestają się godzić na zgniłe kompromisy – zmieniają pracę, rozwodzą się.

GORĄCY CZAS

FOT. SHUTTERSTOCK

Z **MARIĄ WIERZBICKĄ-TARKOWSKĄ,** SOCJOLOŻKĄ I ANTROPOLOŻKĄ, LIDERKĄ PROJEKTU BADAWCZEGO „MENOPAUZA BEZ TABU" ROZMAWIA **AGNIESZKA URAZIŃSKA**

AGNIESZKA URAZIŃSKA: Kiedyś o menopauzie nie mówiło się wcale.
MARIA WIERZBICKA-TARKOWSKA: W przestrzeni publicznej temat nie istniał. Blisko połowa Polek uważa, że menopauza jest tematem tabu. Nic dziwnego, skoro w więcej niż co trzecim polskim domu tego tematu się nie poruszało. Niektóre z naszych rozmówczyń mówiły wprost, że wstydziłyby się spytać o to swojej mamy. Sama, dopiero realizując badanie, zdałam sobie sprawę z tego, że nigdy nie rozmawiałam z własną mamą o transformacji menopauzalnej.

Spróbowałaś?
– Tak. I okazało się, że ona z pełną otwartością, chętnie i bez zawstydzenia o tym opowiada. Z naszych badań wynika, że polskie kobiety wiedzę o tym okresie swojego życia czerpią głównie z internetu – mówi o tym ponad 46 proc. badanych. Dla 47 proc. to nadal temat tabu.

Coś się jednak zmienia.
– Temu mają służyć także nasze badania, bo właśnie o zbadanie tematu i budzenie świadomości tu chodzi. Realizujemy je na zlecenie Kulczyk Foundation, która zajmuje się również szeroko tematem menstruacji, oswaja go i walczy z tabu. Transformacja menopauzalna to poniekąd naturalna kontynuacja tego tematu. Badania pokazują, że dużo jest jeszcze do zrobienia. Bo chociaż samo słowo „menopauza" zaczyna nam przechodzić przez gardło, to sposób, w jaki ten okres życia kobiety jest prezentowany, wciąż pozostawia wiele do życzenia.

Samantha w kontynuacji „Seksu w wielkim mieście" już nie tylko lubi mężczyzn, ale również walczy z uderzeniami gorąca.
– Z jednej strony obecność tego tematu w przestrzeni publicznej pomaga w jego normalizacji i oswojeniu. Ale z drugiej – 59 proc. Polek z niezadowoleniem zauważa, że jeśli już w książkach, filmach czy serialach pokazana jest kobieta w okresie okołomenopauzalnym, to raczej w prześmiewczy sposób. Taka retoryka panuje również w życiu – i tak jak w odniesieniu do menstruacji kobietom zdarza się słyszeć: „O, jesteś zirytowana, to pewnie te dni", to gdy robią się starsze, słyszą: „O, jak mamusia przyjeżdża, to wciąż trzeba to okno zamykać i otwierać", albo dostają w prezencie wiatraczki na baterie.

Jedna z badanych opowiadała, jak w pracy koledzy pozwalają sobie na komentarze: „Ty to lubisz klimatyzację, ale w pewnym wieku to... wiadomo". 15 proc. badanych słyszało takie niewybredne okołomenopauzalne komentarze pod swoim adresem. Nikt nie chce się czuć śmieszny, nie chce być zawstydzany. Jedna z naszych rozmówczyń powiedziała, że wstydziła się przyznać do menopauzy w pracy, bo w jej odczuciu oznaczałoby to przyznanie się do tego, że jest już schodzącą gwiazdą. 14 proc. kobiet uważa, że menopauza jest wstydliwa. To dużo, biorąc pod uwagę fakt, że jest to naturalny etap życia, który przechodzić będzie lub przechodziła każda z nas.

Ale coraz więcej jest też takich, które się nie wstydzą. W waszym badaniu przyznają, że jeśli same żartują z objawów, to łatwiej im oswoić innych i siebie.
– To prawda. Jedna z kobiet tak to tłumaczyła: „Ja powiedziałam koleżankom, też młodszym. Niech wiedzą. Nawet czasem żartuję: »Uważajcie, ze mną nie ma żartów, mam menopauzę i jestem drażliwa«. Jak przychodziło lato, to się pytały, czy mogą włączyć klimatyzację. Ja mówię: »Tyle razy już wam mówiłam, że ja jestem w takim wieku, że to wy decydujecie. Ja zawsze chcę«". W trakcie wywiadów, które prowadziłyśmy z kobietami, uderzyło mnie, jak surowe jesteśmy dla siebie nawzajem my, kobiety. To badanie obnażyło też brak siostrzeństwa.

Nie rozumiemy kobiet w czasie transformacji?
– Aż jedna czwarta wszystkich badanych twierdzi, że kobiety w czasie menopauzy przesadnie się nad sobą użalają. I to nie jest zdanie wyłącznie młodszych kobiet, bo w grupie, która menopauzę ma już za sobą, takiego zdania jest aż jedna trzecia respondentek.

Choć same doświadczyły niełatwych przecież zmian, bardzo surowo oceniają inne, te w trakcie transformacji menopauzalnej. Z tego wynika, że nie ma przyzwolenia – jeszcze – aby w tym czasie zająć się sobą z czułością, odpuścić sobie. Nic więc dziwnego, że aż 64 proc. Polek uważa, że to czas, który trzeba przetrwać, zaciskając zęby.

Udając, że nic się nie dzieje?
– Dokładnie. A dzieje się dużo i my się tych zmian boimy. Aż 82 proc. kobiet przyznaje, że się boi.

Czego się boimy?
– Myślę, że w dużej mierze boimy się tego, że staniemy się niewidzialne, że to koniec młodości, w jakimś wymiarze koniec życia.

Jedna z naszych rozmówczyń, czterdziestolatka, która przez internet zinterpretowała wyniki swoich badań i uznała, że ma już menopauzę, zareagowała na to rozpaczą i stwierdzeniem: „Jeszcze nie zaczęłam żyć, a już umarłam".

Naprawdę ten etap wywołuje bardzo silne emocje i bardzo dużo lęków. Boimy się też objawów. Najwięcej obaw wzbudzają uderzenia gorąca. To pierwszy objaw, który wskazują Polki, pierwsze ich skojarzenie z transformacją menopauzalną – aż 90 proc. mówiło właśnie o tym. Wyraźnie widać też różnice w obawach kobiet młodszych – one najbardziej obawiają się depresji (aż 49 proc. o tym wspomina). W wywiadach wyraźnie wybrzmiało, że panie, które są w okresie transformacji menopauzalnej, najczęściej wskazują na takie objawy, które bezpośrednio wpływają na codzienne funkcjonowanie: uderzenia gorąca, przewlekłe zmęczenie związane z bezsennością, intensywne pocenie się. Jedna z badanych mówiła, że do pracy musiała brać cztery koszulki na zmianę.

Trudno to sobie wyobrazić...
–...dopóki się tego nie doświadczy? Dokładnie to usłyszałam od naszych rozmówczyń.

Z badań wynika też inna ważna sprawa: że nie ma w tym czasie miejsca na zajęcie się sobą, zaopiekowanie. Choćby dlatego, że dyskurs wokół menopauzy jest przemocowy – na przykład te uderzenia gorąca. Dlaczego akurat uderzenia? Dr Alicja Długołęcka, edukatorka psychoseksualna, ekspertka, z której doświadczenia korzystałyśmy w czasie naszych badań, mówi o przypływach mocy. To zupełnie inaczej brzmi, jeśli mówimy, że walczymy z uderzeniami gorąca, a inaczej, gdy odczuwamy przypływy mocy.

Wierzę w moc języka, który kształtuje świadomość. Warto zmieniać narrację na bardziej łagodną, bo to pozwoli zmniejszyć stres i strach. Już najwyższy czas przestać kobiety zawstydzać i ośmieszać. Mówmy o transformacji menopauzalnej, a nie menopauzie czy – nie daj Boże – o przekwitaniu kojarzonym z odchodzeniem, ze starością, z utratą witalności.

Ekspertki pracujące z kobietami mówią, że to jest kulturowy, patriarchalny stereotyp, który umiejscawia kobietę w hierarchii wartości jako ważną, gdy jest płodna. A można na to spojrzeć inaczej. Inny nasz ekspert, dr Tadeusz Oleszczuk, ginekolog, radzi kobietom, by myślały o sobie jak o drzewach owocowych: gdy przekwitają kwiaty, pojawiają się owoce.

Przekonaj te, które uważają, że menopauza zmienia je w starsze panie!
– Naprawdę wiele kobiet mówiło w czasie naszych badań, że to dla nich – mimo pewnych trudności – wspaniały etap życia. Bo nie ma już comiesięcznych dolegliwości ani napięć związanych z miesiączką, odpadł stres związany z niechcianą ciążą. Zdaniem kobiet to także czas niezwykłej płodności intelektualnej. Pięknie wpisuje się to we wspomnianą metaforę drzewa: kobiety mówią, że zrywają teraz owoce, korzystając z doświadczenia, stabilizacji.

Wiesz, że bardzo wiele kobiet decyduje się właśnie w tym czasie na duże zmiany dotyczące sytuacji życiowej? Przestają się godzić na zgniłe kompromisy – zmieniają pracę, rozwodzą się – kończą niezdrowe relacje. To możliwe także dlatego, że dzieci dora-

Czułość. Wolność. Równowaga

- Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans.
- „Czułość. Wolność. Równowaga" to akcja społeczna, „Wysokich Obcasów" i „Gazety Wyborczej".

eprasa.pl a8fd4bb077

stają, a kobiety przestają więc już się definiować głównie jako matki i żony, zaczynają się zastanawiać, czego one same chcą. To bardzo wyraźnie widać w naszych badaniach.

Kobiety młodsze utożsamiają się z macierzyństwem, a te, które nie są matkami, odnoszą się do tego, dlaczego nie mają dzieci. Za to w rozmowach z kobietami 60 plus ani dzieci, ani wnuki nie pojawiają się w pierwszych słowach autoprezentacji. Są za to przyjaciółki, pasje, podróże, zajęcia sportowe. To naprawdę etap, gdy dajemy sobie przestrzeń, aby nareszcie zająć się sobą. Kobiety podkreślają, że mają większy luz i dystans, większą świadomość, co w życiu jest ważne.

O menopauzę pytałyście w badaniu ilościowym także mężczyzn. Wyszło, że mają obawy, ale wychodzi na to, że myślą przy tym głównie o sobie.
– Racja. W pierwszej piątce lęków jest obawa przed skłonnością do depresji i problemami ze zdrowiem. Ale aż 38 proc. mężczyzn boi się zmniejszenia libido swojej partnerki, 18 proc. zmniejszenia atrakcyjności, a 17 proc. – że partnerka po menopauzie utyje, co dla wielu przecież równoznaczne jest także z utratą atrakcyjności fizycznej.

Czyli boją się, że nie będzie seksu, a kobieta zbrzydnie. Super.
– W dużym skrócie tak to właśnie wygląda. Jedna z badanych mówi: „Traktują menopauzę jak jakąś chorobę weneryczną". Z kolei inna mówi, że kiedy miała problemy ze zdrowiem, przechodziła operację ortopedyczną, to odwiedzały ją w szpitalu tłumy gości różnej płci. A gdy leżała na oddziale ginekologicznym, panowie zniknęli. Mężczyźni często czują się w tych obszarach niechciani, wydaje im się, że to sfera zbyt intymna, nie chcą być intruzami. Ale to wcale nie oznacza, że nie chcieliby tego zmienić.

Z naszych badań wynika, że co trzeci mężczyzna chciałby więcej wiedzieć o menopauzie. Wśród młodszych mężczyzn deklarację taką zgłasza 40 proc. I to jest dobry znak, dobra prognoza. Chcą być partnerami. Nie chcą kobiet zawodzić.

A ja zwróciłam uwagę na to, że często zawodzą lekarze. Poruszyła mnie historia kobiety z waszych badań, pięćdziesięciolatki, która spytała ginekolożkę, kiedy może się spodziewać menopauzy. Jedyne, co usłyszała, to: „A co, już byś chciała tak szybko?".
– Nasze badane skarżyły się także na to, że bywają zawstydzane i źle traktowane przez lekarzy, ich problemy bywają bagatelizowane i trywializowane. Lekarzom zdarza się powiedzieć do kobiety na fotelu ginekologicznym, że „badają jej podwozie" albo że zrobią „badanie dowcipne". Co ciekawe, dużo częściej na złe traktowanie skarżą się kobiety młode, pewnie nie dlatego, że mają gorsze doświadczenia, tylko dlatego, że na pewne standardy już się nie zgadzają. Nasza interpretacja jest taka, że starsze kobiety są bardziej pogodzone z tym, że opieka zdrowotna i poziom usług medycznych wygląda, jak wygląda. W młodszych jest więcej niezgody na status quo.

To dobry znak.
– Im bardziej stanowczo będziemy protestować przeciw takim metodom, tym większa szansa na zmianę.

Jest też temat związany z problemami opieki zdrowotnej w Polsce. Lekarze nie mają czasu, by poświęcić uwagę swoim pacjentkom, nie ma zwyczaju, by podchodzić do nich holistycznie. A to pacjentce – również w czasie menopauzalnym – może mocno skomplikować dotarcie do odpowiedniej pomocy. W czasie badań słyszałyśmy o kobietach, które ze swoimi problemami były odsyłane od internisty do neurologa i kardiologa, a przyczyną była właśnie transformacja menopauzalna.

Aż 72 proc. Polek uważa, że w tym czasie najważniejszym lekarzem jest ginekolog.
– To pokazuje naszą niewiedzę, jeśli chodzi o istotę transformacji menopauzalnej, którą kojarzymy z narządami rodnymi, podczas gdy jest to etap życia, który dotyczy całego ciała. Przede wszystkim chodzi o zmiany hormonalne, równie dobrze więc możemy uważać, że to endokrynolog powinien być ekspertem w tym zakresie. Nie jest?

W tym obszarze wiele jest luk. Widać potrzebę zmian, także systemowych. Bo w gabinetach lekarzy widać wyraźnie, że każdy zajmuje się konkretnym obszarem, a nie pacjentem jako takim. A przemiana, jaką jest transformacja menopauzalna, wpływa na cały organizm, na wszystkie narządy, na układ kostny. O tym również powinnyśmy pamiętać.

A co z położną?
– No właśnie. Dopiero w czasie realizowania tych badań, rozmawiając z dr Antoniną Doroszewską, ekspertką z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, dowiedziałyśmy się, że to położna ma rozległą wiedzę dotyczącą transformacji menopauzalnej, wynika to z toku jej kształcenia. A przecież każda z nas, objęta publiczną opieką zdrowotną, wybiera swoją położną. To ona ma być wsparciem w dbaniu o zdrowie kobiety do końca życia. A my kojarzymy położną z okresem ciąży i połogu, później zapominamy o jej istnieniu. Jedynie 3 proc. Polek ma świadomość, że położne są osobami, do których można się zwrócić po wsparcie. Za to aż 67 proc. uważa, że najlepiej iść do lekarza.

Dlaczego mówisz o transformacji. Nie wystarczy po prostu „menopauza"?
– Bo to bardziej adekwatne określenie tego etapu w życiu kobiety, który poprzedza ostatnią miesiączkę i następuje po niej. Ostatnia miesiączka w życiu kobiety to menopauza, a etap, o który nam chodzi, to właśnie transformacja menopauzalna, długi okres obejmujące wiele zmian psychicznych i emocjonalnych, który budzi tyle obaw i emocji.

Jak nam pomoże odczarowanie tematu?
– Mówienie o transformacji menopauzalnej – bez ośmieszania i tabuizowania – da nam wiedzę o tym, co dzieje się z kobietą, co może tę część życia ułatwić.

Wciąż dużo emocji budzi na przykład hormonalna terapia zastępcza, którą fachowo powinno się nazywać hormonalną terapią menopauzalną. Wciąż niewielka jest wiedza na temat dostępności, wciąż wielu lekarzy nie proponuje jej albo nie poprzedza jej zastosowania odpowiednimi badaniami, które niwelowałyby ryzyko wystąpienia nowotworów.

Tego właśnie najbardziej boją się kobiety, ten argument podają, gdy mówią, że z HTZ nie zdecydowały się skorzystać. A eksperci mówią, że jeśli terapię poprzedzą odpowiednie badania, niektórzy nazywają je rodzajem bramek, przez które przepuszcza się pacjentkę (chodzi np. o wykluczenie mutacji BRCA1 i badania hormonalne), to jest ona rozwiązaniem bezpiecznym i pozwala uniknąć nieprzyjemnych objawów towarzyszących transformacji menopauzalnej.

Badania „Menopauza bez tabu" miały na celu pokazanie stanu rzeczy, zdiagnozowanie, w jakim miejscu jesteśmy. Wierzymy, że zaopiekowanie się tym tematem, co zainicjowała Kulczyk Foundation, zbierając przy okrągłym stole ekspertki i ekspertów zajmujących się tematem transformacji menopauzalnej z różnych dziedzin, doprowadzi do pozytywnych zmian. Że podniesie stan wiedzy, zwiększy świadomość. A w konsekwencji doprowadzi też do zmian systemowych.

Jakich?
– Wydaje mi się na przykład, że niezwykle ważna jest edukacja już na etapie szkolnym i wprowadzenie tematu menopauzy i transformacji menopauzalnej do podręczników biologii. Dzieci powinny wiedzieć, że to naturalny proces zmian, który dotyczy każdej kobiety.

A poza tym jest kwestia rynku pracy. Na przykład 70 proc. Polek chciałoby móc skorzystać z pracy zdalnej na żądanie, na przykład wtedy, gdy przypływy mocy są wyjątkowo dokuczliwe albo po nieprzespanej nocy. 66 proc. kobiet mówi o potrzebie takich udogodnień, jak prysznic czy pokój wyciszenia. 61 proc. zwraca uwagę, że przydałaby się większa liczba dni urlopowych dla kobiet w czasie okołomenopauzalnym, bo mogą się przydać, gdy trudno przewidzieć, jak będzie się zmieniało samopoczucie. Wierzę, że takie zmiany nastąpią. A stają się coraz bardziej potrzebne, bo pracujących kobiet w okresie transformacji menopauzalnej będzie w najbliższych latach przybywać. ●

Badania i edukacja
Menopauza bez tabu

Menopauza to kolejny po menstruacji temat, którym zajęła się Kulczyk Foundation. Temat, który bezpośrednio dotyczy każdej kobiety, a pośrednio każdego członka społeczeństwa, także mężczyzn. Temat niezwykle ważny, bo – jak wskazują dane demograficzne – rośnie grupa kobiet w wieku okołomenopauzalnym, czyli 40+. Nie możemy więc ignorować tego, co się dzieje z ponad połową społeczeństwa, zwłaszcza że dokuczliwe objawy menopauzy odczuwa 80 proc. kobiet, z czego dla 30 proc. z nich są one szczególnie ciężkie i utrudniają im funkcjonowanie.

Badanie „Menopauza bez tabu" pokazało nam, jak wiele jest przestrzeni do pracy w tym temacie oraz jak wiele trzeba zmienić w kwestii dostępu do rzetelnej wiedzy, w postrzeganiu społecznym i funkcjonowaniu kobiet w różnych rolach. Te działania są niezbędne, aby kobiety w okresie transformacji menopauzalnej mogły otrzymać właściwą opiekę zdrowotną oraz nie czuły się osamotnione i stygmatyzowane. Aby nie musiały się wstydzić naturalnego etapu w swoim życiu.

Dlatego tak ważna jest zmiana narracji z negatywnej czy prześmiewczej na normalizującą. Brak wiedzy prowadzi do trywializacji i posługiwania się stereotypami. Mając to na uwadze, Kulczyk Foundation wraz z interdyscyplinarnym gronem ekspertek i ekspertów ds. menopauzy złożyła list w Ministerstwie Edukacji ws. włączenia menopauzy do podstawy programowej nowego przedmiotu „Edukacja zdrowotna". Właściwa edukacja menopauzalna już dla dzieci w szkole może pomóc w lepszym zadbaniu o siebie w przyszłości, ale też w zrozumieniu tego, przez co przechodzą kobiety w ich otoczeniu.

Coraz więcej pracodawczyń i pracodawców rozumie, że za wiedzą i doświadczeniem pracownic z tej grupy wiekowej idzie też potrzeba zadbania o zdrowie. Dlatego rośnie liczba firm wprowadzających rozwiązania, które pomagają łagodzić objawy i dostosować warunki pracy do szczególnych potrzeb kobiet w trakcie transformacji menopauzalnej. To zdecydowanie dobry kierunek, który doceniamy u organizacji biorących udział w naszym programie „Cykl kariery" i konkursie „RównoWaga".

Widzimy też konieczność zmian systemowych w opiece zdrowotnej i dużą rolę położnych, które dzięki swojemu przygotowaniu mogłyby być źródłem wiedzy i towarzyszyć kobietom w tym procesie. Właściwe zadbanie o siebie zarówno fizycznie, jak i psychicznie może pomóc w utrzymaniu lepszego zdrowia i zapobiec rozwijaniu się typowych chorób pojawiających się w tym okresie, np. osteoporozy czy insulinooporności.

To ważne, aby tematem menopauzy zająć się kompleksowo, bo psychiczny i fizyczny dobrostan kobiet w okresie okołomenopauzalnym stanowi ogromną korzyść dla całego społeczeństwa.

Na stronie programu „Menopauza bez tabu" znajduje się badanie, kompendium wiedzy na temat menopauzy oraz ankieta diagnostyczna MTT (polecana do wypełnienia przed wizytą u lekarza). ●

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Maria Wierzbicka-Tarkowska

• badaczka społeczna, socjolożka i antropolożka. Doświadczenie zdobywała, realizując projekty akademickie i w pracy dla czołowych agencji badawczych. Interesują ją przemiany dotyczące kobiet i młodych oraz badania obejmujące grupy wykluczenia. Wraz z Anną Buchner i Katarzyną Fereniec-Błońską przez trzy lata tworzyły razem dział badań w firmie Ciekawość, obecnie prowadzą własną pracownię badawczą Empowermind.

OGŁOSZENIE Kraj/34325562

Czułość. Wolność.
RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY
wyborcza.pl wysokieobcasy.pl

SPONSOR
KULCZYK FOUNDATION

eprasa.pl a8fd4bb077

PROWANSALSKIE SZALEŃSTWO MULTIMILIONERA

Idziesz drogą pośród zieleni otulona ciszą i nagle dostajesz cios w nos – przed oczami wyrasta siedmiometrowa dziewczynka z misiem.

Anna S. Dębowska

Wysiadam z samochodu i mam wrażenie, że śnię. Wyłaniają się z upału jak halucynacja: wielki pająk stojący w płytkim baseniku, a po przeciwnej stronie drogi wielometrowy tułów człowieka płci męskiej z rozciętą jamą brzuszną. Korpus zakończony jest głową odartą ze skóry i częściowo z mięśni, która spogląda gdzieś w bok. To „Wieża" Damiena Hirsta.

Do Château La Coste jechałyśmy z czarującego pałacową architekturą Aix-en-Provence. Przez prowansalską wieś. Po drodze mijałyśmy spękane domy z kamienia, pola pszenicy, słoneczników i lawendy. W okolicznych gospodarstwach można kupić pomarańcze z przydomowych ogrodów. W oddali widziałyśmy górę Sainte-Victoire, którą lubił malować Paul Cézanne, rodowity Prowansalczyk.

Do Château La Coste przybyłyśmy w kurzu i skwarze. O godz. 15 temperatura przekraczała 35 st. C. Nie jest to najlepsza pora na spacery, nawet w cieniu drzew.

Z daleka posiadłość La Coste wygląda jak ogromne pole golfowe. To chyba fatamorgana – trawa jest soczyście zielona, krótko przystrzyżona. 800 m pod ziemią są źródła wód artezyjskich – przypuszczam, że właściciel urządził własny system nawadniania.

„The Financial Times" pisał nawet, że Mara McKillen, siostra magnata, wynajęła uznanego architekta krajobrazu Louis Benecha, który zaprojektował specjalny system kanalików nawadniających jej ogród warzywny i kwiatowy w La Coste. Dzięki temu róże kwitną tam nawet w sierpniu, i to na całego.

Szaleństwo miliardera

Château La Coste to istne szaleństwo uszyte na miarę przebojowości irlandzkiego multimiliardera Paddy'ego McKillena. Był właścicielem najbardziej luksusowych hoteli w Londynie, dopóki nie odsprzedał ich biznesmenom ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, zostawiając sobie udziały.

Od 21 lat jest właścicielem La Coste. Pokochał to miejsce od pierwszego wejrzenia, jeżdżąc samochodem po okolicy i szukając odskoczni od prowadzenia biznesu. Znalazł przystań 15 km na północ od Aix, dawnej stolicy Prowansji i zarazem jej najpiękniejszego miasta.

Z XVII-wiecznej podupadłej winnicy zrobił nowoczesną perełkę, czy raczej perłę, bo położoną na 250 ha. Dla porównania Łazienki Królewskie w Warszawie to 74 ha.

Pod czujnym okiem Irlandczyka w Château La Coste uprawia się najważniejsze francuskie szczepy winorośli dające pierwszorzędne wina biodynamiczne produkowane bez konserwantów i chemii pod szyldem Domaine Château La Coste.

Ale to tylko część przyjemności, której zażywa bogacz oraz jego przyjaciele i goście. Ponad połowę terenu zajmuje park rzeźby. I choć podobno właściciel dostaje drgawek na sam dźwięk tego określenia, trudno wymyślić coś innego – chyba że zespół urbanistyczno-architektoniczny pod nazwą „Kto bogatemu zabroni".

Ratatouille z serkiem kozim i winem

Wchodzimy na teren – szczęśliwie McKillen nie wymaga opłaty za wstęp. Park i winnicę otworzył dla publiczności 13 lat temu. Niech podziwiają! Ale jeśli ktoś chciałby wynająć nocleg w Villa La Coste, powinien mieć nieco więcej grosza przy duszy. Noc w rezydencji hotelowej to koszt co najmniej 6,5 tys. zł.

Są tu cztery restauracje. Stać mnie tylko na ratatuja na zimno w La Terrasse. Ratatouille to tradycyjna prowansalska potrawa z duszonych warzyw. Na zimno podaje się ją w upale. Na wierzchu położono grudę świeżego serka koziego, obok pajdę chleba z oliwą wytłaczaną z miejscowej odmiany oliwek Aglandau. Do tego kieliszek białego „mineralnego" wina z tutejszej winnicy. Mniam!

Tak pokrzepione możemy z Marion rozpocząć spacer. Przydałby się meleks, ale jeżdżą nim tylko pracownicy, młodzież obojga płci z południowej Francji, bujna jak tutejsza roślinność na wiosnę.

W ręce trzymam mapę terenu z wyrysowanymi połaciami upraw i obiektami artystycznymi. Niektóre z nich to arcydzieła minimalistycznej architektury, jak Centrum Artystyczne projektu Tadao Ando, skąd bierzemy mapki i przewodniki. Czy pawilon muzyczny Franka Gehry'ego z miniaturowym amfiteatrem, gdzie czasami odbywają się koncerty. To jednak nie ta pora – w tej części parku cykady hałasują w słońcu jak szalone.

Z daleka dostrzegam dwa czarne wzgórki wystające zza gaju oliwnego. Gdy podchodzimy bliżej, widzę, że to fragment olbrzymiej rzeźby – dwie rozsunięte w rozkroku nogi. Następnie ciążowy brzuch jak wielki czarny głaz. Piersi i głowa. „Matka Ziemia" jest do połowy zakopana. Tak naprawdę to skomplikowana konstrukcja architektoniczna zaprojektowana przez francuską rzeźbiarkę Prune Nourry. Sportretowała w ten sposób ciężarną przyjaciółkę, którą widziała leżącą w wannie w mlecznej kąpieli. Rzeźba fascynuje z wielu powodów, także dlatego, że jej wygląd zmienia się w zależności od punktu, z którego na nią spoglądamy.

Damien Hirst i dziewczynka z misiem

Spacerujemy pomiędzy winoroślą, starymi dębami, strzelistymi cyprysami a wonny-

FOT. CHATEAU LA COSTE (5)

- **„Charity" Hirsta, coś między kiczem a tandetą**
- **Jeden ze stalowych lisów Michaela Stipe'a**
- **Pająk Louise Bourgeois**
- **Jean Nouvel, architekt Filharmonii Paryskiej zaprojektował chais, skład wina. Tu też maceruje się grona**

eprasa.pl a8fd4bb077

mi sosnami. Na płaskim terenie i na wzgórzach rozlokowano kilkadziesiąt rzeźb i pawilonów instalacji zaprojektowanych przez największych XX- i XXI-wiecznych rzeźbiarzy i architektów.

Jedyny warunek, jaki postawił im McKillen, brzmiał: „Wpisać się w krajobraz, nie gwałcić go". Nie posłuchał tylko Damien Hirst, jeden z najbogatszych i najbardziej kontrowersyjnych artystów współczesnych. W nagrodę dostał zamówienia na dziewięć następnych rzeźb. Żaden inny artysta nie ma ich w La Coste tyle, co on.

Idziesz więc drogą pośród zieleni otoczona ciszą jak z medytacji zen i nagle dostajesz cios w nos – przed oczami wyrasta siedmiometrowa rzeźba z brązu przedstawiająca dziewczynkę jak z kreskówki, tulącą małego misia. Sprawia wrażenie pokrytej emalią do garnków, tu i ówdzie już wyszczerbioną. W tylnej części posągu artysta zostawił uchylone drzwiczki, jakby chciał pokazać, że w środku jest pusto. Gdyby do rzeźby przystawić długą drabinę, można by wejść do wnętrza.

To „Charity", coś między kiczem a tandetą. W dodatku „sieciówka" – identyczne rzeźby Hirsta stoją w londyńskim City i w Yorkshire Sculpture Park. Ale Hirst jest znany z tego, że opyla ten sam towar różnym klientom. Postarzał np. własne prace, tak by wyglądały na wykonane w latach 90. XX w., gdy współtworzył cenioną dziś grupę młodych gniewnych Young British Artists. Po czym sprzedawał tak „podrasowane" prace azjatyckim galeriom.

Pająk Louise Bourgeois

Dość jednak o Hirście, z którym właściciel La Coste jest najwyraźniej za pan brat. Paddy McKillen to chłopak z Belfastu. Pierwszy biznes założył w wieku 16 lat, rozbudowując sieć garaży samochodowych. Nie miał czasu na uniwersytety, a jednak ciągnie go do sztuki i artystów.

Od dawna przyjaźni się z Bono z U2 – są z tego samego pokolenia. Jest blisko z wielkim włoskim architektem Renzo Piano, współautorem projektu paryskiego Centre Pompidou.

Swego czasu oczarował 81-letnią rzeźbiarkę Louise Bourgeois, która w 2003 r. specjalnie dla niego wykonała kolejnego „przyczajonego pająka", wielką, acz subtelną rzeźbę z brązu stojącą na wypolerowanych, cienkich jak liany nóżkach. Rzeźbę zainstalowano w La Coste w maju 2010 r., dwa dni przed śmiercią artystki. Tego pająka staram się obejść i zobaczyć ze wszystkich stron.

• „Matka Ziemia" Prune Nourry. Sportretowała w ten sposób swoją ciężarną przyjaciółkę leżącą w wannie w mlecznej kąpieli.

Bourgeois, paryżanka z urodzenia, z wyboru mieszkanka Nowego Jorku, dedykowała swoje pająki matce, którą bardzo kochała. „Była moim najlepszym przyjacielem. Pająki nas chronią i pomagają, zupełnie jak moja mama pomagała mnie" – powiedziała kiedyś ta wyjątkowa artystka. To był motyw przewodni jej twórczości.

Gdy w 2000 r. inaugurowano londyńską Tate Modern, w ogromnej przestrzeni witał zwiedzających monstrualny „spider" jej autorstwa. Inny pająk stoi obok Muzeum Guggenheima w Bilbao, zapraszając zwiedzających do środka.

Wagonik Boba Dylana

Za gęstym lasem wznosi się na wzgórzu betonowa świątynia zaprojektowana przez Japończyka Tadao Ando w duchu minimalizmu, który ów architekt opanował do perfekcji.

Moją uwagę zwraca czerwony krzyż. To ciekawa konstrukcja stworzona z przezroczystych czerwonych kul ze szkła ustawionych wertykalnie jedna na drugiej i przeciętych horyzontalnie identyczną belką. Ani chybi artysta Jean-Michel Othoniel wymyślił sobie krzyż wyglądający jak różaniec z paciorkami nawleczonymi na sznurek. Czerwień to wino i krew – chrześcijańska symbolika. Czy „La Grande Croix Rouge" to ukłon w stronę katolicyzmu, bo McKillen jest Irlandczykiem? Nie zamierzam dociekać, idę dalej.

Dla Paddy'ego McKillena Bob Dylan zaprojektował ażurowy wagonik („Rail Car", 2022). Dawny chiński dysydent Ai Weiwei – kamienny deptak o zarysie chińskiego muru („Ruyi Path"), który łączy dwie starożytne dróżki. Bowiem winnica La Coste pamięta czasy antyczne – winorośl uprawiali na tym terenie Rzymianie.

W 1682 r., za panowania Ludwika XIV, „Króla Słońce", Francuzi postawili tu rezydencję, która przetrwała do naszych czasów i nosi nazwę bastide. Obok niej lśnią stalową obudową dwie gąsienice – zakopane w ziemi hangary zaprojektowane przez Jeana Nouvela, architekta Filharmonii Paryskiej. To chais, po francusku skład wina, piwnica, w której przeprowadza się winifikację i gdzie wino leżakuje. To tam maceruje się grona i przechowuje fermentujący moszcz w wielkich stalowych kadziach. Tutejsze chais wygląda jak sterylnie czyste laboratorium.

Jedyny warunek, jaki postawił McKillen artystom brzmiał: „Wpisać się w krajobraz, nie gwałcić go". Nie posłuchał tylko Damien Hirst

Okna Oscara Niemeyera

Legendarny brazylijski architekt Oscar Niemeyer zaprojektował dla Paddy'ego jedną ze swoich ostatnich prac, przeszklone audytorium na wzgórzu. Ukończono je w 2022 r., dziesięć lat po jego śmierci. Niemeyer żył prawie sto lat, projektował wizjonerskie budowle, jakby przeniesione z obrazów surrealistów, np. René Magritte'a (muzeum Niemeyera w brazylijskiej Curtibie). Monumentalne, a przy tym lekkie, jakby wykonano je z papieru (katedra w Brasílii).

Audytorium przykryte srebrzystym dachem jest niemal w całości wkomponowane w zieleń. Więcej w nim szkła niż betonu. Aby się tam dostać, trzeba iść długo pod górę, co nie należy do przyjemności w takim upale.

W środku budynku miły chłód. Zza wielkich szyb widać drzewa i rządki winorośli. W oddali masywy gór. Bliżej fosa. Sam widok wody w tym miejscu działa kojąco. W środku wiszą obrazy Chińczyka Ding Yi. Bardzo kolorowe, jednocześnie wyraźnie inspirowane geometrycznym abstrakcjonizmem Pieta Mondriana. Nie one jednak przykuwają moją uwagę, ale samo audytorium i widok na przyrodę przez przeszklone ściany budynku.

Mogłabym tu zamieszkać – metraż jest spory – i spędzać czas na kontemplacji Prowansji, z której chciałoby się nigdy nie wyjeżdżać. ●

REKLAMA

Kraj/34328784

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

WSZYSCY *chcieliśmy być ostrzy* NA POCZĄTKU

My w Warszawie, z kawą na groszkowym mleku jesteśmy tak samo przerysowani jak facet ze skansenu rolniczego, który ugniata boso kapustę.

Z KOMIKIEM **ANTONIM SYREK-DĄBROWSKIM*** ROZMAWIA **MARTA GÓRNA**

MARTA GÓRNA: Mówisz: „trzeba lubić ból, żeby mieć dzieci, być rąbniętym". W swoim najnowszym programie dodajesz, że miłość do dziecka nie przyszła od razu.

ANTONI SYREK-DĄBROWSKI: To jest dziś wciąż temat tabu, prawda? Wszyscy mówią, że zakochasz się w swoim dziecku od pierwszego wejrzenia, a to wcale tak nie wygląda, przynajmniej nie u mnie. Widziałem miłość w oczach mojej żony, kiedy wzięła naszego syna pierwszy raz na ręce. Ja musiałem na tę miłość trochę poczekać. Ta miłość przyszła z czasem, na początku czułem się tak, jakbym trzymał po prostu jakieś dziecko. Monika mówiła, że czuje niemal fizyczny ból, jak mały płacze, ja tego nie miałem.

To się potem zmieniło w kilka tygodni, nie pamiętam nawet kiedy, bo spaliśmy wtedy mało, a ja strasznie bałem się depresji poporodowej mojej partnerki, więc wstawałem do małego w nocy non stop, ona spała, bo była wykończona po porodzie.

Nie chciałem sobie odpuścić, brałem na siebie za dużo i doprowadziłem się do wyczerpania psychicznego, przesadziłem. Do tego stopnia, że miałem napady wściekłości. Chciałem ją odciążyć i ochronić, a sam otarłem się o obniżenie nastroju, bo depresją bym tego nie śmiał nazywać, jak kilka przespanych nocy mi przywróciło nastrój. Ale było ciężko. Bardzo.

Mówię o tej miłości z opóźnionym zapłonem, ludzie na sali się z tego śmieją, bo to chyba uniwersalne doświadczenie rodziców. Ale się zastanawiam, czy mogę o tym opowiadać w ten sposób, bo jestem facetem? Na kobiety, które mówią publicznie, że nie tak łatwo pokochać dziecko, od razu sypią się gromy.

Mój przyjaciel Krzysiek Wiśniewski wraz z Błażejem Staryszakiem wyśmiali idealnie ten stereotyp w swojej książce „Tata nie ma siły". Jak ojciec wychodzi z dzieckiem i dzieciak ma krzywo założoną czapeczkę, to słyszy pochwały, że „tata o czapeczce pamiętał".

Jak wychodzi matka, to od razu wyrodna, jak mogła krzywo czapeczkę założyć? O macierzyństwie na scenie mówi też Magda Kubicka, która została matką mniej więcej wtedy, kiedy ja zostałem ojcem. Osobno oczywiście.

„Octem się podmywam" – powiedziała ginekologowi na pytanie o metodę antykoncepcji. To dziś jedna z najpopularniejszych standuperek w Polsce.

– Mamy do czynienia z eksplozją kobiecego stand-upu. Niesamowicie w czasie pandemii wystrzeliła też Olka Szcześniak, popularna jest Paulina Potocka, niedawno przebiła się Sylwia Wiszowata. Dziewczyny są śmieszne, mają swój głos, fanów.

Wiadomo, że wśród widzów znajdą się jeszcze seksiści, ale na szczęście już coraz mniej pojawia się bredni w stylu „kobiety nie są śmieszne", bo dziewczyny rozbijają bank i po prostu nie ma takie gadanie już poparcia w faktach. Postaci tych komiczek też są bardzo różne, od inteligentnych, po kompletnie szalone i dziwaczne.

A ty za jakiego chcesz uchodzić?

– Wiesz co? Chyba jestem zadowolony z mojej postaci lamusa, któremu nie idzie w życiu. Nie muszę jej bronić poza sceną, pielęgnować wizerunku, który stworzyłem, grać oświeconego typa mówiącego mądre rzeczy. Na dłuższą metę to musi być straszliwie wyczerpujące.

Podnosisz brwi, wywalasz język, czasem przeklinasz. Twoja postać sceniczna jest przerysowana.

– Mimo to całkiem zbliżona do tego, jaki jestem prywatnie. Ze sceny mówię rzeczy, które naruszają tabu, ale prywatnie sporo myśli zachowuję dla siebie. Moi fani to rozumieją, nie oczekują ode mnie pajacowania po występie.

Jak się tworzy dobry żart?

– Na początku szukasz rzeczy zabawnych, potem się okazuje, że prawdziwe złoto jest w tych kompletnie nieśmiesznych sytuacjach.

Dlaczego?

– Takie sytuacje są paradoksalnie śmieszniejsze i bardziej wielopoziomowe w tre-

eprasa.pl a8fd4bb077

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Dziecko od urodzenia do osiemnastki kosztuje teraz 500 tys. zł. Ludzie mówią, że dziecko się ma po to, żeby ci ktoś szklankę wody na starość podał. Za te pieniądze to ma być perlage codziennie, mały śmieciu”

ści. Chyba wybieranie tej drogi przychodzi z doświadczeniem na scenie. Komik Louis CK mówi, że żarty, które najbardziej bombią, czyli nie działają u niego na testach, potem najbardziej rozwalają, czyli działają w programie.

Ja jeszcze tam nie doszedłem, ale wiem już, że jak jesteś młodym komikiem, chcesz zaistnieć, mówisz widzom wszystko, co wydaje ci się śmieszne, potem dopiero się cywilizujesz. Nie czujesz już takiego ciśnienia w głowie, zaczynasz lepiej widzieć, które myśli są warte tego, żeby stać się żartami. To jest ciągła nauka, więc mówię to ze swojej obecnej perspektywy, co będzie za 5-10 lat – nie wiem.

To od czego zaczynałeś?
– Na początku często wszyscy jako komicy startowaliśmy od szokowania: dowcipów o pedofilii, kazirodztwie. Oczywiście nadal się pojawiają gdzieś, ale nie są głównym motywem materiałów. Polecam stand-up Czarka Jurkiewicza, który świetnie przeplata tematy filozoficzne ze strasznymi myślami, jakie ma w głowie.

Pamiętam, jak rozmawiałem z węgierskim komikiem Gergelyem Litkaiem, który mi powiedział: „My też wszyscy chcieliśmy być ostrzy na początku”.

Pamiętam, że pomyślałem: „Co ten stary dziad chrzani?! Ja jestem ostrym i bezkompromisowym komikiem!”. Minęło 10 lat i miał 100 proc. racji. Jestem teraz na takim etapie, że zależy mi na tym, aby ludzie dobrze się czuli na moich występach, nie mam specjalnych potrzeb, żeby naruszać ich strefę komfortu, biorę żarty na siebie, nie śmieję się z nich.

Życie i tak jest ciężkie, więc chcę, by ludzie się dobrze poczuli u mnie na chwilę. A że czasem poruszam tematy, powiedzmy szumnie: „tabu”, to jak już widziałeś mnie w internecie, to wiesz, czego się spodziewać. Zapraszam. A jak komuś się nie spodobało, też OK, na pewno znajdzie kogoś, kto mu pasuje.

Robiliście z partnerką remont, skończyliście z oknami zamontowanymi klamkami na zewnątrz. Spece od remontów automatycznie zakładali, że to ty jako facet znasz się na rzeczy, i popełnili błąd.
– Korzystam z perspektywy Moniki. Robiliśmy ten remont, wszyscy fachowcy o montowaniu półek czy drzwi chcieli rozmawiać ze mną, a o farbie i zasłonach z nią. Strasznie nas to bawiło, nie rozumieliśmy, skąd się biorą te podziały, że ja niby bardziej rozumiem drzwi lub montaż prysznica od niej. Tak samo nie mam o tym pojęcia!

Więc niby jak jesteś facetem, to stukasz młotkiem, masz za pasem śrubokręt, a jako kobieta zostajesz skierowana do kuchni, możesz też ewentualnie wybrać kolor ścian. Do mnie nikt o farbach nie mówił. To debilizm.

Kumpel twierdzi, że ta moja niezgoda na to bierze się stąd, że mam dwa nazwiska. A mam je dlatego, że otrzymałem nazwisko i po tacie, i po mamie. Jego zdaniem to wrodzony feminizm. Trochę naciągana teoria, ale niech mu będzie.

Dlaczego naciągana?
– Bardziej realnie bym powiedział, że moja mama w latach 90. rozwiodła się z ojcem. Wtedy całe społeczeństwo tak funkcjonowało, że kobieta miała prać, gotować i ogarniać dzieciaki, a mężczyzna był od wkręcania żarówki.

Jak zostaliśmy z bratem i mamą sami, to została mi przypisana rola faceta w rodzinie, a jednocześnie widziałem kobietę, która świetnie sobie sama radzi.

Ale w pełni świadomie dopiero ten absurdalny podział ról zobaczyłem dużo później. Wychodzenie z tego matriksa zajmuje wiele lat, nadal z niego wychodzę, popełniam mnóstwo błędów, ale grunt, że idę w dobrą stronę.

Kiedy jako dorosły człowiek rozmawiasz z kobietami i słyszysz ich perspektywę, to wyrywa z kapci. Moja żona opowiadała mi, że kiedy była dziewczynką, wnerwiało ją np., że we wszystkich bajkach chłopcy działają, a dziewczynki stoją z boku i klaszczą.

Mam nadzieję, że przekażemy dziecku dobre wzorce, że panuje u nas w domu równowaga.

A panuje?
– Staramy się. Próbujemy dzielić się po połowie, ale bez wątpienia to ja częściej wyjeżdżam, a większy ciężar rodzicielski spoczywa na Monice. Kiedy widzę, że to się za bardzo przechyla, zostaję w domu albo opłacam nianię, żeby też mama mogła odpocząć.

Twoja żona powie to samo?
– Poczekaj, zadzwońmy do niej.

Monika odbiera.

Antek: Uważasz, że na spółę zajmujemy się dzieckiem?

Monika: *Tak na serio?*

Antek: No, na serio.

Monika: *Myślę, że do tego dążymy, ale różnie to wychodzi. Są okresy, kiedy ty jesteś bardziej przeciążony, są okresy, kiedy więcej dzieckiem opiekuję się ja. Ale na pewno był moment, kiedy czułam, że jesteś po mojej stronie.*

Antek: Uff mniej więcej to samo powiedziałem.

Jak się poznaliście? Twoja Monika to dziewczyna spoza środowiska komików, ma odpowiedzialną, poważną pracę.
– Na początku nie zdawała sobie sprawy, z czym wiąże się bycie dziewczyną komika. Przyszła z koleżanką na open mica do Resortu w Warszawie. Wyglądał tak, że 35 osób siedziało w piwnicy, a na scenie kilku kolesi testowało bardziej lub mniej śmieszne żarty. Pomyślała sobie: „No dobra, to jest jego hobby”. To było siedem lat temu. Wtedy już jeździliśmy w duże trasy, sprzedawaliśmy sporo biletów, ale z jej perspektywy byłem gościem, który chodzi w dresie i coś tam opowiada na scenie. Była z kompletnie innego środowiska, w innym miejscu w życiu.

Stand-up miała gdzieś, co było dla mnie odświeżające. Dla niektórych ludzi bycie standuperem oznacza automatycznie jakiś status, są zainteresowani tym, co robię, a nie mną. Dla niej mój status był na poziomie zero, od razu poczułem się z tym dobrze, bo widziałem, że poznajemy się jako ludzie, że nie interesuje jej np. to, gdzie występowałem lub jaki mam samochód. Inna sprawa, że nie miałem żadnego i występowałem dla 35 osób w piwnicy.

Od razu zaiskrzyło?
– Byłem wtedy dwa tygodnie po operacji mózgu, wycięciu naczyniaka. Wszedłem na scenę z bandażem na łbie, opowiadałem o tej operacji. Po open micu usiedliśmy pogadać, poprosiłem ją o numer telefonu, powiedziała, że nie daje obcym typom, bo niedawno dostała niechciane zdjęcie penisa. Rozśmieszyło mnie to, ale byłem padnięty, tuż po operacji, nie miałem nastroju na podryw i poszedłem do domu. Zgadaliśmy się na Messengerze.

Jakiś czas później gadała ze swoim kumplem z USA i powiedziała, że spotyka się z komikiem, nastraszył ją, że będzie mnie utrzymywała, że to nieodpowiedzialne. W USA bardzo trudno się przebić i jak ktoś jest „komikiem”, to automatycznie oznacza nieudacznika marzącego o karierze.

Dlaczego mówiłeś o chorobie tak szybko po operacji? Czy to pomagało się z nią uporać? Czy to, że sam zachorowałeś, sprawiło, że automatycznie dostałeś bilet do mówienia o guzach mózgu na scenie?
– Nie pytałem nikogo o zgodę. Przyznam, że nawet to pytanie mnie trochę denerwuje, bo pamiętam, jak się wtedy zderzyłem z tym typowym „czy wypada się z tego śmiać?”, „czy ze wszystkiego można?”.

Tak, można. Czułem, że takie myślenie odziera mnie z prawa do śmiania się w tej

eprasa.pl a8fd4bb077

ekstremalnej sytuacji. Ludzie potrzebują humoru wszędzie.

Każdy przepracowuje traumę na swój sposób i ma prawo śmiać się z tego, co go spotyka. Nie chodzi o to, że wbijasz na oddział onkologiczny i śmiejesz się ludziom w twarz, chorym, którzy nie są na to gotowi i nie mają na to ochoty. Chodzi o to, by wraz z ludźmi o podobnym poczuciu humoru przepracować wspólnie pewne emocje.

„Dziecko od urodzenia do osiemnastki kosztuje teraz 500 tys. zł. Ludzie mówią, że dziecko się ma po to, żeby ci ktoś szklankę wody na starość podał. Za te pieniądze to ma być perlage codziennie, mały śmieciu". Monikę śmieszą twoje żarty?

– Na samym początku, jak słuchała w domu, co będę mówił ze sceny, to chodziła na moje występy, żeby mnie pocieszać. Zresztą jako była żona komika wiesz, o co chodzi. Myślała, że ludzie nie będą się śmiali, szła wspierać mnie emocjonalnie, przytulić po porażce.

A kiedy się okazywało, że te żarty wchodzą, to była w szoku. Gdy opowiadasz żarty na sucho lub cytujesz mnie bez kontekstu i intonacji, to jest inaczej. Dopiero na scenie zyskują swoją moc, bo odgrywasz postać, jest atmosfera i warunki do mówienia takich rzeczy. Bez tego niektóre teksty brzmią, jakby je pisał psychopata, bo jak na kartce oddasz głos ironiczny?

A prywatnie mamy z Moniką bekę. Ona rozśmiesza mnie, a ja ją. Czasami jest śmieszniejsza ode mnie. Teraz już na moje występy nie chodzi, bo ile można? Ma ciekawsze rzeczy do roboty.

Monika: *Czasami nie lubię twoich mocniejszych żartów, tych bardziej agresywnych albo wulgarnych.*

Jeden z żartów zaczynasz tak: pornografia ma zły wpływ na ludzi, np. moja żona nie umie pływać. Często mówisz też, że w czasie pandemii byłeś darmozjadem. Monika ma problem z tym, że opowiadasz na scenie o niej, waszym rodzicielstwie i życiu prywatnym?

– Mamy to przegadane. Konsultuję z nią materiał, czasami prosi, żebym o czymś nie mówił, coś wykreślił, zmienił. Nie mówię na scenie rzeczy, które mogłyby ją zranić. Stawiam ją czasem w złym świetle, ale na tyle głupkowatym, że wiadomo, że to żarty. To ważne, żeby osoba, z którą jesteś, nie miała żalu, żeby żart, który opowiadasz na scenie przez kilka miesięcy obcym ludziom, nie zakończył się kryzysem w związku. Więc jeśli coś jej nie pasuje, to z bólem serca wyrzucam to i piszę kolejny żart. Czasami próbuję pertraktować.

Monika: *Lubię zatwierdzać to, co Antek mówi na scenie. Mam z tym, co mówi, większą swobodę niż na początku, ale nadal oczekuję, że zapyta mnie, co myślę i czy to, co mówi, jest dla mnie OK. Chcę, żeby zapytał mnie o zgodę i jednocześnie odpowiadał na moje wątpliwości.*

– Rozmowy z żoną są dla mnie najlepszą trampoliną do żartów. Kiedyś gadaliśmy np. o brutalizacji pornografii. Powiedziała mi, że jako nastoletnia dziewczyna bała się seksu oralnego przez to, jak był przedstawiany w filmach porno. No wiesz, rozmazany makijaż, łzy w oczach, krztuszenie się.

To był właśnie moment wyrwania z kapci, bo się nie stawiałem nigdy w tej roli i dało mi to do myślenia. Oraz oczywiście plus pięć minut materiału! Bonus! Na scenie mówiłem, jakby to wyglądało, gdyby w porno odwróciły się role. Było to mocno na granicy, ale miałem poczucie, że publiczność rozumie, o co chodzi. Jeśli coś jest śmieszne, to jest śmieszne i zasługuje na to, żeby to powiedzieć.

To, jak widz reaguje, zależy od tego, gdzie mieszka?

– Bardziej od tego, jakie ma doświadczenie ze stand-upem. Jest kilka etapów rozwoju publiki w danym mieście. Pierwszy etap jest taki, że gramy w małym klubiku, w którym lokalny komik zbiera ludzi i imprezy są bardzo intymne. Potem jak scena ruszy, to są plusy i minusy, bo do klubu przychodzi też więcej ludzi, ale przychodzą już do niego widzowie, którzy w czasie występu przerywają i przeszkadzają, często pijani. Trzeba im tłumaczyć, jak się zachować, znakomity jest w tym Tomasz Kwiatkowski.

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Widziałem miłość w oczach mojej żony, kiedy wzięła naszego syna pierwszy raz na ręce. Ja musiałem na tę miłość trochę poczekać

Trzeci etap to przeniesienie stand-upu do np. domu kultury i tam przychodzi zazwyczaj już szersza publiczność, która wie, że musi się zachować. Tutaj ważne jest słowo „zazwyczaj", bo czasem w piątki czy soboty obsługa domu kultury zbiera 20 minut małpki po sali.

To znaczy, że widzów trzeba sobie wychowywać?

– Absolutnie tak. Byłem kiedyś na występie gdzieś na drodze do Płocka, w małej miejscowości, której nazwy nie pamiętam. I tam w pierwszym rzędzie siedzieli ludzie z chipsami i browarami, co jeszcze jest OK. Ale w czasie występu krzyczeli z tego pierwszego rzędu.

Próbowaliśmy ich uspokoić, ale oni cały czas przerywali, więc zacząłem ich wypraszać, a oni do mnie wrzeszczą, że jestem aktorzyną z przygotowanymi tekstami i że to nie jest prawdziwy stand-up. Takich ludzi trzeba od razu wyrzucić, pokazać, że ich zachowanie jest niepożądane. Rozwalają występ nie tylko nam, ale też innym widzom, którzy przyszli posłuchać i zapłacili za bilety, a teraz muszą słuchać nawalonego typa, który wie najlepiej, na czym stand-up polega.

Polska jest podzielona, jeśli chodzi o poczucie humoru?

– Byłem ostatnio na Podkarpaciu z moim supportem Kubą Wilczkiem. Zapytał, czy luzujemy z żartami religijnymi. Powiedziałem, że lecimy normalnie. Ludzie najlepiej się bawią, kiedy narusza się najbliższe im tabu, a religia to największe tabu w tej okolicy. Nie ma żadnego miejsca w Polsce, w którym widzowie śmieją się głośniej.

To zależy od wieczoru. Mój kumpel, ten od teorii dwóch nazwisk – Rafał Sumowski – ma teorię, że to zależy od ciśnienia. Ma to sens, bo jest powiązane z reakcjami mózgu, ospałością. Nie powiem ci więc, że na ścianie wschodniej słuchają mnie z kamiennymi twarzami, a na zachodzie zrywają boki.

Mogę ci za to powiedzieć, że mam żart, w którym odnoszę się do ilości pobudowanych budynków: „tutaj kiedyś nic nie było, teraz to pobudowali", i różnica, jaką zauważyłem, że w dużych miastach ludzie się z tego śmieją, bo sporo się tu buduje, w mniejszych miastach, gdzie nie ma tylu zmian i placów budowy, ten żart wchodzi gorzej.

Nie masz poczucia, że jako warszawiak z urodzenia żyjesz trochę w bańce?

– Na maksa. Pomaga mi to, że jeżdżę po całej Polsce, rozmawiam z ludźmi, którym poprawność polityczna nie spędza snu z powiek, bo mają inne, realniejsze problemy. Mam tego świadomość, że my tutaj, w Warszawie, z kawą na groszkowym mleku i muffinkami bananowymi jesteśmy tak samo przerysowani jak facet ze skansenu rolniczego, który ugniata na bosaka kapustę.

„Ze mną, jak kobieta miała się przespać, to zawsze miała minę, jakby decydowała, czy zjeść jogurt po terminie ważności". Monika lubi tego Antka ze sceny?

– Musimy ją zapytać. Sam jestem ciekawy, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Wiem na pewno, że nie lubi, jak mówię o sobie źle, ale jej tłumaczę, że to tylko postać. Może ją bawi, ale nie chciałaby z nim żyć pod jednym dachem?

Monika: *Bawi mnie twoja postać sceniczna, ale to dlatego, że jest zupełnie inna od człowieka, jakim jesteś prywatnie. Śmieszy mnie rozjazd pomiędzy tymi dwoma Antkami.*

Komikiem jest się a całe życie?

– Kiedyś reporterka zapytała mnie: „Panie Antoni, teraz stand-up i co dalej?". Poczułem się obrażony, byłem właściwie wkurwiony. Zapytałem ją, czy reżyserów też tak zagaja: „Panie Koterski, filmy i co dalej?". Stand-up to długa i niezbadana do końca ścieżka. Będę to robił całe życie, za 30 lat też będę dopracowywał materiał, szlifował żarty.

Chcę być coraz lepszym komikiem, moim marzeniem jest wciąż wychodzić na scenę w wieku 70 lat.

Po co komik ma rozśmieszać ludzi?

– To zależy, czy czasy są trudne, czy nie. Jak są dobre, to wychodzisz i dotykasz niewygodnych tematów, żeby dać ludziom do myślenia, bo zbyt komfortowo zaczęli się czuć. Jak są złe, to wtedy twoją rolą jest chyba pozwolić publiczności zapomnieć o tym, czego się boją, dać im szansę, żeby się razem pośmiali. W czasie pandemii czułem, że daję ludziom taki zastrzyk endorfinowy.

Sam przypomniałem sobie o tym, jakie to uczucie być na widowni, jak pojechałem w ubiegłym roku do Berlina na występ komika Billa Burra. Wyśmiałem się i taki strzepany hormonami wyszedłem z jego stand-upu i skumałem, co ludzie mogą przeżywać w czasie naszych występów.

Teraz mamy kiepskie czasy. Wiemy już, że przed pandemią nie docenialiśmy dobrych. Wiadomo, że ceny rosły, nie było idealnie, ale nie musieliśmy wtedy drżeć przed realnym zagrożeniem. Drżeliśmy najpierw przed chorobą, a teraz przed wojną.

Ty nie mówisz o wojnie na scenie. Nawet o swoim strachu przed nią.

– Mógłbym mówić, ale czuję, że ludzie żyją z tym lękiem całą dobę i nie chcę, żeby przychodzili mnie posłuchać i znów nim żyli. Obserwują ją ciągle w mediach. Teraz może trochę to już opada albo faluje.

W dniu wybuchu wojny graliśmy z Łukaszem Kowalskim w Gorzowie Wielkopolskim i byłem przerażony, bo właśnie zaczęła się wojna, dosłownie 12 godzin wcześniej, a my wychodzimy na scenę bawić ludzi.

Długo rozmawialiśmy, co zrobić, i ustaliliśmy z Łukaszem, że o wojnie nie wspominamy, bo i tak wszyscy siedzieli w telefonach, sprawdzali najnowsze informacje. Poszło zaskakująco dobrze, część widzów podchodziła do nas po występie, mówili, że na dwie godziny zapomnieli o tym, co się dzieje. Ja też zapomniałem, a po wszystkim wróciliśmy do tego lęku, który w mniejszym lub większym stopniu towarzyszy nam do dziś.

To nasz kolektywny lęk, współdzielimy go. Może właśnie dlatego w moim najnowszym materiale mówię o takich małych rzeczach, codzienności. Sam dla siebie w to uciekam: wizyta u wulkanizatora, USG bioderek synka, takie codzienne pierdoły. Kiedyś lubiłem dotykać grubych i trudnych tematów, rozgryzać je tak, żeby ludzie się śmiali. Po ostatnich pięciu latach sam potrzebuje poczucia bezpieczeństwa, przestrzeni dla siebie w tym, co mówię na scenie. Spokoju. ●

***Antoni Syrek-Dąbrowski**

• popularny komik, improwizator, scenarzysta i aktor. Na scenie standupowej od 2010 r., brał udział w programach telewizyjnych Comedy Central i HBO oraz Telewizji Polskiej, obecnie w trasie z programem „Jaka piękna katastrofa".

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

Co mnie urzekło

Sztuka pieczenia w piasku

• Chleb, który Abdallah upiekł w piasku, zjedliśmy z masłem i dżemem pomarańczowym FOT. PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

To była najsmaczniejsza pajda chleba w moim życiu.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy, tobym na pewno nie uwierzył, że na nadmorskiej plaży można upiec pyszny chleb, nie mając absolutnie żadnego oprzyrządowania. Tej sztuki, zadziwiającej nie tylko europejskiego mieszczucha, dokonał Abdallah – mauretański właściciel małego biura turystycznego, a tym razem również nasz przewodnik, kierowca i kucharz w jednej osobie.

Napar o mocy siekiery

Najpierw jednak swoim sposobem przedostał się z Mauretanii do Rosso na południowy brzeg granicznej rzeki Senegal, żeby nas przepchnąć wreszcie przez kolejkę na odprawie wyjazdowej, gdzie beznadziejnie utknęliśmy na ponad godzinę w tłumie chętnych do przeprawy na drugi brzeg.

Mniej sprawczy okazał się po swojej stronie rzeki, bo wpuszczanie nas do Mauretanii zajęło tamtejszym urzędnikom ponad dwie godziny – ponoć z powodu nagłej awarii komputerów. Doświadczeni tubylcy natychmiast porozkładali w cieniu koce, żeby złagodzić czas czekania w nieznośnym upale bez dostępu do nadającej się do picia wody.

Nasza dalsza podróż półciężarową toyotą przebiegła sprawnie aż do brzegu Atlantyku, gdzie mieliśmy nocleg ambitnie zaplanowany na nadoceanicznej plaży. Jeszcze tylko zatrzymaliśmy się w wiejskim sklepiku, żeby się zaopatrzyć w dużą ilość liści herbacianych, z których Abdallah, ze skupieniem celebrując swoją sztukę, zaparzał do każdego posiłku napar o mocy siekiery. Wielu muzułmanom ten bardzo pobudzający napitek (w wersji herbacianej albo miętowej) służy jako używka, która zastępuje zabroniony przecież przez islam alkohol.

Magiczna część wieczoru

Tylko raz samochód ugrzązł, przejeżdżając przez nadmorskie wydmy, co naszego kierowcy absolutnie nie zmartwiło. Sprawdzonym sposobem wystarczyło spuścić trochę powietrza z opon, które po rozpłaszczeniu się pozwalały poruszać się po piachu.

Wybrawszy właściwe miejsce na obozowisko, Abdallah kazał nam iść na spacer, podczas którego sam rozbił dwa wielkie pustynne namioty pięknie wewnątrz wyłożone dywanami. Kiedy wróciliśmy, był w trakcie przygotowywania kilkudaniowej kolacji, którą gotował na ognisku.

Wraz z nastaniem błyskawicznie zapadającej ciemności rozpoczęła się magiczna część wieczoru. Nasz gospodarz ochronił się przed nocnym chłodem, zakładając kurtkę na pięknie błękitny strój narodowy. Siedzieliśmy przy ognisku, rozmawiając o skomplikowanej politycznej sytuacji w regionie, o Mauretanii, o tradycji beduińskiej, z którą się dumnie identyfikował, i o jego kilkuletnich hotelarsko-turystycznych „studiach" w Paryżu, które tłumaczyły jego niemal sorbońską francuszczyznę.

W ciemnościach pustynnej nocy, nie przerywając dialogu, cierpliwie mięsił rękami w metalowej misce mąkę z wodą. Dobrze już wyrobione ciasto przykrył szmatką i postawił koło ogniska, żeby urosło w cieple.

Po przepaleniu sporej ilości zebranego przez nas w pobliżu drewna, rozgarnął żarzące się węgle, włożył wyrośniętą już chlebową bułę bezpośrednio do wygrzebanego w gorącym piasku dołka, który ponownie przykrył piaskiem z węglami. Po mniej więcej półgodzinie ponownie rozgarnął piasek, wyjął ładnie już opieczony bochenek, obrócił go na drugą stronę i ponownie zakopał w piachu.

Jak zadziwić Europejczyka

Rozmowy przy ognisku znakomicie skracają upływ czasu. On wyczuwał go instynktownie i w odpowiednim momencie ostatecznie rozgarnął dogasający żar i gorący piasek, z którego wydobył chleb wyglądający na razie mało apetycznie, bo dookolnie zwęglony. Wystarczyło go jednak oskrobać nożem, żeby nabrał jadalnego wyglądu.

Patrzyliśmy w niemym urzeczeniu tą niezwykłą (pewnie nie tylko dla nas) umiejętnością. Zapewne nie jest ona już częsta u tubylców, którzy przecież w domach mają piece chlebowe albo kupują świeże pieczywo u wiejskiego piekarza. Natomiast Abdallah słusznie uznał, że sztuka pieczenia w piasku zadziwi jego europejskich gości, po których przyjechał aż z odległego o ponad 200 km stołecznego Nawakszut.

Przetrwawszy bardzo zimną noc, zjedliśmy ten chleb na śniadanie z masłem i dżemem pomarańczowym, popijając to herbacianą siekierą. To była chyba najsmaczniejsza pajda w moim życiu, pomijając oczywiście nasz narodowy chleb ze smalcem i kiszonym ogórkiem.

Przemysław Urbańczyk – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna", „Zanim Polska została Polską", „Mieszko Pierwszy Tajemniczy", „Co się stało w 966 roku?", „Bolesław Chrobry – lew ryczący" i najnowszej „Trudna historia zwłok" oraz kilkuset artykułów. ●

eprasa.pl a8fd4bb077

Boli szóstka, więc idę wyżej

Everest to jest naprawdę piękna góra, która nie zasłużyła, aby źle o niej mówić tylko dlatego, że wiele osób chce stanąć na jej wierzchołku.

Bartosz Wrześniewski

Piotr Krzyżowski jako pierwszy wszedł na Everest i Lhoste w jednym ataku, w odstępie niespełna 48 godzin, nie schodząc poniżej obozu czwartego i nie wspomagając się tlenem. Nie dla rekordu – tak mu podpowiadała wysokogórska logistyka.

BARTOSZ WRZEŚNIEWSKI: Chhang Dawa Sherpa, najmłodszy w historii zdobywca korony Himalajów i Karakorum, napisał: „Osiągnięcie dwóch wyższych ośmiotysięczników bez dodatkowego tlenu i wsparcia to nowy szczyt minimalistycznego, samowystarczalnego alpinizmu”.

PIOTR KRZYŻOWSKI: Bardzo się cieszę, że tak to jest postrzegane, szczególnie przez Davę i innych Szerpów, których dokonania w górach bardzo szanuję, ale nie mi to oceniać. Ja nie myślałem o tym, aby ustanowić jakiś rekord. Planując wyprawę, jakoś szczególnie wnikliwie nie sprawdzałem, co ktoś wcześniej zrobił na Lhotse i Evereście. Wiedziałem jedynie o trawersie Nirmala Purji od strony Everestu i o pewnych wątpliwościach wokół jego niektórych przejść.*

Zdecydowałem się zacząć od Lhoste, bo to poważnie zmienia trudność tego przedsięwzięcia. Poza tym wiedziałem, że gdy zacznę od Everestu, to może mnie rozprężyć, nie chciałem, aby Lhotse było opcją. Dlatego zostawiłem sobie ten najwyższy szczyt jako wisienkę na torcie. Można powiedzieć, że postawiłem wszystko na jedną kartę.

Szedłeś sam, sam zakładałeś obozy, nie korzystałeś z tlenu. Wyjaśnijmy czytelnikom mniej zorientowanym w himalaizmie, na czym polega twój wyczyn.

– Kwestia wspomagania się tlenem jest chyba dla wszystkich jasna – korzystając z niego, wysokość, jaką odczuwa organizm, mocno się obniża, więc wchodząc na Everest w tlenie, zdobywasz tak naprawdę sześciotysięcznik bez niego. Ja od początku wspinam się, nie używając tlenu z butli, więc trudno mi porównywać, ale koledzy opowiadali, że jak używali tlenu w akcjach ratowniczych, to szli do góry bez zadyszki. Nie odczuwali pragnienia, nie chciało im się jeść. Ja nie mam nawet tlenu awaryjnego, bo to też mocno zmienia sytuację w głowie, gdy wiesz, że nie masz żadnej furtki awaryjnej.

Z kolei samotne wspinanie wiąże się z dźwiganiem samemu wszystkiego, co jest potrzebne do budowania obozów. W pierwszej rotacji miałem w plecaku dwa namioty dwuosobowe, cztery kartusze z gazem, jedzenie na pięć dni, kombinezon, śpiwór i inne rzeczy. Łącznie dźwigałem jakieś 26 kg. Będąc klientem agencji, w większości przypadków niesiesz tylko osobiste rzeczy, kurtkę, picie i tak dalej, a wszystko inne transportują Szerpowie. Idąc samodzielnie, musisz sobie sam wykuć platformę pod namiot, postawić ten namiot, podczas gdy członkowie wypraw komercyjnych odpoczywają, a Szerpowie rozbijają obóz i gotują.

Jaki jest stosunek ludzi działających samodzielnie i bez wspomagania tlenem do tych wchodzących z Szerpami?

– Pytasz o podejście czy o proporcje? Jeśli o to drugie, to jest przytłaczający, nawet nie 99 proc. do 1. Przykładowo, w tym roku na 425 osoby działające na Evereście tylko chyba cztery nie wspomagały się tlenem – ja, dwóch Mongołów i mocny biegacz ultra z Kenii, z tym że ta trójka korzystała z namiotów agencyjnych, a Kenijczyk z pomocy Szerpy. Niestety, wszyscy zginęli podczas ataku szczytowego... Mijałem ich ciała.

Czy dojdzie do tego, że z czasem himalaizm komercyjny wyprze samodzielny?

– Dla ludzi, którzy chcą się wspinać w górach wysokich w swoim stylu, zawsze miejsce się znajdzie. Przecież nikt ci nie zabroni wejść na górę; to nie jest tak, że ktoś postawi szlaban i koniec.

Może się to oczywiście nie podobać agencjom i zresztą miałem takie odczucie, że niektórzy Szerpowie patrzyli na mnie krzywo, myśląc pewnie, że nie daję im zarobić. Ale potem to się zmieniło na plus, gdy się dowiedzieli, co zamierzam, i zobaczyli, jak działam, w jakim tempie się poruszam. A po sukcesie na Lhotse i Evereście wielu Szerpów mi gratulowało. Oni najlepiej wiedzą, jak trudno się wspinać bez tlenu. Sami mówią, że powyżej 8,5 tys. m bez tlenu się nie chodzi, bo to śmiertelnie niebezpieczne.

Czy mimo samowystarczalności natrafiłeś na kolejki w drodze na szczyt? Brałeś pod uwagę te słynne zatory podczas planowania?

– Cały czas kontrolowałem sytuację w EBC [Everest Base Camp, najniższy, stały już obóz pod Everestem, z którego ruszają komercyjne wyprawy, jeden z punktów docelowych himalajskich trekkingów]. Wiedziałem, kiedy z obozu ruszają poszczególne agencje z klientami. Miałem bardzo dobry kontakt z lekarzem obozowym, który przekazywał mi każdego dnia, ile osób wyruszy do góry.

Gdy tam jesteś i obserwujesz, to uczysz się, jak działa cały ten system, jaki jest powtarzalny. Z obozu drugiego ludzie wychodzą o godz. 8-9, no to ja startowałem o 6, zresztą to jest normalna godzina na wyjście. Wszystkie wyjścia miałem rozpisane w głowie i były w innych godzinach, niż przyjęło się to robić w Nepalu.

Przed atakiem na Lhotse siedziałem dwa dni w obozie drugim i obserwowałem ruch ludzi w ścianie. Mimo to nie uchroniłem się przed kolejkami na podejściu do c3 i c4 [c to camp]. Tych ludzi jest tak wielu, że tego się chyba nie da uniknąć. Natomiast sam atak szczytowy musiałem tak zaplanować, by mieć pewność, że nie będzie żadnych przestojów, bo one by przekreśliły moje szanse. Bez wspomagania się tlenem nie mogę stać w kolejce powyżej 8 tys. m, bo się po prostu odmrożę. Dlatego wyszedłem o zdecydowanie późniejszej godzinie niż większość osób, tak aby jak najkrócej wspinać się w nocy, kiedy temperatura spada poniżej minus 30 st. C.

Jednym słowem, gdybyś gdzieś się pomylił przy planowaniu, to po zabawie?

– Będąc w c2, miałem wszystko na podglądzie, więc trudno było się pomylić. To nie jest tak, że ja przypuszczam, że wyjdzie 20 osób, a wychodzi 80.

Podczas głównego ataku na Everest wyprowadzonego przez agencje 21 maja działy się dramatyczne rzeczy. Na grani podszczytowej było bardzo wiele osób, zerwał się śnieżny grzyb na jednym ze spiętrzeń drogi, na nim stali dwaj wspinacze, Brytyjczyk i Szerpa, obaj zginęli... Ale wiedząc, ile osób i o której godzinie wyjdzie na drugi atak, mogłem precyzyjnie opóźnić swój, choć ryzykowałem, bo uciekała mi dobra pogoda i na Everest zdążyłem w ostatniej chwili.

Już po zejściu z Lhotse do obozu czwartego dostałem informację, że to ostatnia

eprasa.pl a8fd4bb077

• To Lhotse i jej ściana z widoczną po zbliżeniu drogą podejścia do obozu 4 Lhotse i na Przełęcz Południową. Zdjęcie zrobione z obozu drugiego

FOT. PIOTR KRZYŻOWSKI

szansa na szczyt, bo kolejnego dnia pogoda się załamuje i będzie mocno wiać, więc jeszcze rozmawiając przez radio, drugą ręką zacząłem się pakować. Nie było czasu na dłuższy odpoczynek i regenerację.

Na Everest i Lhotse w jednym ataku, nie schodząc poniżej obozu czwartego i bez wspomagania tlenem z butli, wszedłeś jako jedyny człowiek na świecie.
– Trudno mi oceniać niezwykłość własnego wspinania. Chciałem zrobić to w jak najkrótszym czasie nie z potrzeby szukania rekordu, tylko skrócenia okresu przebywania w strefie śmierci i jej okolicach, w której i tak byłem cztery dni.

Taka akcja górska to kolosalny wydatek energetyczny. Podczas samego wejścia na Everest mój zegarek Garmin policzył mi utratę płynów na poziomie 10 litrów. To pokazuje, jak bardzo organizm tam dostaje w kość. Jednocześnie to spore wyzwanie mentalne, bo musisz się mocno sformatować, aby po takim wysiłku na 8,5-tys. Lhotse ruszyć na najwyższy szczyt świata, który jest prawie dziewięciotysięcznikiem. Raptem 1 tys. m wyżej latają samoloty rejsowe!

Na Evereście w pewnym momencie zostałem sam. Ostatnich schodzących ze szczytu ludzi minąłem nad Balkonem na wysokości około 8,5-8,6 tys. m, co mocno dewastowało psychikę, bo każdy z Szerpów chciał mnie zawrócić. Mówili, że zginę, bo nie mam tlenu, i że jestem szalony. To nie dodaje otuchy. Sam się bałem, jak zareaguje organizm. Mocno kontrolowałem parametry wyświetlane przez garmina. Uznałem, że muszę im zaufać. Na wysokości mózg może mnie okłamywać, ale zegarek nie. W dodatku kilka dni przed atakiem pękł mi ząb, dolna szóstka, ale przerobiłem sobie w głowie ten ból na coś pozytywnego. Uznałem, że będzie mnie stymulować, pomoże nie zasnąć na grani.

Na lekko, ale nielekko

26 kg

• dźwigał – w tym dwa namioty dwuosobowe, cztery kartusze z gazem i jedzenie na 5 dni – podczas samotnego wejścia bez tlenu na Everest Piotr Krzyżowski

4 osoby

• z 425 działających w tym roku na Evereście nie wspomagały się tlenem

10 litrów

• płynów utracił organizm Piotra Krzyżowskiego podczas wejścia na Everest

45 minut

• zajmuje ugotowanie litra wody na 7900 m. n.p.m.

50 tys. dol.

• Średnio tyle bierze agencja za wejście na Everest. Takich klientów ma przeciętnie 420 rocznie

A miałem takie momenty powyżej Wierzchołka Południowego, South Summit, gdzie tego się bałem – podejście, zejście, uskok Hillary'ego, mijasz ciała innych himalaistów... czułem tam duże zmęczenie, walczyłem, aby nie zasnąć. Specjalnie otwierałem usta, aby zimne powietrze pobudziło ból zęba.

Bo wiesz, jesteś tam sam, nie masz partnera, który może zerknąć, jak wyglądasz. Szturchnąć, obudzić czy powiedzieć, abyś się wycofał. Więc sprawdzałem regularnie tętno, poziom natlenienia krwi i czas odpoczynku, podczas którego często się zastanawiałem, czy spałem. Tego się bardzo bałem, żeby nie zasnąć...

Bo mógłbyś się już nie obudzić?
– I umrzeć z wychłodzenia. Masz ochotę odpocząć, ale wiesz, że to może się źle skończyć. Więc skrupulatnie liczysz czas każdego odpoczynku i walczysz, aby nie zamknąć oka nawet na krótką chwilę, bo tak zaczyna się umieranie himalaisty.

Trudno jest „zawrócić do góry" podczas opuszczania strefy śmierci? Adam Bielecki, pierwszy zimowy zdobywca Gaszerbrum i Broad Peaku, opowiadał, że organizm się wtedy buntuje, a nogi są jak z waty... Miałeś kryzys w czwórce?
– Kryzysu fizycznego nie miałem. Cały czas miałem w głowie, że Lhotse to nawet nie połowa wyprawy. Zagrałem va banque – od Lhotse do Everestu, aby nie było opcji, że już zdobyłem najwyższą górę i odpuszczam.

Stosuję metodę autoprojekcji i afirmacji celu. Przed wyprawą oglądam filmy i czytam opisy dotyczące celu i to pozwala mi zwizualizować drogę w trakcie treningów. Wtedy nie myślę o bólu, tylko wyobrażam sobie, że już się wspinam. Można powiedzieć, że na szczycie stałem już kilkanaście razy, zanim w ogóle wyruszyłem w Himalaje. Wizualizuję sobie dobre i złe rzeczy, aby w kryzysowych sytuacjach czy w momencie, gdy trzeba szybko podjąć decyzję, a brak tlenu utrudnia zdroworozsądkowe myślenie, nie zastanawiać się, tylko mieć to już wcześniej przepracowane.

A jak to wyglądało w praktyce?
– Do obozu czwartego pod Everestem dotarłem około godz. 19, nawet nie zdjąłem raków i uprzęży, gdy zacząłem gotować. Tam już nie było czasu na spanie, sam wiesz, ile zajmuje gotowanie na wysokości – 1 l około 45-50 min – topienie śniegu, przygotowywanie wody na atak, do którego wyszedłem po 23, zajęło mi kilka godzin. Wiadomo, trochę poleżałem podczas gotowania, ale to nawet nie była drzemka.

Zanim pojawiłeś się w Himalajach, z Mariuszem Hatalą w stylu alpejskim dokonaliście pierwszego polskiego zimowego wejścia na najdalej wysunięty na północ siedmiotysięcznik Chan Tengri. Pewnie trudno to porównać z ostatnią wyprawą, ale może spróbujesz?
– Otóż to, trudno porównać wejście zimowe z letnim. My byliśmy na Chan Tengri we czterech i wiedzieliśmy, że najbliższy człowiek jest 80 km od nas. To było świetne wejście i wydaje mi się, że wtedy trochę przekroczyliśmy granice bezpieczeństwa. To był punkt zwrotny w mojej działalności wysokogórskiej, bo po tym sukcesie pojawiło się zaproszenie do Kadry Narodowej Polskiego Związku Alpinizmu we wspinaczce wysokogórskiej, dzięki czemu po raz pierwszy w 2019 r. pojechałem w Himalaje. Co ciekawe, również na Lhotse, lecz wyprawa została przerwana z uwagi na niebezpieczny, niestabilny serak na naszej drodze.

Wspinanie na ośmiotysięcznik to jednak trochę inna liga. Mimo że Chan Tengri przez to, że jest daleko na północy oraz że działaliśmy zimą, można przyrównać do niskiego ośmiotysięcznika pod kątem warunków i ilości tlenu, to jednak różnica w wysokości względem Everestu jest mocno odczuwalna. Tak naprawdę Everest jest dla mnie niemal dziewięciotysięcznikiem, bo już niewiele mu brakuje, a powyżej 8,5 tys. każde 50 m to kolosalna różnica dla organizmu.

Zima już cię nie pociąga?
– Wręcz przeciwnie. Zima jest dla mnie bardziej stabilna i mam w zanadrzu trochę zimowych projektów. Wiadomo, jest zimno, bardziej wieje, ale nie ma takich roszad pogodowych, jeśli chodzi o opady i sytuację lawinową.

Trudniejsze jest K2 czy Everest?
– Trudno porównać. Everest nie ma trudności technicznych, natomiast długość podejścia i wysokość robią swoje i nawet łatwy teren może sprawić trudności. Na K2 czułem realne zagrożenie życia, latające kamienie wielkości telewizora, które w każdej chwili mogą cię trafić. Tak jak wspinacza z Kanady, który przeleciał obok mnie, spadając z obozu pierwszego do podnóża góry. Dostał kamieniem podczas sztrabowania się [pakowanie, przygotowywanie się do wyjścia, ubieranie uprzęży i raków].

Dlatego na K2 cały czas musisz być czujny i słuchać, czy coś nie leci. Everest pod tym kątem nie stanowił problemu, ale mentalnie i fizycznie... to ogromna góra i trzeba mieć do niej wielki respekt.

Zadziwiające, że przed tobą na najwyższy szczyt świata bez wspomagania tlenem wszedł tylko jeden Polak. Mało nas Everest interesuje? Komercja nas odstrasza?
– Everest to jest naprawdę piękna góra, która nie zasłużyła na to, aby źle o niej mówić tylko dlatego, że wiele osób chce stanąć na jej wierzchołku. Gdy patrzysz na tę ogromną piramidę z Przełęczy Południowej, to jest jeden z najpiękniejszych widoków!

Wchodziło na nią wielu Polaków, ale przede mną tylko Marcin Miotk zdecydował się na wejście bez wspomagania tlenem. To trudne i niebezpieczne przedsięwzięcie. Nepalczycy mówili mi, że jestem samobójcą, że tak się nie chodzi powyżej 8,5 tys. m. Na Lhotse ewentualnie, ale nie na Everest!

Która z gór była trudniejsza?
– Lhotse jest zdecydowanie trudniejsza technicznie, tam jest wąski i długi kuluar, lecą kamienie, jest także bardziej wymagająca mentalnie, bo idąc kuluarem, ciągle wydaje ci się, że to po lewej to już szczyt, i to trochę dewastuje głowę. Natomiast Everest i jego wysokość budzą ogromny respekt.

Schodząc z Everestu, nabawiłeś się odmrożeń. Czy lepsza aklimatyzacja lub większa liczba ogrzewaczy chemicznych mogłyby temu zapobiec? Czy w ogóle jesteśmy to w stanie przewidzieć?
– Nie. Byłem w strefie śmierci i jej okolicach cztery doby. To nie retoryczna przesada, tam organizm naprawdę powoli umiera, nie regeneruje się. Jesteś cały czas wystawiony na niskie temperatury i działanie wysokości. Nie jesteś w stanie zbyt wiele jeść. Poza tym na Chan Tengri mocno się odmroziliśmy, a to działa tak, że potem organizm jest bardziej podatny na zimno.

Ja zrobiłem naprawdę wzorcową aklimatyzację. W pierwszym wyjściu spałem w obozie trzecim na 7,2 tys. m, w drugim wyjściu na 7,8 tys. i podszedłem wyżej na przełęcz południową na 7950 m, gdzie spędziłem ponad pięć godzin. Chyba nic lepszego zrobić się nie dało. Natomiast nie używam ogrzewaczy do stóp, ani chemicznych, ani elektrycznych grzanych wkładek. Może nie twierdzę, jak Denis Urubko, że to doping, ale staram się działać uczciwie względem własnego ciała. Jeżeli coś nie puszcza, to takie okłamywanie samego siebie nie jest OK.

A jednak internauci skrytykowali to, że wezwałeś helikopter w obozie drugim podczas zejścia z Everestu z powodu odmrożeń.
– Jestem ratownikiem górskim, więc dla mnie zdrowie i życie ludzkie ma najwyższą wartość, moje własne też. Kontynuowanie zejścia, wiedząc, jakie mogą być konsekwencje, byłoby wysoce nieodpowiedzialne. Chorobliwe dążenie do tego, aby zejść, kiedy masz opcje skorzystania z wykupionego ubezpieczenia, to też narażanie innych

eprasa.pl a8fd4bb077

– tych, którzy musieliby po mnie iść. Sam jako ratownik górski tak bym to ocenił, gdybym był w zespole ratunkowym.

Icefall przechodziłem czterokrotnie, nie ma tam dla mnie żadnych trudności technicznych, zejście do obozu to kwestia może czterech godzin. Moje wyzwanie odbyło się kilka tysięcy metrów wyżej i nie mam zamiaru płacić jakimkolwiek koniuszkiem swojego palca za to, aby komuś coś udowodnić. No i przypuszczam, że gdybym jednak zszedł w takim stanie do obozu, to z kolei ktoś by to skrytykował w drugą stronę – że jestem nieodpowiedzialny i narażam siebie i innych.

A właśnie – jak twoje palce?
– Nabawiłem się odmrożeń drugiego stopnia, ale zdaniem lekarzy w dobrym momencie podjąłem decyzję i nie pogorszyłem ich stanu. Byłem w prywatnym szpitalu w Katmandu, gdzie jest świetna opieka i mają w tej kwestii doświadczenie. Nadal nie mam czucia w czterech palcach, które nie wyglądają ładnie, ale na szczęście ten stan nie poszedł dalej. Cały czas chodzę na zabiegi do komory hiperbarycznej, dostaję leki, więc liczę na to, że czucie szybko wróci.

Jak byś umiejscowił swoją działalność górską? Z jednej strony daleko ci do wypraw komercyjnych, z drugiej współczesny himalaizm sportowy spod znaku PHS, czyli techniczna wspinaczka ścianowa, najczęściej na sześciotysięcznikach, to chyba też nie do końca twoja bajka?
– Nie zamykam się na działanie bardziej techniczne w nieco niższych górach, nowe drogi czy dziewicze szczyty, bo to przynosi dużą frajdę. Jednak mam 45 lat, rodzinę i ustabilizowane życie zawodowe, więc nie mogę na trening i wspinanie poświęcić tyle czasu, co młode pokolenie wspinaczy, którzy pojawili się w projekcie PHS już z wysokim poziomem wspinaczkowym, a doświadczenie wysokogórskie powoli zdobywają.

Nie będę się wdawał w dyskusję, co jest sportowym himalaizmem, a co nie. Wspinam się we własnym stylu i tyle. Jeszcze parę lat wstecz działalność w wysokich górach bez tlenu była uznawana za sportową, obecnie zaczyna się mówić, że nie, bo wchodzi się po drogach normalnych. Nie mi to oceniać, ja stoję z boku i działam w górach po swojemu.

Mam sporo projektów i zimowych, i na niższych szczytach, jednak głównym problemem jest znalezienie na to czasu. Pracuję na etacie, jak większość z nas. Nie jestem zawodowym himalaistą, który może na wspinanie przeznaczyć cały czas.

Jak odniesiesz się do popularnej internetowej opinii, że dziś aby wejść na ośmiotysięcznik, wystarczy mieć pieniądze?
– To też nie jest takie jednoznaczne. Oczywiście pieniądze pomagają, ale nikt cię na szczyt nie wniesie. Jednak gdy patrzę na tych ludzi w obozie, jak czasem ociężale i niezgrabnie się poruszają, a potem wchodzą na szczyt, to chyba ten dodatkowy tlen zmienia kolosalnie dużo.

Widuję ludzi, którzy nie potrafią założyć samodzielnie raków. Jeśli możesz zatrudnić dwóch-trzech Szerpów, którzy cię wpinają w liny poręczowe i dźwigają tlen – bo są sytuacje, że klient korzysta z tlenu na długim wężu, a butla jest w plecaku Szerpy! – to faktycznie pieniądze dużo zmieniają.

Jednak uważam, że to niesprawiedliwe, wrzucać wszystkich do jednego worka, bo czasami wspinają się z użyciem tlenu naprawdę mocni zawodnicy, którzy bardzo dobrze przygotowali się do wyprawy. W tym roku na Evereście była mocna polska ekipa, począwszy od niekojarzącego się z górami wysokimi Kuby Pateckiego, który wykonał ogromną pracę, aby wejść na szczyt i pokazał swój czelendż w obszernym i bardzo ciekawym materiale na YouToubie, po Karola Adamskiego, Agę Maszewską, Szymona Jaskułę i Szymona Waligórę.

Lecz spotykam też w górach ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z himalaizmem.

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Tak naprawdę Everest jest niemal dziewięciotysięcznikiem, bo już niewiele mu brakuje, a powyżej 8500 każde 50 metrów to jest kolosalna różnica dla organizmu

Nazywać ich himalaistami to nadużycie. Bo później mówi się w mediach, że komuś „himalaiści nie pomogli na K2". Przypuszczam, że prawdziwych himalaistów tam było niewielu. To ludzie, którzy bez swoich Szerpów by w tych górach zginęli.

Niemniej brak empatii w górach i pozostawianie ludzi bez pomocy jest nie do zaakceptowania, a spotkałem się z tym dopiero co. Macedoński wspinacz Zdravko Dejanović miał problemy tuż nad obozem nr 3. Ludzie idąc do c4, po porostu go mijali. Dopiero gdy ja i jeszcze jeden wspinacz zaczęliśmy mu pomagać, ruszyli Szerpowie z c3.

Czy w związku z masowością turystyki wysokogórskiej będzie coraz więcej wypadków? Zwłaszcza że agencje wręcz wypychają ludzi na górę.
– Już zdarzają się takie przypadki jak w tym roku, gdy klient agencji nie umiał się przepiąć na poręczówce, obsunął się, uderzył w Szerpę, któremu wypadła butla z tlenem i trafiła w kogoś niżej, łamiąc mu rękę. Dlatego staram się omijać tłumy.

Ale wypadków będzie więcej również dlatego, że wśród Szerpów zachodzi zmiana pokoleniowa. Ci młodzi najczęściej pochodzą z dużych miast, gdzie się urodzili, bo status majątkowy ich rodziców dzięki boomowi na himalajskie wyprawy się podniósł, więc przenieśli się z górskich wiosek niżej. Przez to nie mają już tej wrodzonej zdolności do szybkiej aklimatyzacji. Widziałem Szerpów idących na tlenie, którzy dostali choroby wysokogórskiej i musieli zostać ewakuowani.

Dobrze wyszkolonych Szerpów jest niewielu, a zapotrzebowanie jest duże. Na samym Evereście ponad 400 klientów rocznie, każdy musi mieć Szerpę, czasem dwóch, więc bierze się ludzi młodych, często bez dużego doświadczenia. Patrzyłem z trwogą, jak klienci zawierzają w to, że mają Szerpę, który wszystko wie i wszystko umie. Niestety, często nie.

Również to, o czym powiedziałeś – wypychanie klientów do góry na siłę – mnie przeraża. Agencja ma daną liczbę namiotów w każdym obozie i aby to się spinało, musi systematycznie dokonywać rotacji, wypychając ludzi często w złych warunkach pogodowych. Co – o ile nie skończy się tragedią – niektórych pozbawia szans na szczyt, o którym marzyli.

Podobno zaskoczył cię widok bazy pod Everestem i tamtejszych luksusów. Czułeś się tam jak outsider?
– Niektóre agencje oferują podstawowy serwis, ale są i takie, które mają zamiast zwykłych namiotów ogromne kopuły z drewnianymi meblami, łóżkiem z podgrzewanym kocem i dywanem. Są bariści serwujący kawę z profesjonalnych ekspresów ciśnieniowych, jest piekarnia. Za pieniądze można tam mieć niemal wszystko, tylko czy to ma jakikolwiek sens? W góry jadę po przygodę, a nie po luksusy. Mnie by się nie chciało z tego namiotu wyjść, gdybym miał świadomość, co mnie czeka wyżej.

To jest cena postępu technologicznego i oczekiwań ludzi, bo skoro jest popyt, to jest i podaż. Agencje ścigają się, aby zwerbować tego typu klientów, i dochodzi do absurdalnych pomysłów. Mnie kiedyś wysłano ofertę za 400 tys. dolarów, z dostępem do karty win i whisky, co dwa dni można było latać do Katmandu, dawali ci czterech Szerpów i nielimitowany dostęp do tlenu.

Problem śmieci pozostawianych w najwyższych górach faktycznie jest tak poważny, jak się mówi?
– Rzeczywiście śmieci jest bardzo dużo, a wprowadzane regulacje nie są respektowane. Media i komentatorzy ekscytują się zwłaszcza odchodami i w tym roku miały się pojawić na nie worki, ale ten problem chyba jest najmniej istotny. Najgorsze są śmieci plastikowe i pozostawione namioty.

Ale obwinianie samych wspinaczy komercyjnych za to, że śmiecą, to pójście na skróty. Agencje zarabiają kolosalne pieniądze i to one powinny dbać o to, jaki pejzaż zostawiają po sobie; zresztą w każde pozwolenie jest wliczona opłata za zniesienie śmieci – czyli nie robią tego, za co mają zapłacone! Śmieci w najlepszym razie są palone, często wrzucane do szczelin w lodowcu, w najgorszym razie po prostu pozostawione gdzie bądź. Na K2 rozbijaliśmy się na bardzo grubej warstwie starych namiotów! W głowie się nie mieści, mnie by nie było stać, aby tak porzucać sprzęt wart 1 tys. dol. za sztukę.

Niemniej klienci też mogliby zrobić więcej. Nieraz mówiłem ludziom, aby wymusili na Szerpie zniesienie śmieci, bo on sam z siebie tego nie weźmie. No i czy samemu klientowi korona spadnie z głowy, jeśli zabierze coś ze sobą na dół? Jak się coś wniosło do góry, to i zabranie tego w dół nie powinno stanowić problemu. OK, jeszcze rozumiem, że klient z tych, których trzeba wyciągać na szczyt, nie zdoła znieść namiotu czy butli po tlenie. Ale puste opakowanie po jedzeniu nie powinno stanowić problemu.

Władze Nepalu zamierzają coś zrobić?
– Rząd powinien wymusić na agencjach realne sprzątanie, a nie tylko zapewnienia. Zarobki agencji łatwo policzyć: 420 klientów razy średnio 50 tys. dolarów. Taki sezon pod Everestem idzie w miliony. Posprzątanie po klientach to nie są koszty, które mogłyby je zrujnować.

To samo tyczy się chyba pozostawionych na górze ciał? Pomijam już wymiar ludzki, metafizyczny.
– To wielki problem. Tylko w tym sezonie przybyło kilka nowych ciał w miejscach, gdzie regularnie przechodzą wspinacze. Rok był mocno śnieżny, więc trauma mniejsza, ale gdy jest suchy i śnieg schodzi, odsłania się ich bardzo dużo. Jest taka grafika z zaznaczonymi ciałami na Evereście i to przerażające, ile tam leży osób. Wiadomo, zniesienie ich z takiej wysokości to kolosalny wyczyn i potencjalne ryzyko dla znoszących, ale po każdym sezonie agencje powinny je opuszczać do szczelin. Przynajmniej rząd Nepalu podejmuje kroki, aby w każdym sezonie znieść chociaż kilka ciał.

No i w tym roku zapadło pierwsze orzeczenie nepalskiego sądu nakazujące wprowadzenie limitu pozwoleń wydawanych na Everest. Aktywista zaskarżył rząd, podnosząc, że współczesny himalaizm zabija przyrodę i spuściznę jego kraju. Władze po raz pierwszy przegrały przed własnym sądem.

Jakieś granice należy postawić, bo zabija się piękno gór. Niewykluczone, że w końcu ludzie po prostu przestaną tam jeździć, bo nie będzie po co, przyroda zostanie do tego stopnia zniszczona – ale strat już się nie odwróci. Ale skala tej turystyki jest taka, że może problem sam się nieco zredukuje, bo niedługo wejście na Everest w tlenie będzie passé i takie zdjęcie na biurku już na nikim nie zrobi wrażenia.

A co sądzisz o modnych ostatnio wielkich komercyjnych projektach bicia rekordów czasowych z butlą tlenową i ogromnym teamem Szerpów? W tę stronę będzie szedł nowoczesny himalaizm?
– Nie dostrzegam w tym wartości. Nagrodę za ten wyczyn powinna dostać agencja – za genialną logistykę. Jak powiedziałem, trzeba odróżnić himalaistów od turystów wysokogórskich. Oczywiście ci drudzy także wkładają w akcję wielki wysiłek i ogrom czasu, ale gdy nawet się nie spotykasz z ludźmi na trekkingu, tylko latasz od base campu do base campu helikopterem i wchodzisz na szczyt obstawiony ekipą Szerpów, to bardziej wyczyn logistyczny agencji niż twój.

Dla mnie to nie ma sensu, bo wartością jest nie tylko osiągnięcie szczytu, ale cały proces docierania tam i napotkani po drodze ludzie. To, co dostrzegasz dookoła, i to, jak cię te góry zmieniają. Nie tylko duchowo, choćby przez to, że łapiesz proporcje – w Pakistanie, w Nepalu jest tak ogromna bieda, że po powrocie do domu doceniasz bieżącą wodę w kranie, nawet jeśli to nie jest kran z najnowszej kolekcji armatury. Z helikoptera tego nie dostrzeżesz...

Chyba to trochę niesprawiedliwe, że media tzw. głównego nurtu i te plotkarskie nie widzą różnicy między biciem rekordów szybkości z ogromnym wsparciem a wspinaniem samodzielnym bez tlenu.
– Oraz utrudniające życie „czystym" himalaistom, bo później idziesz do firmy czy instytucji rozmawiać o wsparciu wyprawy, a tam pytają: no dobra, ile pan będzie zdobywał tych ośmiotysięczników, pięć, sześć? Przez takie właśnie rekordy deprecjonuje się prawdziwy himalaizm.

Natomiast nie oceniam negatywnie kogoś, kto się wspomaga tlenem. Niech każdy realizuje się po swojemu. Radość człowieka na szczycie – z butlą tlenową czy bez – jest taka sama.

Czy coraz większa komercjalizacja gór najwyższych nie odziera ich z tajemnicy? A nawet przyjmując, że „intymna relacja z górą", o której opowiadają wspinacze, to pretensjonalna autopromocja, a co z górską przygodą? Już po niej?
– Ja byłem w gnieździe górskiego komercjalizmu, a i tak w ścianie czułem ogromną samotność. W obozie czwartym byłem sam, bo wszyscy się wycofali przez pogodę, w trzecim zresztą też.

Doświadczanie góry zależy tylko od ciebie. To nie jest tak, że ktoś ci to popsuje. Staram się obserwować przyrodę, wyciągać z niej wnioski. Lubię zastygnąć przed namiotem i patrzeć na świat. Potrafiłem się idealnie wyłączyć mimo tłumów niżej. Szedłem z boku, robiłem swoje i bardzo dobrze to wspominam. Obie góry są przepiękne, widok Makalu z Lhotse robi wrażenie i żad-

eprasa.pl a8fd4bb077

ne tłumy ci tego nie popsują. Te obrazy pozostaną w tobie do końca życia.

Czy tak by było, gdybyś stał w tłumie ze swoim Szerpą?
– Wtedy jesteś uzależniony od czyichś decyzji i zaczynasz działać bezkrytycznie. To zatracenie własnej wolności, a ja nie jadę w góry po to, aby ktoś mi mówił, co mam robić. Ja chcę czuć się tam wolny.

Co dalej? Zamierzasz uzbierać wszystkich 14 ośmiotysięcznych szczytów?
– Do tej pory nie myślałem o tym w tych kategoriach. Koronę Karakorum już mam, i połowę wszystkich ośmiotysięczników, bo byłem na siedmiu, więc zacząłem patrzeć trochę inaczej. Moja pasja jest bardzo kosztowna, ale gdybym znalazł partnera, który wspomógłby mnie finansowo, to czemu nie? Wspaniale byłoby być pierwszym Polakiem, który samotnie zdobędzie Koronę Himalajów i Karakorum bez użycia tlenu z butli, w prawdziwie czystym stylu.

Jednak nie zamierzam gonić za tym celem na siłę. Na pewno nie chcę się skupiać tylko i wyłącznie na ośmiotysięcznikach. Lubię być po prostu w górach, podobają mi się Himalaje i lubię życie obozowe. Chcę co roku uczestniczyć w jakiejś wyprawie, ale to nie muszą być góry najwyższe.

Jeśli nie ośmiotysięczniki, to co?
– Jest dużo fajnych siedmiotysięczników, niektóre nadal niezdobyte, są nowe warianty i trudne trawersy. Jest kupa fajnych rzeczy w Ameryce Południowej. Mam tam wielu przyjaciół, więc może w końcu się wybiorę. Gór jest po kokardki, głównym hamulcem jest brak czasu. Gdybym nie musiał pracować, to pewnie non stop siedziałbym w górach.

I tego ci życzę!
– Oby to nie wiązało się z tym, że mnie prezes mojego sądu wywali z roboty! (śmiech).

• Nirmal „Nirs" Purja – pierwszy zimowy zdobywca K2 – realizuje Project Possible 14/7 zakładający zdobycie wszystkich 14 ośmiotysięczników w siedem miesięcy. Również wszedł w jeden dzień na Lhotse i Everest, ale ze wsparciem dużego zespołu posiłkującego się tlenem, co według wielu komentatorów ma niewiele wspólnego z najwyżej cenionym stylem alpejskim.

Piotr Krzyżowski

• ur. w 1979 r., himalaista, ratownik GOPR, prawnik. Umiejętności wspinaczkowe rozwijał w Tatrach, Alpach, Kaukazie, Pamirze i Tienszanie. Zimą 2019 r. z Mariuszem Hatalą jako pierwsi Polacy stanęli zimą na szczycie Chan Tengri (7010 m n.p.m.), najwyższym szczycie Kazachstanu i drugim w Tienszanie. Za to osiągnięcie otrzymali Nagrodę Taternika im. Jerzego Kukuczki, a za wejście na Broad Peak i K2 w odstępie dziewięciu dni otrzymali wyróżnienie od kapituły prestiżowej nagrody Kolosy. Ma na koncie siedem ośmiotysięczników (Gasherbrum II, Broad Peak, K2, Nanga Parbat, Gasherbrum I, Lhotse i Mt. Everest). Jest zdobywcą Korony Karakorum. Wszystkie ośmiotysięczniki zdobył bez wspomagania tlenem z butli i bez wsparcia Szerpów.

Bartosz Wrześniewski

• alpinista, fotograf (FB: Bartosz Wrześniewski fotografia), dziennikarz, stały współpracownik magazynu „Góry" – najważniejszego polskiego czasopisma wspinaczkowego – i kwartalnika Tatrzańskiego Parku Narodowego „Tatry". Autor fanpage'u FB „Kaukaz w stronę wolności" i czekającej na wydawcę książki o tym tytule. Zdobył solo bez zabezpieczenia m.in. Tetnuldi na Kaukazie i Matterhorn.

Zdjęcie

Zarówno Yusuf Dikeç, jak i Kim Ye-ji stali się bohaterami memów na całym świecie. Nieco innych memów

Michał Rusinek

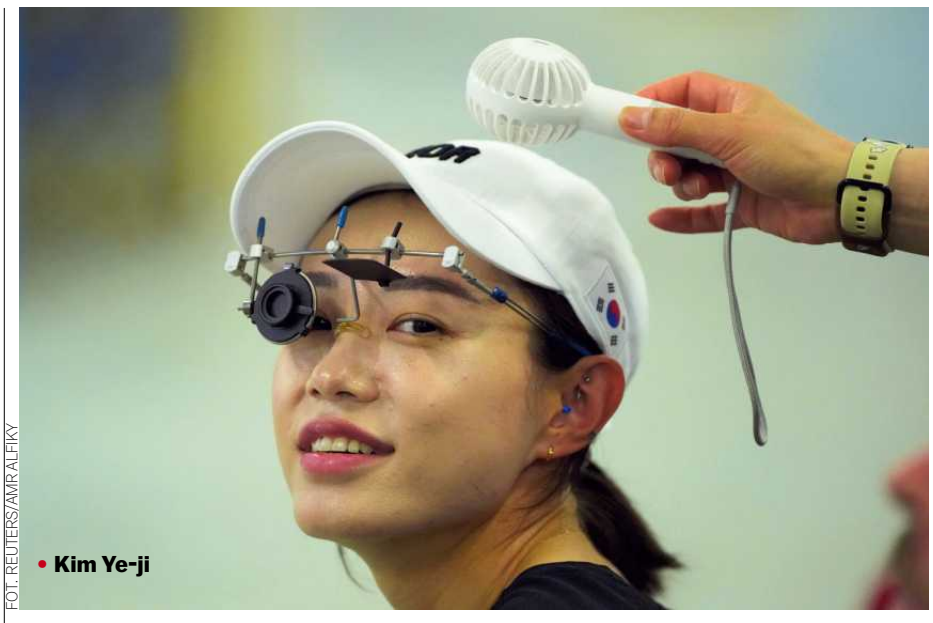

FOT. REUTERS/AMR ALFIKY

• Kim Ye-ji

30 lipca reprezentant Turcji w strzelectwie Yusuf Dikeç zdobył srebrny medal na igrzyskach w Paryżu. Nic w tym sensacyjnego: igrzyska polegają na tym, że reprezentanci różnych krajów walczą o medale w różnych kategoriach. Yusufowi Dikeçowi udało jednak zdobyć o wiele więcej: został bohaterem internetu. A ściślej: zostało nim jego zdjęcie. Warto się przyjrzeć mechanizmom tego osiągnięcia.

Na rzeczonym zdjęciu widzimy siwiejącego 50-latka w okularach. Lewą rękę ma w kieszeni. W prawej trzyma pistolet. Nic szczególnego poza tym, że możemy uznać jego pozę za nieco nonszalancką, a przez to nieolimpijską. Dikeç odróżnia się od innych zawodników, więc zwraca na siebie uwagę – paradoksalnie: swoją zwyczajnością. Nie pasuje do naszych wyobrażeń o współczesnym sportowcu, wydaje się człowiekiem z innego porządku: nie półherosem, ale kimś w rodzaju naszego sąsiada (podobno zaraz po oddaniu strzałów zapytał, gdzie może zapalić). Co więcej, im dłużej przyglądamy się jego fotografii, tym bardziej przestaje ona być fotografią prasową, a staje się fotografią artystyczną, dzięki czemu dostajemy niejako przyzwolenie, by nie była ona wyłącznie nośnikiem informacji (jak wygląda człowiek, który zdobył srebrny medal), ale by stała się obiektem interpretacji.

•

Pierwszym interpretacyjnym gestem komentatorów było wpisanie wizerunku Dikeça w figurę antytezy, to znaczy pokazanie go w parze ze zdjęciem jakiegoś innego zawodnika: stojącego w nienaturalnej, a więc profesjonalnej pozie, w specjalnym stroju, okularach zasłaniających jedno oko i ograniczających pole widzenia. Szczególnie kontrastowe wydaje się zdjęcie Kim Ye-ji, koreańskiej zawodniczki o cyberpunkowej aparycji, która także została bohaterką memów, ale nieco innych. Mamy więc binarną opozycję, kontrast, który wyostrza widzenie i powoduje, że dwa zestawione ze sobą zdjęcia stają się argumentem. Zdawał sobie z tego sprawę Arystoteles, pisząc, że antyteza bardzo ułatwia zrozumienie myśli, gdyż „sprawia wrażenie logicznej argumentacji (sylogizmu): sylogizm obalający polega bowiem na zestawieniu przeciwieństw".

Jeśli to argument, to trzeba jeszcze ustalić, w jakiej sprawie. Poetyka memów pozwala nam tę sprawę uściślić, a zarazem doprecyzować, co „znaczy" zdjęcie Dikeça, czyli nadać mu jakąś interpretację. Umieszczone obok siebie zdjęcia azjatyckiego zawodnika czy zawodniczki w bardzo specjalistycznym stroju i z bardzo specjalistycznym sprzętem oraz zdjęcia Dikeça podpisywane były na memach odpowiednio jako: „pokolenie Z" oraz „pokolenie X" (zresztą zgodnie z wiekiem sportowców) lub jako: „zdanie Faulknera" oraz „zdanie Hemingwaya" (coś dla miłośników literatury amerykańskiej) albo: „Współcześni filozofowie mający zakumulowaną tysiącletnią wiedzę filozoficzną i naukową" oraz „Arystoteles" (nomen omen), albo też: „Ja" (tu dodatkowo zdjęcie najnowocześniejszego komputera gamingowego) oraz „Randomowy Rosjanin" (tu zdjęcie starego, mocno zużytego peceta). Niewykluczone zresztą, że to mem rosyjski. Na forum internetowym poświęconym fotografii także wykorzystano tę antytezę z podpisem: „Nie potrzebujesz najlepszego aparatu ani najnowocześniejszej technologii, by być wspaniałym fotografem". To interpretacja pocieszająca.

•

Zdjęcie Yusufa Dikeça stało się także viralem w Japonii, zwłaszcza wśród miłośników gier komputerowych. Na zasadzie alegorezy – kolejnej strategii interpretacyjnej – nazywają go oni „Mu kakin", a więc widzą w nim alegorię „free usera": gracza, który w grach typu freemium nie dokupuje dostępu do zaawansowanych funkcji, ale i tak wygrywa – nie dając się skusić mechanizmowi służącemu do wyciągania pieniędzy od użytkowników. Japończycy wymyślili także hashtag „Toruko ojisan", czyli #wujek z Turcji. Zapewne tak dobrotliwie, bo szybko się okazało, że Dikeç lubi koty, jak każdy japoński wujek. Na jednym z memów znajdują się dwa zdjęcia Dikeça – z pistoletem i z kotem – podpisane: „Dwie natury człowieka". Pojawiła się ponoć plotka, że Dikeç jest płatnym zabójcą. Jeden z komentatorów zdementował ją, pisząc, że jest on „prawdziwym dżentelmenem i miłośnikiem kotów". Prawdziwi dżentelmeni i miłośnicy kotów nie mogą być przecież płatnymi zabójcami. Nie chcę sugerować, że Dikeç mógłby wykonywać mokrą robotę na zlecenie, ale mgliście pamiętam kilka filmów, w których właśnie dżentelmeni kociarze okazywali się czarnymi charakterami.

Interpretacja polega też na znajdowaniu odniesień do innych tekstów kultury, np. właśnie filmów. Komentatorzy dostrzegli w Dikeçu nowego Johna Wicka (który mścił się za śmierć swojego szczeniaka), sugerując, że jeśli coś się stanie jego kotu, to nakręcą o tym cztery filmy (jak o Wicku). Za pomocą sztucznej inteligencji przerobiono scenę z filmu „Matrix": Neo (z twarzą Dikeça) walczy w niej z grupą agentów Smithów (o twarzach innych zawodników w nowoczesnych okularach). Dikeça wklejono do fotosów z filmu „Terminator 2" (scena na motocyklu) oraz na plakat reklamujący grę „Hitman" oraz „Red Dead Redemption". Pojawił się też w formie mangi, a także europejskiego komiksu: siedzi przy barze, ubrany jak na igrzyskach, czyli zwyczajnie. Podchodzi do niego człowiek w garniturze i ciemnych okularach i mówi: „Mamy dla ciebie ostatnie zlecenie". „Jestem na emeryturze" – odpowiada Dikeç. „Musisz to zrobić. Dla ojczyzny" – mówi agent. Kiedy Dikeç wzdycha i się godzi, agent dodaje: „I pamiętaj: nie rzucaj się w oczy". Ostatni obrazek przedstawia zawodnika strzelającego na igrzyskach w nonszalanckiej pozie.

•

Yusuf Dikeç nie tylko reprezentował swój kraj, ale też – zapewne nieświadomie – stał się ulubionym zawodnikiem naszych prawicowych komentatorów. „Na tej przedurnej olimpiadzie, która zaczęła się, jak się zaczęła, a później to nawet mężczyźni biją na niej kobiety, fantastyczną przeciwwagą jest turecki sportowiec" – pisał jeden z nich na platformie X. Inni z aprobatą cytowali słowa samego zawodnika, który w wywiadzie powiedział, że „świat opiera się na modlitwie" – zwykle nie dodając już, że jest on muzułmaninem.

Wszystko to mało. Potrzebujemy jeszcze narracji spójnych z jego wizerunkiem, niekoniecznie prawdziwych. Kiedyś nazywały się one legendami, teraz to hoaxy. Krąży więc po internecie na zasadzie tzw. pasty opowieść, że Dikeç – były wojskowy, obecnie mechanik samochodowy w Stambule – ma za sobą burzliwy rozwód. Walczy z byłą żoną o opiekę nad dziećmi („Nie sądziłem, że tu dziś będę – miał powiedzieć w wywiadzie po zdobyciu srebrnego medalu. – Liczyłem, że spędzę ten weekend z dziećmi"). Stojąc na podium, rzekomo zwrócił się do byłej żony: „Sharon, jeśli to oglądasz, to oddaj mi psa!". Mamy więc bohatera – i w ogóle wyobrażenie o męskości – nie tylko prawicy, ale także poniekąd dziadersów: „zwykłego" faceta (na tle „dziwadeł"), ofiarę złej żony, która zabrała mu nawet psa. Nie mogła zabrać kota, bo ma z nim zdjęcia. A zresztą: kot, pies, co za różnica? Miał racje Nietzsche: nie ma faktów, są tylko interpretacje. Które muszą pasować do obrazka zwycięzcy.

Ale czy zwycięzcy? W pewnym sensie tak. Nikt przecież nie pamięta, kto zdobył złoty medal w mikście w strzelaniu z pistoletu pneumatycznego na 10 m; ba, mało kto zwrócił uwagę, że Dikeç występował w parze z młodszą kobietą strzelającą w podobnej pozie. „Wyobraźcie sobie – pisał jeden z komentatorów – że zdobywacie złoty medal na igrzyskach, a cała sława spływa na faceta, który zdobył srebrny". Owszem, na Yusufa Dikeça spłynęła sława i stał się on bohaterem wyobraźni pewnego typu ludzi i pewnego pokolenia.

•

Wróćmy na koniec do antytezy, która – jak wiadomo – jest figurą wywrotną. Chęć pokazania bohatera w opozycji do kogoś, kto jest jego przeciwieństwem, może spowodować, że właśnie to przeciwieństwo zostanie bohaterem. Albo bohaterką. Wydaje mi się, że dla młodych ludzi to nie „wujek z Turcji", ale Kim Ye-ji jest i będzie postacią o wiele bardziej ikoniczną. Także dla tych igrzysk. ●

eprasa.pl a8fd4bb077

ALE HISTORIA

SPEŁNIONE MARZENIE *Zdenka Koubka*

W grudniu 1935 roku słynna biegaczka Zdena Koubková oświadczyła, że żyje teraz jako mężczyzna.

Wojciech Szot

W październiku 2001 roku młoda indyjska biegaczka Pratima Gaonkar rzuciła się do studni, po tym, jak ujawniono, że podczas zawodów nie przeszła testu weryfikacji płci. Właśnie wróciła z lekkoatletycznych mistrzostw Azji juniorów ze srebrnym medalem w sztafecie. Biła rekordy i wróżono jej karierę. Jednak pochodziła z niewielkiej wsi w indyjskim stanie Goa, a w przywiązanej do tradycji społeczności nigdy nie zaakceptowano by, że jest osobą interpłciową.

Nawet po śmierci nie miała prawa do godności. Zdjęcia jej ciała, ze wszystkimi szczegółami, policja pokazała podczas konferencji prasowej.

Testy weryfikacji płci zaczęto wprowadzać w lekkiej atletyce w latach 50. XX wieku w efekcie skandali z lat 30. I pewnego artykułu z polskiej gazety z 1936 roku.

W PRASKIM HOTELU

Praga, czerwiec 1933 roku. Stanisława Walasiewicz leży na podłodze praskiego apartamentu. Czeka na wyjątkowego gościa.

Jest gwiazdą światowego formatu. Mieszka w Cleveland, ale gdy trzeba reprezentować Polskę, przylatuje do Europy. Kiedy rok wcześniej na igrzyskach olimpijskich w Los Angeles zdobyła złoto na w biegu na 100 m, stała się idolką tysięcy młodych sportowców i sportowczyń. W Polsce fetowano jej sukces – w końcu to drugi złoty medal dla Polki w historii igrzysk. Gdyby amerykański urząd nie ociągał się z przyznaniem jej obywatelstwa, z jej medalu cieszyliby się Amerykanie. Bo Stanisława częściej pisze o sobie Stella.

Teraz Stella Walsh leży na podłodze. I czeka.

Hotelowym korytarzem idzie Zdena Koubková, która o takiej sławie może tylko pomarzyć. Marzy również o tym, by podpisywać się jako Zdeněk. Póki co rywalki oglądają plecy Zdeny, która reprezentuje klub sportowy VS Praga i jest faworytką nadchodzących mistrzostw Czech w lekkoatletyce.

W tym artykule spełnię jedno z jej marzeń – będzie Zdenkiem, nawet zanim zmieni dowód.

Zacznijmy więc jeszcze raz.

Hotelowym korytarzem idzie Zdeněk Koubek. Niepewnie wchodzi do pokoju legendy biegów. Walsh uśmiecha się i zaprasza na otomanę. Plotkują o przeciwniczkach. Wychodząc, Koubek dostrzega nad ustami Stelli drobne włoski. Instynktownie dotyka swojej twarzy, którą przed spotkaniem dokładnie ogolił. Po latach będzie wspominał ten moment jak olśnienie. Zdeněk Koubek odkrył, że najsłynniejsza biegaczka świata też musi się golić.

Za rok, 14 czerwca, Zdeněk ustanowi swój pierwszy rekord świata na 800 m. W biegu kobiet.

NA STADIONIE W BERLINIE

Rok 1914, stadion w Berlinie, drugi dzień zawodów przedolimpijskich. Obiekt otwarty przed trzema laty zachwyca sportowców i turystów. Jest symbolem niemieckiej siły. Działacz sportowy Carl Diem wspominał, że życie na nim toczyło się od rana do nocy.

Tego dnia umiejętności prezentowali tam strzelcy. Gdy o 11.30 przygotowywali się do ostatnich strzałów, zamilkła muzyka. Flagę Cesarstwa Niemieckiego opuszczono do połowy masztu. Przekazywano sobie smutną nowinę: serbski nacjonalista zamordował arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, następcę tronu Austro-Węgier, sojusznika Niemiec.

Wybucha wojna. Igrzyska olimpijskie, które za dwa lata miały rozpocząć się na berlińskim stadionie, trzeba odwołać. Diem – sekretarz generalny komitetu organizacyjnego – wstąpi do niemieckiej armii.

BARYTON NIE PRZEJDZIE

Zdeněk Koubek miał sześć miesięcy, gdy wojna rozdzieliła jego rodzinę. Ojciec poszedł do armii austro-węgierskiej, matka z szóstką dzieci zamieszkała na przedmieściach Brna. Głodowali. Zdeněk dopiero za cztery lata pierwszy raz zje kiełbasę.

Ale gdy odkrywał jej smak, nie było już imperium habsburskiego, a brytyjskie, amerykańskie i francuskie armie nadzorowały tworzenie nowego państwa – Czechosłowacji. Odtąd wszystko miało być czeskie: flaga, język i mitologia. Czesi usuwali niemieckie pomniki, a w Brnie walczyła lingwistyczna partyzantka – zamazywanoniemieckie napisy, a w nocy Niemcy usuwali nowe nazwy. Wygrali Czesi. Przynajmniej w Brnie.

Zdeněk nienawidził niebieskiej kokardki, którą matka wpinała mu we włosy. Uważał, że wygląda

• **Zdena Koubková startuje w zawodach lekkoatletycznych w 1936 roku**
FOT. ALAMY STOCK PHOTO

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

jak „tresowany pudel". Zresztą tak wołali na niego w szkole – „pudel". W akcie małej rebelii podkradał braciom spodnie. Dopóki kokardka i kucyk były na swoim miejscu, rodzice nie protestowali.

Ale im robił się starszy, tym więcej trudności sprawiały mu kobiece rytuały. W liceum uczył się szydełkowania. Nienawidził tego. Dobrze wspominał chór – sopran Zdenka doceniano. Jednak, gdy miał 15 lat, jego głos się zmienił. Został jedynym barytonem w dziewczęcym chórze. Ostatecznie go z niego wyrzucono, bo „nie miał słuchu do muzyki".

Prawdziwym powodem było jednak to, że w żeńskich chórach nie ma barytonów.

NIEUSTĘPLIWA WALKA ALICE MILLIAT

Podczas wojny kobiety zajęły miejsce mężczyzn w fabrykach, urzędach i sklepach. A także na stadionach.

– Wojna katapultowała sport kobiecy do mainstreamu – pisze Michael Waters w książce „The Other Olympians. Fascism, Queerness, and the Making of Modern Sports". Najwięcej zasług na tym polu miała Francuzka Alice Milliat, miłośniczka wioślarstwa i futbolu, która walczyła o sportowy rozwój kobiet. Utworzyła Federację Francuskich Kobiecych Klubów Sportowych, rekrutowała kobiety na sędzie i trenerki, namawiała dziewczęta do uprawiania sportu.

Milliat wiedziała, że poparcie społeczeństwa dla sportu kobiet w dużej mierze zależy od ich wyglądu. Gdy przeciwnicy głosili, że sport jest „niekobiecy", Milliat pokazywała zawodniczki, które miały dzieci, i mówiła: „Zawsze byłyśmy kobietami i nimi pozostaniemy". Przeciwników to nie uspokajało, ale wciąż przybywało kobiet uprawiających sport.

Po I wojnie światowej Milliat postanowiła walczyć o sport kobiet w innych krajach. Napisała do barona Pierre'a de Coubertina, twórcy nowożytnego ruchu olimpijskiego, znanego z konserwatywnych poglądów. Nie tylko on nie widział miejsca dla kobiet w sporcie. Dość wspomnieć, że pierwszą członkinią władz Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, została meksykańska lekkoatletka Enriqueta Basilio w… 1981 roku.

De Coubertin nie odpowiedział na list Milliat, ale ona się nie poddawała. Postanowiła zorganizować własne igrzyska.

Pierwsze Światowe Igrzyska Kobiet w Paryżu w 1922 roku zgromadziły 77 lekkoatletek z Czechosłowacji, Anglii, Szwajcarii, Stanów Zjednoczonych i Francji. Na stadion przyszło 20 tysięcy osób, o zawodach pozytywnie pisała światowa prasa.

Do założonej przez Milliat organizacji, Fédération Sportive Féminine Internationale, zaczęły dołączać kolejne kraje. Ale popularność jej inicjatywy zagroziła innej organizacji – powstałemu w 1912 roku w Sztokholmie Międzynarodowemu Stowarzyszeniu Federacji Lekkoatletycznych – IAAF (dziś World Athletics, ale pozostaniemy przy historycznej nazwie). Jej przewodniczący Sigfrid Edströmbył człowiekiem świetnie zorganizowanym, znanym z tego, że nie cierpiał chaosu, ale też konkurencji. Edström i IAAF postanowili „uregulować" kwestie związane z „królową sportu". Szwed całe lata namawiał Milliat do połączenia jej organizacji z IAAF. Dopiął swego dopiero w latach 30.

To ważne, bo odtąd o sporcie kobiet decydowali już sami mężczyźni.

ZDENĚK ODKRYWA SPORT

Zdeněk nie lubił sportu, jednak wiosną 1927 roku koleżanka namówiła go, żeby poszedł na brneński stadion. Obserwował tam biegaczy i coś w nim się poruszyło. Zaczął fascynować się lekkoatletyką, czytał książki, a z gazet wycinał zdjęcia gwiazd: norweskiego tyczkarza Charlesa Hoffa i japońskiej biegaczki Hitomi Kinue.

Pracował w pasmanterii. Czekając na klientki, wyobrażał sobie, że jest jak Hitomi – bije rekordy i oklaskują go tysiące widzów. Na własną rękę, „po godzinach", zaczął trenować – biegał i skakał wzwyż. Wkrótce dołączył do grupy biegaczek amatorek, a że się wyróżniał, został zawodnikiem VS Brno.

Jego popularność sięgnęła zenitu, gdy stawił czoła niepokonanej od dawna Karli Sychrovej. Wręcz ją upokorzył. Po biegu w szatni wściekła Sychrova krzyczała: „Co za żmija! Wygląda jak rozczochrany, piegowaty chłopak z amerykańskiego filmu".

Już wtedy zaczęto szeptać, że coś ze Zdenkiem nie tak. W pracy często zwracano się do niego per „pan". On sam oskarżeń o męskość nie traktował jak oszczerstw. W rzeczywistości coraz bardziej czuł się jak oszust. Ale nie mógł się już wycofać, pokochał bieganie, marzył o sportowej karierze.

CZY SPORT ZABIJE PŁEĆ?

Na początku lat 30. w Niemczech, Czechosłowacji i Polsce rozpoczęła się dyskusja o homoseksualności. Zwłaszcza o tym, by za nią nie karać. Gazety fascynował też inny temat – możliwość „zmiany płci". Bohaterami brukowców stawali się lekarze, czasem prawdziwi, a najczęściej zwykli hochsztaplerzy, którzy twierdzili, że dokonali tranzycji kurczaka, świni, a czasem człowieka. Niezbitych dowodów jednak przeważnie brakowało.

Tymczasem w wielu krajach, także w Polsce i Czechosłowacji, cross-dressing, czyli noszenie odzieży płci przeciwnej, uważano za wykroczenie przeciw moralności. Zdarzały się aresztowania. Podejście do płci – w liberalnych kręgach – nie było jednak restrykcyjne. W 1922 r. reporter „Daily Herald", przyglądając się sportowcom i sportsmenkom, przypuszczał nawet, że „rozwinie się nowy typ istoty ludzkiej ani płci męskiej, ani żeńskiej".

Działacze sportowi zaczęli się obawiać, że sport może zdestabilizować genderowy podział, do którego wszyscy przywykli. Gdy brytyjskie radio transmitowało skok wzwyż kobiet podczas pierwszych Światowych Igrzysk Kobiet, komentator mówił: „Nowa teoria, że sport może zabić płeć, nie przeszkadza im".

Płeć nie przeszkadzała Markowi Westonowi, zwłaszcza że długo nie wiedział, do której mu bliżej. Przyszłej mistrzyni Wielkiej Brytanii w rzucie oszczepem przy urodzeniu w 1905 roku przypisano płeć żeńską. Ze sportu, który na mistrzowskim poziomie uprawiał w latach 20., wycofał się w 1930 r., bo, jak tłumaczył, zrozumiał, że nie jest tym, za kogo się podaje.

> Oskarżeń o męskość nie traktował jak oszczerstw. W rzeczywistości coraz bardziej czuł się jak oszust. Ale nie mógł się już wycofać, pokochał bieganie, marzył o sportowej karierze

Na początku 1936 r. Weston przeszedł medyczną i prawną korektę płci.

Koubek i Weston nie byli sami. Dziesiątki sportowców w Europie w ich czasach zadawało sobie pytania o płeć. Wśród nich Willy de Bruyn, belgijska rewelacja kobiecego kolarstwa, dwukrotna mistrzyni Europy. Willy'emu nie udało się jednak zarejestrować męskiego imienia. Miał przez to mnóstwo problemów.

Dla nas ważna jest data – Willy de Bruyn o swojej tranzycji zadecydował w 1936 roku.

BYĆ JAK HITOMI

Dopiero w 1928 roku, na igrzyskach w Amsterdamie, zezwolono na – mocno limitowany – udział kobiet. Milliat, wciąż namawiana do rezygnacji ze Światowych Igrzysk Kobiet, mówiła, że mogłaby się na to zgodzić, gdyby w „męskich" zawodach uwzględniono program jej imprezy. Nadal 23 dyscypliny lekkoatletyczne na igrzyskach dostępne były tylko dla mężczyzn.

Zawody w Amsterdamie zbojkotowały Angielki, które, podobnie jak Milliat, domagały się równości. Mark Weston, wtedy w szczycie kariery, stracił szansę na olimpijski medal.

Największą gwiazdą w Amsterdamie miała być Hitomi Kinue. Prasa w Europie szalała z ekscytacji „egzotyczną" lekkoatletką, która zdobywała medale na kobiecych igrzyskach, m.in. wygrała skok w dal, ustanawiając rekord świata. Jednak w Amsterdamie jej występ był katastrofą, jak niemal wszystkie występy kobiet.

Prasa zmieniła front. Na zdjęciach pokazywano wycieńczone uczestniczki biegu na 800 m, a komentatorzy pisali, że kobiety nie nadają się do sportu. MKOl wycofał konkurencję z kolejnych igrzysk. Sport kobiet uznano – ponownie – za nieudany eksperyment.

Milliat wiedziała, że po amsterdamskiej katastrofie sport kobiet może stracić przychylność publiczności. Potrzebowała gwiazdy, tym bardziej że Hitomi w 1931 roku zmarła.

Zdeněk Koubek miał szanse zostać „nową Hitomi". W 1934 roku zdobył pięć tytułów mistrza kraju: na 100, 200 i 800 m, w skoku wzwyż i w dal. A 14 czerwca ustanowił pierwszy rekord świata – na 800 m.

Był gwiazdą, której Milliat potrzebowała. Ale Zdeněk czuł, że pętla coraz bardziej zaciska się na jego szyi.

LONDYŃSKA TRAGEDIA

W 1932 roku czechosłowacka drużyna jechała na mecz lekkoatletyczny z Polską. Koubka zatrzymał pogranicznik, który zakwestionował jego płeć. Zdenkowi – jak pisał w autobiografii – groziło medyczne sprawdzenie płci. „Po raz pierwszy pojawiły się administracyjne wątpliwości, czy naprawdę byłem kobietą", wspominał. Pogranicznik odpuścił, a Koubek wygrał dwie konkurencje: skok wzwyż i bieg na 800 m.

Było jednak coraz więcej podejrzeń: „Dlaczego nie rozbierasz się we wspólnej szatni kobiecej?" – pytał ktoś w anonimowym liście. Jedno z satyrycznych pism sugerowało, że skoro jest jedną z najszybszych kobiet świata, powinna zacząć trenować z mężczyznami.

Koubek bał się jechać w 1934 roku na czwarte Światowe Igrzyska Kobiet do Londynu, ale zaryzykował. Wygrał na 800 m, znów ustanawiając rekord świata. Zajął też trzecie miejsce w skoku w dal.

Powinien się cieszyć, a czuł się jak oszust. Nie pokazał się na bankiecie.

Bertie C. Sims, południowoafrykański działacz sportowy, chciał go zdemaskować. Uważał, że jego zawodniczki przegrały z mężczyzną. Kilka dni później zagroził wycofaniem swojego kraju z kolejnych igrzysk kobiecych. „Wiele zagranicznych lekkoatletek było ogolonych, miało niskie głosy i sprawiało wrażenie przynależności do płci męskiej", przekonywał w prasie.

Eileen Crockart, zawodniczka ze Związku Południowej Afryki, mówiła: „Często myślałyśmy, że to mężczyźni, którzy występują jako kobiety".

Afrykańskich działaczy wsparli Kanadyjczycy. Milliet była przerażona, skandal mógł zagrozić imprezie i cofnąć rozwój sportu kobiecego na dziesiątki lat.

Londyńskie Światowe Igrzyska Kobiet okazały się ostatnimi w historii.

KONIEC QUEERÓW W NIEMCZECH

Gdy w Niemczech do władzy doszedł Hitler, na osoby queerowe spadły represje. Naziści zamknęli dziesiątki restauracji, rozwiązali mnóstwo organizacji, z księgarń zniknęły książki o seksualności.

Kobiety, które wyglądały zbyt męsko, zwłaszcza z krótkimi włosami, były źle widziane. Osoby interpłciowe i transpłciowe uważano za „aspołeczne". A te o tożsamościach wychodzących poza binarny podział były więzione. Wiele z nich popełniło samobójstwa. Jednym z nich był artysta performer Oskar „Ossy" Gades, który za ubieranie się „po kobiecemu" został wysłany do obozu koncentracyjnego.

Magnusa Hirschfelda, najważniejszego wówczas badacza nienormatywnej seksualności, zmuszono do wyjazdu z kraju. Lekarz zmarł na atak serca trzy lata później.

Już w latach 1918-33 około 8 tys. mężczyzn zostało w Niemczech skazanych za „nienaturalne akty". Ta liczba eksplodowała po dojściu nazistów do władzy. Zmieniono prawo – w 1935 roku karano już nie tylko akt seksualny, ale i „wzajemną masturbację", „uwodzenie", czy „erotyczne spojrzenie". Policja dostała narzędzia ścigania niemal każdego, bez udowadniania mu winy.

Według szacunków do 1939 roku naziści aresztowali ponad 100 tys. osób, którym zarzucono homoseksualne skłonności lub transpłciowość.

W takiej atmosferze sportowcy przygotowywali się do igrzysk w Berlinie.

ZDENĚK ZNÓW ZADZIWIA ŚWIAT

Zdeněk Koubek – choć pełen obaw – nie wycofał się ze sportu. Zrobiono to za niego.

Wiosną 1935 roku wychodząca w Zurychu niemiecka gazeta „Sport" opublikowała

eprasa.pl a8fd4bb077

reklamę Ovaltine, energetyku na bazie mleka. „Jedna szklanka Ovaltine dziennie trzyma ciało w formie" – mówił w niej Zdeněk Koubek.

Wybuchł skandal, bo sportowcy „amatorzy" nie mogli zarabiać na reklamach. I choć Zdeněk udowodnił, że zdjęcie wykorzystano bez jego zgody, wyrzucono go z czechosłowackiego związku sportowego. On sam 23 czerwca ogłosił, że odchodzi ze sportu.

Zaraz po tym postanowił dowiedzieć się, czy jest możliwa tranzycja. Doktor H. (tak nazywa go lekkoatleta w autobiografii) po dwóch miesiącach badania Koubka stwierdził, że jest on osobą „o przewadze męskich cech". I zarekomendował operację.

30 października 1935 roku poinformowały o tym czeskie gazety. News szybko dotarł do Stanów Zjednoczonych. „Lekkoatletka zamierza zmienić płeć", pisały tamtejsze dzienniki. Wiele miejsca poświęciły operacji, która wydawała się wydarzeniem ze świata science-fiction. Nie wszyscy byli przeciw. „London Life" napisał, że „operacja jest ratunkiem dla tych, którzy w przeszłości byli nazywani wybrykami natury".

Gdy Koubek zyskiwał nowe życie, Alice Milliet wiedziała, że przegrała. Przez lata próbowała przekonać świat, że sportowczynie pasują do modelu tradycyjnej kobiecości, tymczasem historia Zdenka dostarczyła amunicji jej przeciwnikom. Pytana, czy odbierze Koubkowi złoty medal, zaprzeczała: „W czasie zawodów identyfikował się jako kobieta, teraz chce się identyfikować jako mężczyzna. Jeśli prawdą jest, że nim się stał, to tym bardziej prawdą jest, że wcześniej była kobietą".

Działo się to tuż przed igrzyskami olimpijskimi w Berlinie. Naziści nie chcieli queerowego skandalu.

ONA MÓWI NIŻEJ NIŻ MĘŻCZYŹNI

Coming-outy Koubka i Westona przyczyniły się do dyskusji o niuansach płci biologicznej. Pisał o tym „Times", a także pisma sportowe i medyczne.

Szwajcar Wilhelm Knoll, członek NSDAP, były prezes Światowej Federacji Medycyny Sportowej, a w 1936 roku dyrektor niemieckiego Instytutu Medycyny Sportowej, pierwszy oskarżył Koubka o oszustwo: „Wzywam wszystkie kobiece uczestniczki nadchodzących igrzysk olimpijskich, by ich płeć była wcześniej sprawdzona przez specjalnie powołanych do tego lekarzy" – napisał. Nie wspominał o testowaniu mężczyzn. Tekst podpisał: „Heil Hitler!".

Wspierały go gazety – od Czechosłowacji po Stany Zjednoczone. „New York Daily News" postulował: „Każda kobieta powinna przejść takie badanie, żeby wziąć udział w berlińskiej olimpiadzie". Jednak IAAF i większość organizacji zignorowały te apele.

Dwie światowe gwiazdy lekkoatletyki w ciągu kilku miesięcy dokonały tranzycji, wielu działaczy zaczęło obawiać się, że ich śladem pójdą kolejne. „London Life" pisał: „Dziewczęce atletki w każdym kraju, szczególnie w Wielkiej Brytanii, narzekają na biegaczki, które często wyglądają bardziej jak mężczyźni niż kobiety".

Najwięcej oskarżeń spadło na amerykańską lekkoatletkę Helen Stephens. „Występuje bardzo męsko, mówi niżej niż wielu mężczyzn", a spotkanie jej „było niespodzianką mojego życia", pisała dziennikarka pisma „Manhattan". Nazistowska agencja prasowa DNB pisała, że Stephens brzmiała jak „surowy kowbojski głos basowy dochodzący z głębokiego wąwozu".

Amerykańska lekkoatletka nie bała się demaskacji jako osoba transpłciowa czy interpłciowa. Obawiała się czegoś innego: że wyjdzie na jaw, iż w trakcie przygotowań do igrzysk w Berlinie zakochała się w kobiecie.

Trzy dni przed otwarciem berlińskich igrzysk, 28 lipca 1936 roku, obradowała grupa członków IAAF. Knoll, szefujący olimpijskim służbom medycznym, zaproponował, by „hermafrodytów" wykluczać ze sportu, a IAAF miał prawo do „medycznej inspekcji".

Na radzie MKOl również pojawił się punkt: „nienormalne sportsmenki". Gremium to uznało jednak, że testy płci powinny być w gestii krajowych federacji. Ale pierwszy raz w historii zapisano, że w ogóle powinny być przeprowadzane.

Helen Stephens zdobyła w Berlinie dwa złote medale – na 100 m i w sztafecie 4×100 m. W sprincie o 0,2 s wygrała ze Stanisławą Walasiewicz.

Bomba wybuchła dwa miesiąca po igrzyskach.

ONA MÓWI, ŻE TO CHŁOPIEC

16 października 1936 roku w „Kurierze Porannym" ukazał się satyryczny tekst:

• **Helen Stephens (z lewej) i Stanisława Walasiewiczówna po finałowym biegi na 100 m podczas igrzysk w Berlinie w 1936 roku** FOT. GETTY-IMAGES

„Dawniej sprawa była taka prosta. Wiadomo – albo kto chłop, albo tylko baba. Dziś runęło tyle dogmatów, tyle różnic, moja pani, się zatarło. Zaciera się teraz i to. Walasiewiczówna mówi, na przykład, że Helena Stephens to chłopiec. O Walasiewiczównie zaś zeznają, że jej brak, powiedzmy, kobiecości. Zawodniczka Koubková kazała sobie zrobić operację. Zapisana jest teraz w metryce jako zawodnik Koubek. Ale choć rzeczywiście wygląda kubek w kubek jak mężczyzna, przecież i jej czegoś nie staje".

Artykuł przedrukowała amerykańska prasa. Stephens była przerażona, gazety się na nią rzuciły. Wzywały, by przebadać wszystkich lekkoatletów. Magazyn „Time" uznał oskarżenia za nieuczciwą rywalizację, a matka Stephens zapewniała, że „Helen na pewno jest dziewczyną".

Prasa przyjrzała się ponownie jej berlińskiemu występowi. Pisano, że tuż po przyjeździe na igrzyska została poddana badaniu weryfikacji płci. Dopiero po nim dopuszczono ją do rywalizacji. Spekulowano, że test mogli przeprowadzić sami Amerykanie.

Gdyby te doniesienia okazały się prawdziwe, Stephens byłaby pierwszą osobą w historii poddaną takim testom. Sama nigdy tego nie potwierdziła, biografowi powiedziała, że „komitet olimpijski" testował „wszystkich lekkoatletów".

Jednak zachowana dokumentacja świadczy, że przeprowadzano jedynie standardowe badania, których celem nie było ustalenie płci. Jak było naprawdę? Nikomu nie udało się tego ustalić.

KOMU POMAGA TESTOSTERON?

Dyskusja o tym, czy ustalać płeć sportowców, wróciła po wojnie. W IAAF najbardziej wspierali ją Niemcy, najaktywniej Wilhelm Knoll, któremu nikt nie wyciągał nazistowskiej przeszłości.

W latach 1946-66 niektóre krajowe związki sportowe wprowadziły testy weryfikujące płeć. W 1950 roku, miesiąc przed mistrzostwami Europy w Belgii, IAAF wprowadził obowiązkowe testy dla lekkoatletek, które były badane w swoich krajach. W 1968 roku w Grenoble podobne testy po raz pierwszy przeprowadzono także na zimowych igrzyskach. Użyto tzw. testu ciałek Barra. Wzbudził on sprzeciw specjalistów, którzy udowodnili, że jest nienaukowy. Obowiązkowe testowanie płci na igrzyskach zostało wycofane w 1999 roku.

Od tej pory zaczęła się prawdziwa ruletka. Zawodniczki, które nie prezentowały się zbyt „kobieco", wciąż były badane. Wystarczyły oskarżenia, często wysuwane przez konkurencyjne reprezentacje. W takich okolicznościach samobójstwo popełniła Pratima Gaonkar.

W 2011 roku wprowadzono testy poziomu testosteronu u zawodniczek. Uważano, że jego wyższy wskaźnik zwiększa sprawność sportową i daje nieuczciwą przewagę sportowczyniom interseksualnym i transpłciowym. Najsłynniejszą zawodniczką wykluczoną na tej podstawie była Caster Semenya z RPA. Wykluczone sportsmenki musiały poddawać się terapii obniżania poziomu testosteronu.

Przed Igrzyskami Azjatyckimi w 2014 roku z rywalizacji wykluczono indyjską lekkoatletkę Dutee Chand, gdyż uznano, że naruszyła przepisy dotyczące hiperandrogenizmu. Stwierdzono, że naturalnie występujący u niej poziom testosteronu narusza wytyczne IAAF. Chand – wywołując olbrzymi skandal w swojej społeczności – odwołała się od tej decyzji do Sądu Arbitrażowego ds. Sportu. Po trwającej rok sprawie zdecydowano o zawieszeniu badań płci. Stwierdzono, że nie ma dowodów, że testosteron zwiększa wydajność sportową kobiet. Chand mogła znów startować.

W 2019 roku została pierwszą w Indiach otwarcie queerową sportsmenką i publicznie poinformowała, że jest w związku z osobą tej samej płci. W Paryżu nie wystąpi, bo została przyłapana na dopingu.

W 2024 roku MKOl zapewnił, że „nie będzie dyskryminował sportowców, którzy zostali zakwalifikowani do igrzysk, bez względu na ich tożsamość płciową i/lub cechy płciowe".

Oznacza to jednak, że testy mogą przeprowadzać organizacje kwalifikujące na igrzyska, takie jak IAAF albo Międzynarodowa Federacja Bokserska (AIB). MKOl pisze wprost: „Ustalenie nieproporcjonalnej przewagi musi opierać się na odpowiednich dowodach, a nie być zakładane na podstawie statusu osoby transpłciowej i/lub jej cechach płciowych".

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

Podczas igrzysk w Paryżu obserwujmy kolejną odsłonę konfliktu między MKOl i AIB, dotyczącego udziału w zawodach dwóch bokserek, Imane Khelif z Algierii w wadze do 66 kg i Lin Yu-ting z Tajwanu w kategorii do 57 kg. Władze olimpijskie dopuściły je do turnieju, tymczasem podczas ubiegłorocznych mistrzostw świata w Nowym Dehli AIB, którym kieruje Rosjanin Umar Kremlow, zdyskwalifikowała obie zawodniczki, uznając za mężczyzn.

Na igrzyskach doszło do skandalu, gdy po zaledwie 46 sekundach walki z Khelif z ringu zeszła Włoszka Angela Carini. Swoją decyzję tłumaczyła tym, że musi chronić swoje zdrowie.

MKOl wydał komunikat, w którym broni Algierki i Tajwanki. Twierdzi, że zostały dopuszczone do rywalizacji na podstawie ogólnych zasad dotyczących kategorii płci, stosowanych już na poprzednich igrzyskach w Tokio.

Na obie zawodniczki spadła fala hejtu.

ZASKAKUJĄCE MARIAŻE

Michael Waters w fascynującej książce „The Other Olympians", z której pochodzą niektóre z przedstawionych historii, pisze, że binarny podział w sporcie ma się dziś doskonale – męskie i żeńskie baseny czy przebieralnie wydają się czymś oczywistym. Jednak jeszcze w latach 30. XX wieku niewiele miejsc tak wyraźnie wprowadzało reżym płciowy. Przez długi czas, nawet w oficjalnych dokumentach, nie wpisywano ludziom płci.

Historie tranzycji Westona, de Bruyna, Koubkaczy polskiej lekkoatletki Zofii Smętek przyciągnęły uwagę działaczy inspirowanych przez nazistowskich ideologów „czystości rasowej".

Zmagania Milliet o „sport kobiet" były walką z patriarchatem i mężczyznami, którzy chcieli przejąć kontrolę. Okazało się, że patriarchat sprzęgnięty z nazistowską ideologią mówiącą o „pełnowartościowych kobietach" postanowił raz na zawsze ustalić, kto nią jest, a kto nie. A wszystko to przy udziale polskiej gazety. ●

1 RP

Jasne strony dziejów

Bronić ojczyzny czy bronić własny talent

Witold Gombrowicz dzięki przypadkowi nie walczył na wojnie. I bardzo dobrze. Oddał Polsce większe zasługi żywy niż martwy. Krzysztof Kamil Baczyński nie miał tej szansy.

Brzeziecki

Działo się to w ostatniej dekadzie sierpnia 1939 roku, transatlantyk „Chrobry" zbliżał się do argentyńskiego wybrzeża. Był to dziewiczy rejs statku oddanego do użytku ledwie kilka tygodni wcześniej w Gdyni. Wśród gości ministra przemysłu i handlu na pokładzie znajdowali się dwaj pisarze – Czesław Straszewicz i Witold Gombrowicz. Obaj znaleźli się tam dzięki rekomendacji Jerzego Giedroycia.

Już zaraz potem świat obiegły informacje o porozumieniu Moskwy i Berlina. Jeszcze chwilę później na Polskę spadły niemieckie bomby. Straszewicz popłynął na pokładzie „Chrobrego" do Wielkiej Brytanii, 35-letni Gombrowicz został w Buenos Aires. Jak pisał potem, nie była to żadna dezercja, bo zameldował się w polskim poselstwie, a potem, gdy na Wyspach Brytyjskich formowało się wojsko polskie, stanął przed komisją poborową.

Po latach czyniono pisarzowi zarzut, że wojnę spędził wiele tysięcy kilometrów od dramatu, jaki rozgrywał się w jego ojczyźnie. A że w oczach prawdziwych Polaków, będąc na emigracji, w swych utworach „opluwał" Polskę konsekwentnie, tym samym jakoby potwierdzał te oskarżenia.

To oczywiście bzdury, ale mające długie życie. Dość powiedzieć, że jeszcze kilkanaście lat temu ówczesny minister edukacji w rządzie PiS Roman Giertych chciał usunąć pisarza z listy lektur szkolnych. Giertych niby ostatnio zmądrzał, ale jak widać po głosowaniach w sprawie aborcji, coś w nim z wszechpolaka zostało.

Ja tam się cieszę, że Gombrowicz nie był we wrześniu 1939 roku w Polsce. Może zginąłby, a może nie. Czy byłby z niego jakiś militarny pożytek? Tego nie wiem. Wiem za to, że wolałbym, aby powstanie warszawskie nie wybuchło, a Krzysztof Kamil Baczyński i tysiące jego rodaków przeżyło wojnę.

Gdy w 1964 roku Gombrowicz znalazł się na stypendium Fundacji Forda w Berlinie Zachodnim i gdy spacerował po parku Tiergarten, poczuł pewne wonie, zioła, zapach powietrza, kamieni, kory i zrozumiał, jak blisko znalazł się Polski, która była „niedaleczko, o miedzę".

Tego nie wyczułby człowiek pozbawiony miłości do ojczyzny.

Po 24 lutego 2022 roku inaczej już brzmi Maria Peszek, gdy w utworze „Sorry Polsko" śpiewa: „Lepszy żywy obywatel niż martwy bohater"

Tam Gombrowicz zrozumiał, że śmierć i tak się o niego upomni. Zmarł pięć lat później

W przeciwieństwie do wielu poprzednich pokoleń dziś krwią się tak chętnie nie szafuje. Nikt nie wiwatuje i nie podrzucałby w górę meloników na wiadomość o ogłoszeniu wojny. Oczywiście są tacy, co pokazał spór o Muzeum II Wojny Światowej, którym się wydaje, że wojna jest fajną przygodą – dlatego krytykowali oryginalną wystawę.

Z drugiej strony kunktatorstwo nieraz prowadzi do większych nieszczęść. Kto jest większym bohaterem – ten, kto broni kraju i być może ginie, czy ten, kto walczy o najbliższych, emigruje wraz z rodziną, troszczy się o nią i pozwala jej przetrwać? I na tejże emigracji dba o ciągłość kultury i tradycji własnego społeczeństwa.

Dziś często słyszę zgryźliwe komentarze, że Ukraińcy, zdrowi, młodzi i rośli mężczyźni, których słychać na ulicach polskich miast, chyba powinni być na froncie, a nie robić zakupy w polskich supermarketach. Ale może oni są bohaterami dnia codziennego – ciężko pracują w Polsce, by wykarmić i wykształcić dzieci?

Co jest większą wartością? Obrona ojczyzny czy własnej rodziny albo własnego talentu? Jak bronić ojczyzny, gdy najważniejsze osoby w państwie czmychają przez granicę, podobnie jak we wrześniu 1939 r.? Ale jeśli wszyscy skupią się na trosce o rodzinę, a nie staną w obronie kraju, to jaki los czeka cały naród? Raczej marny. Po 24 lutego 2022 roku inaczej już brzmi Maria Peszek, gdy w utworze „Sorry Polsko" śpiewa: „Lepszy żywy obywatel niż martwy bohater".

Bo czy żywy obywatel czasem nie może istnieć bez martwych bohaterów, a bezmyślny pacyfizm bywa równie szkodliwy jak bezmyślna bohaterszczyna.

Niemniej decyzja Jerzego Giedroycia, by umieścić Gombrowicza na „Chrobrym", była jednym z najszczęśliwszych epizodów w dziejach polskiej kultury XX wieku, a zarazem jednym z ziaren zasianych, które wydały plon w postaci powojennej „Kultury". Z pewnością „Gomber" oddał Polsce większe usługi, pisząc przez kolejne ćwierć wieku, niż strzelając mniej lub bardziej celnie z karabinu. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

• **Krzysztof Kamil Baczyński i Witold Gombrowicz**
FOT. WIKIMEDIA COMMONS, BOHDAN PACZOWSKI

eprasa.pl a8fd4bb077

Romuald Traugutt w mundurze carskiego oficera. Zdjęcie datowane na 1862 rok
FOT. PAUL FEARN / ALAMY STOCK PHOTO

POŻEGNANIE Traugutta

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077

• **Poświęcenie krzyża na stokach warszawskiej Cytadeli 5 sierpnia 1916 roku w 52. rocznicę stracenia Romualda Traugutta i czterech innych członków Rządu Narodowego**
FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Mimo lata pod szubienicę przywieźli go w zimowym palcie, tak jak go pojmali w kwietniu. Był spokojny.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Wedle biografii napisanej w latach 80. XX wieku przez karmelitę bosego Władysława Kluza kilkuletni Romuald Traugutt miał przeprowadzić ze swoją babką Justyną Błocką profetyczną rozmowę:

– Czym jest właściwie krzyż, na którym powieszono Jezusa? – zapytał.

– Ówczesną szubienicą – odparła Błocka.

Wzburzony Traugutt wykrzyczał wtedy:

– Na szubienicy wieszają strasznie złych ludzi, morderców, złoczyńców!

Trzydzieści lat później, 5 sierpnia 1864 roku, na stokach Cytadeli sam pod nią stanął. Pod stokami zebrał się 30-tysięczny tłum. Ludzie śpiewali:

Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami.
Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie.
Od nagłej a niespodziewanej śmierci, zachowaj nas Panie.
Abyś nieprzyjaciół Kościoła świętego poniżyć raczył, wysłuchaj nas Panie.

Nawet zaprzęgnięci do ochrony Kozacy nie śmieli przerywać.

Tłum liczył na cud, ale cud się nie wydarzył.

SPOKOJNY DO KOŃCA

Tuż przed 9 rano na stoki Cytadeli wjeżdżali pojedynczo skazańcy. „Na jednokonnych, drabiniastych wózkach, używanych zwykle do wywożenia gnoju", zanotował rosyjski historyk i świadek tych wydarzeń Nikołaj Berg.

Dla kontrastu żandarmi ubrani byli galowo, w błyszczących hełmach, siedzieli na siwych koniach w otoczeniu piechoty. Więźniom pozwolono jedynie na towarzystwo kapucyna w skromnym habicie.

Traugutt mimo lata ubrany był jak w dniu złapania – w zimowe palto, ciepłe, granatowe, czytamy w jego biografii Bolesława Limanowskiego.

Dopiero przed samym aktem przekazano im „śmiertelne" koszule, podkreślając, jak haniebnie, nieżołniersko zginą. Wszak jedyną śmiercią wojskowych, przewidzianą przez kodeks karny, miało być rozstrzelanie, ale carskie władze chciały, aby egzekucja miała wymiar symboliczny czy – jak powiedzielibyśmy dzisiaj – pokazowy.

Car miał powiedzieć „dość będzie pięciu" i tylu też zwieziono: Rafała Krajewskiego, Józefa Toczyskiego, Romana Żulińskiego, Jana Jeziorańskiego i Traugutta. Odczytano wyroki, nie było krzyków ani szarpaniny, najspokojniejszy był ponoć sam Traugutt, który do ostatnich niemal chwil rozmawiał i modlił się z duchownym. Wedle niepotwierdzonych przekazów Rosjanie robili zdjęcia, ale jeśli nawet, to wraz z dokumentami znalazły się w rosyjskich archiwach i może pozostają tam do dziś.

Powstańcom zawiązano „trójkątem przepaskę" i poprowadzono pod stryczek, choć „żadnemu z nich nie skrępowano rąk, jak się to zwykle czyni przy egzekucjach". Potem „kat nazwiskiem Dichwald w czerwonym płaszczu i cylindrowym kapeluszu" pociągnął za linę i jeden za drugim powstańcy styczniowi umierali. Najprawdopodobniej przez przerwanie rdzenia kręgowego, choć XIX-wieczny dziennikarz krakowskiego „Czasu" pisze o „nieszczęśliwym Kamińskim", któremu sznur się oberwał i całą bestialską procedurę musiano ponawiać. Już wtedy krążyły pogłoski, że było to starannie przemyślane carskie okrucieństwo.

Nikt chyba nie mógł się spodziewać, że to męczeństwo wbrew oprawcom stanie się przyczynkiem do powszechnej żałoby narodowej i utrwali jeszcze mit powstańczy.

ODDAĆ CZEŚĆ MĘCZENNIKOM

Następnego dnia ostatni powstańczy naczelnik Warszawy Aleksander Waszkowski wydał odezwę: „Oddajcie cześć męczennikom i uświęćmy ich pamięć nie łzą rozpaczy, lecz męskiem postanowieniem wstępowania w ich ślady". Kto posłuchał, ten posłuchał i „utrzymywał moc i charakter do końca". Większość nie chciała i nie mogła już walczyć. Kolejne próby utworzenia rządu na emigracji, planowane m.in. przez księcia Adama Sapiehę, spaliły na panewce. Poza działalnością konspiracyjną polskim patriotom pozostał kir.

Trafnie podsumował to kulturoznawca Daniel Brzeszcz: „Powstanie styczniowe zaczęło się od czarnych sukni i na czarnych sukniach skończyło".

Wraz z czysto zewnętrzną formą wyrażania przekonań, wzrastał w siłę katolicyzm w odsłonie narodowej. Przyczyniła się do tego aktywna postawa kleru, biskup Zygmunt Szczęsny Feliński pisał otwarcie do cara „uczyń z Polski naród niepodległy", jak i właśnie męczeńska śmierć Traugutta. Doskonale pasowała tu jego legendarna pobożność.

„Dziki i bezbożny wróg nasz – pisał w odezwie z 28 października 1863 roku – splugawiwszy gwałtem kościoły i schronienia umarłych, znieważywszy klasztory rozpustą, mordując i wywożąc tysiące naszych obywateli, na domiar pogwałcenia praw Boskich i ludzkich".

Każda dobra legenda oprócz historycznych faktów, wyrazistego bohatera potrzebuje też jakiejś nieoczywistości. I Traugutt ps. Michał Czarnecki doskonale wpisywał się w tę triadę. Zwłaszcza że zagadką, nierozwiązaną do dziś, pozostaje, dlaczego ten niepozorny, „dobroduszny na oko wobec wszystkiego" carski żołnierz został przywódcą Rządu Narodowego i w sercach wielu Polek i Polaków wyrył się niczym Mickiewiczowski Chrystus narodów.

SPOWIEDŹ DZIECIĘCIA WIEKU

Traugutt, w przeciwieństwie do Jezusa, z którym był porównywany, zginął nie na wzgórzach Golgoty, ale na stokach Cytadeli. Była to jednak śmierć na tyle symboliczna, że w XX wieku wielkim orędownikiem jego beatyfikacji był prymas Stefan Wyszyński. Kardynał widział w nim męczennika oraz patrona Polski i argumentował to tym, że „nauczył nas wiązać miłość Ojczyzny z miłością Boga i służyć Ojczyźnie po Bożemu". Do pomysłu powracano jeszcze w latach 80., ale nie doczekał się realizacji.

Pomijając te beatyfikacyjne perturbacje, warto pochylić się nad źródłami postawy Traugutta. Zgodnie z klasyczną psychoanalizą musiały sięgać dzieciństwa.

Urodził się w Szostakowie w dawnej guberni grodzieńskiej. Współcześnie to zapadła wioseczka tuż za granicą polsko-białoruską. Wśród rozrośniętych drzew i krzaków zachowało się kilka pamiątek po powstańcu: krzyż, kamień, odtrącany swego czasu przez bolszewików, a ze współczesności – tablica pamiątkowa. Przede wszystkim jednak ruiny po rodzinnym dworze. Smutno się to ogląda, mając w świadomości, że jeszcze w 1885 roku „wieś liczyła 32 podwórza, 543 mieszkańców, karczmę i pijalnię". Dziś cała tutejsza ludność zmieściłaby się w jednej izbie karczmy, gdyby jakaś istniała.

Szostakowskie dobra należały początkowo do rodziny Hofmeisterów, od których wydzierżawili je rodzice Romualda: Ludwik i Alojza, z domu Błocka. Po mieczu Traugutt odziedziczył dość nietypowe nazwisko i niemieckich przodków, którzy przybyli do Rzeczypospolitej w czasach saskich. U Limanowskiego czytamy: „rodzina ta jednak, osiadłszy wśród Rusi litewskiej, spolszczała zupełnie". Przodkiem Romualda był Jakób Traugutt, „kapitan w wisku narodowem" w powstaniu kościuszkowskim.

Od najwcześniejszych chwil nad Romualdem wisiało widmo śmierci. Najpierw umarła matka i dwulatkiem zaopiekowała się babka Justyna Błocka. Wychowała chłopca w niepodległościowym duchu, blisko Kościoła i polskiej tradycji. Gdyby Traugutt urodził się nie w 1826, ale 20 lat później, mógłby pójść do szkoły w rodzinnej miejscowości. Jego przyszły współpracownik Apollo Hofmeister powołał tam bowiem z własnych funduszy szkołę dla chłopców. Zamiast tego wyjechał do gimnazjum w Świsłoczy, którego wcześniejszym absolwentem był choćby Józef Ignacy Kraszewski.

Szkoła utworzona przez Wincentego Tyszkiewicza miała na początku status prowincjonalnej, ale z czasem awansowała na gimnazjum okręgowe, nad którym merytoryczny nadzór sprawowała kadra z Uniwersytetu Wileńskiego. Wykładowym językiem był polski, ale odbywały się też zajęcia po rosyjsku i francusku, a wśród nauczanych przedmiotów był na przykład rysunek topograficzny. To o tyle ciekawe, że w przyszłości Traugutt będzie się starał – bezskutecznie – o przyjęcie na studia w Instytucie Inżynierów Dróg Komunikacyjnych w Petersburgu. Zapewne to w szkolnej ławie zasiano w nim techniczne zainteresowania.

Pewne jest, że spotkał tam wielu niepokornych, odważnych przyszłych działaczy niepodległościowych, z którymi przyjdzie mu walczyć w powstaniu.

SOŁADAT Z WYBORU

Zanim to jednak nastąpi, odsłuży swoje w carskiej armii, i to nie z branki, ale z własnego wyboru. Nie do końca jasne pozostaje, dlaczego mimo srebrnego medalu za wyniki w nauce nie dostał się do wymarzonej szkoły. Jedni przyczyny upatrują w reorganizacji placówki, inni w nieodpowiednim pochodzeniu kandydata.

Zamiast tego „zaciągnął się do półku saperów, który stał podówczas załogą w Żelechowie na Podlasiu", pisał Limanowski, choć miejscowości tej, leżącej między Garwolinem a Rykami, bliżej do Mazowsza. Tam dosłużył się stopnia praporszczyka, czyli odpowiednika naszego chorążego. Szkolni koledzy zapamiętali go jako nieco ponurego, nazbyt poważnego, a nawet „nietoperzowego".

Kiedy młodzież oddawała się stosownym do wieku hulankom, Traugutt albo się modlił, albo „badał uważnie sposoby prowadzenia Zarządu w innych wydziałach". To narażało go na jeszcze większe kpiny niż jego religijne praktyki. Koledzy uważali, że nie ma nic nudniejszego i nieużytecznego niż dział skarbowy i inne papierkowe zagadnienia. Może jednak te teoretyczno-pragmatyczne podejście do prowadzenia działań wojskowych zaprocentowało w przyszłej działalności jako naczelnika?

eprasa.pl a8fd4bb077

Tymczasem przez Europę przetaczała się Wiosna Ludów. Biograf Traugutta Władysław Kluz odnotowuje, że „cenzura carska, a szczególnie wojskowa, czuwała” i niewiele wiadomości o tym ponadnarodowym wzburzeniu dochodziło do Rosji. Kiedy więc Mikołaj I zwany „żandarmem Europy” zarządził marsz na Węgry, Traugutt z rosyjską armią ruszył na wojnę i przemaszerował przez Kraków, którym zarządzali Austriacy.

Wedle biografów tam właśnie pierwszy raz poczuł, że barwy, w których służy, mogą go uwierać. Niczym w mitycznej koszulce Dejaniry z rosnącym wzburzeniem słuchał od węgierskich jeńców o polskich legionach gen. Józefa Wysockiego.

Choć Trauguttowi saperzy nie brali wtedy czynnego udziału w walce, byli raczej w służbach pomocniczo-technicznych, to jego obecność na froncie została doceniona. Otrzymał Order Świętej Anny, premię finansową oraz mieszkanie. W międzyczasie dotarła do niego wiadomość o śmierci ojca, wobec którego mógł się czuć winny, że związał swoją karierę z carskim wojskiem.

ŻONA GODNA I SZLACHETNA

Wkrótce postanowił rozpocząć nowy etap w życiu i założyć rodzinę. I tu był konsekwentny, rozpatrywał wyłącznie kandydatury polskich panien. A że od dzieciństwa przyjaźnił się ze Stefanią Zawadzką, córką sąsiadów, ku niej skierował pierwsze kroki. Niebiedny, wykształcony, z dobrej rodziny nie został przyjęty przez dawną sympatię tak, jakby się spodziewał. Nie usłyszał ani tak, ani nie na pytanie o ewentualny status uczuciowy dziewczyny.

Zrozpaczony wyjechał do Warszawy i tam poznał Annę Emilię Pikel, córkę stołecznego jubilera. Początkowo chyba nic nie wskazywało na pomyślny obrót spraw. „Poznałem w Warszawie trzy Panny Pikiel – czytamy w dziennikach Traugutta – i zrazu nie zwróciłem na nie szczególnej uwagi, ale potem zacząłem już »odróżniać Annę«”, także z powodu pochwał, jakimi obdarzała dziewczynę wspólna znajoma Tekla Chodowiecka. Można zatem domniemywać, że Romuald został po prostu wyswatany.

Szybko docenił przyszłą małżonkę jako kobietę „tak godną, tak szlachetną, tak przede wszystkim miłującą prawdę”, że nie przeszkadzał mu nawet jej luteranizm. Oczywiście, aby związkowi temu mogła pobłogosławić jego ukochana babka Justyna, potrzebna była konwersja narzeczonej. A ta ponoć w sobie tylko znany sposób dowiodła, że katolicyzm nie kłóci się z nauczaniem Lutra.

NAZNACZONY ŻAŁOBĄ

Młodzi zamieszkali w Żelechowie, gdzie stacjonował pułk Traugutta. Powodziło im się skromnie, w jednym z listów Traugutt zwierzał się nawet, że nigdzie nie bywają, bo ich na to nie stać, za to ich dom był otwarty i zawsze pełen żołnierzy.

Mimo tych dość optymistycznych początków życie Romualda Traugutta naznaczone było pasmem żałoby. W ciągu ledwie kilkunastu miesięcy stracił babkę, a później żonę, z którą przyszło mu spędzić ledwie „półósma [tj. 7,5] roku pożycia z nią małżeńskiego”. A także dwoje wspólnych dzieci.

Wydawało się, że się nie podniesie, i całkiem poważnie rozważał wstąpienie do zakonu. Na jego drodze stanęła jednak Antonina z Kościuszków, którą swatano wówczas z bratankiem Adama Mickiewicza Franciszkiem. Najwyraźniej kandydatura ta jej nie odpowiadała i wybrała Traugutta, wdowca.

Okazało się to zbawienne dla obojga, poza tym małżeństwo z Kościuszkówną było nie tylko mariażem serca, ale i wspólnotą przekonań narodowościowych.

W tym czasie Traugutt nie miał już wątpliwości, że nie może dłużej pozostać w służbie Romanowów. Nie bez wpływu na tak ważną decyzję była zapewne śmierć trzeciego dziecka, urodzonego już przez Antoninę, małego Romka. Chłopczyk umarł prawdopodobnie na zapalenie płuc.

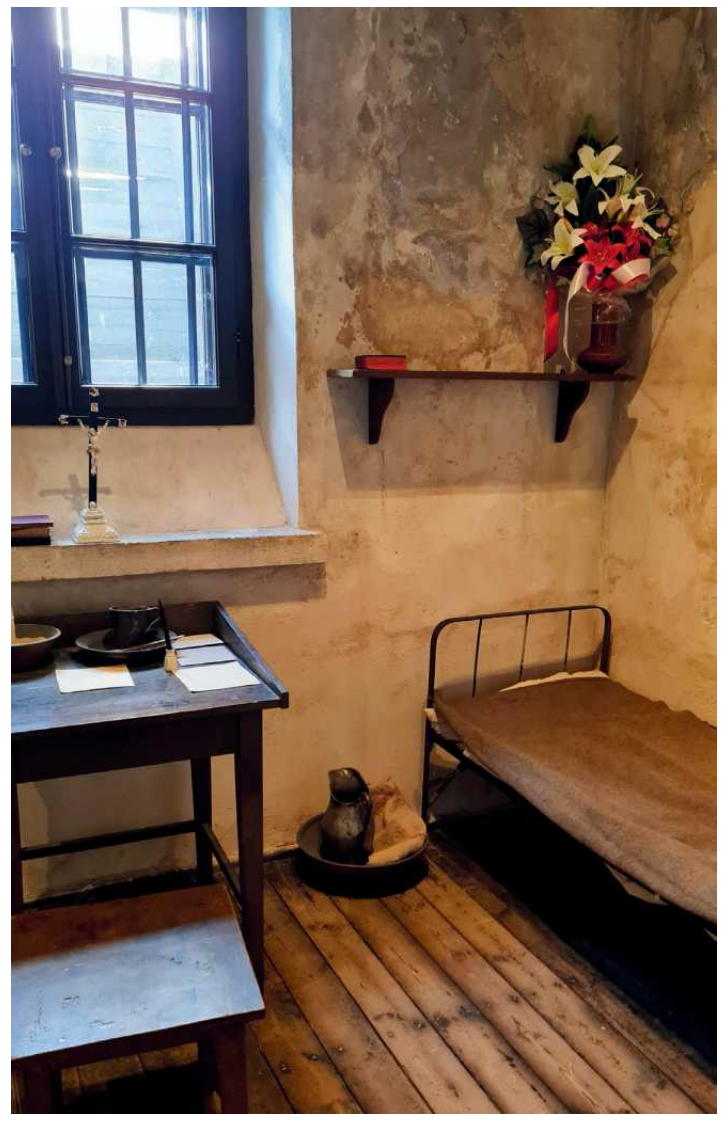

• **Zrekonstruowana cela Traugutta w warszawskiej Cytadeli**
FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

Od swoich oficerów Traugutt wymagał, żeby „doprowadzili powstańców i lud do ścisłego i serdecznego porozumienia się i zbratania”, a także „by byli pierwszemi i najwierniejszemi stróżami praw”

NIE TAK ŁATWO ZERWAĆ CYROGRAF

Ale jak opuścić carskie wojsko? Trauguttowi zaczęło się nie tylko nieźle powodzić. I choć bywał wysyłany w rejony konfliktów, m.in. do Turcji, to nie brał udziału w bezpośrednich walkach. Poza tym przenoszono go z rodziną w całkiem wygodne i atrakcyjne miejsca, a to do Odessy, a to Charkowa czy Petersburga, gdzie nawet wykładał w szkole wojskowej.

Aż wiosną 1861 coś w nim ostatecznie pękło. Miarka przebrała się po serii krwawych incydentów w Warszawie, brutalnie tłumionych przez rosyjską policję. Jednego tylko dnia, 8 kwietnia, według namiestnika Królestwa Polskiego Michaiła Gorczakowa zostało „rannych żołnierzy 10, zabitych 2, ze strony ofiar 70 wziętych do niewoli, 108 rannych i 10 poległych”. Dane te kontruje niepodległościowiec Agaton Giller, mówiąc o „500”, mając na myśli pewnie wszystkich zabitych i rannych.

Traugutt nie mógł dłużej na to patrzeć i 2 maja złożył podanie o urlop, a rok później o zwolnienie ze służby, tłumacząc się złym stanem zdrowia. Zwierzchnicy nie podejrzewali, jakie są prawdziwe motywacje, wspaniałomyślnie go awansowali i zapewnili roczną wypłatę w wysokości 230 rubli srebrnych, „co odpowiadało dobrej pensji nauczyciela”. Tak wyposażony podpułkownik Traugutt osiadł w Kobryniu.

Widmo zbliżającego się zrywu krążyło po ziemiach polskich, ale historycy pozostają jednomyślni: Traugutt nie wykazywał chęci udziału. I nie był w tym odosobniony, jak czytamy w pamiętnikach Jakuba Gieysztora, publicysty i powstańca, szlachta litewska była przeciwna „wszelkiemu ruchowi rewolucyjnemu i w powstaniu zbrojnem, samą tylko klęskę widziała”.

Być może jednak Kościuszkowski duch, poprzez żonę zaszczepiony w Traugutcie, oraz poczucie obowiązku sprawiły, że wraz z ogłoszeniem przez komitet powstańczy pełnej mobilizacji na Litwie stawił się w szeregi. Cytowany już rosyjski kronikarz Berg, ze złośliwością pomieszaną z podziwem, napisze o nim:

„(...) nie można było przypuszczać, że to przyszły niezmordowany, energiczny bojownik za sprawę polską, że to przyszły, pełen niesłychanego, bohaterskiego poświęcenia, powstańczy dyktator Polski”.

BĘDZIESZ BOHATEREM I OLBRZYMEM

I kiedy „Centralny Narodowy Komitet, obecnie jedyny legalny, Rząd Twój Narodowy, [wzywał] na pole walki już ostatniej”, Traugutt nie pozostał obojętny i słowa z „Manifestu Tymczasowego Rządu Narodowego” z 22 stycznia 1863 odebrał zapewne bardzo osobiście: „Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i Olbrzymem!”.

Po czym, jak do doświadczonego wojskowego, co dzień przychodzili do niego różni ludzie z okolicznych miejscowości, m.in. Brześcia Litewskiego, i zgłaszali się do walki. Trzeba im tylko było przywódcy, który umiałby ich poprowadzić. Choć nie można powiedzieć, że był to wymarzony scenariusz Traugutta. Przeciwnie: wszem wobec ogłaszał, że wiele braków i niedostatków, zarówno pod względem wyposażenia, jak i umiejętności, jest po stronie jego podwładnych.

Do anegdot w Szwejkowskim stylu, choć o mało zabawnym finale, przeszła historia jednego z przeszkoleń. Oto Traugutt załamany niedołęstwem rekrutów zagroził, że jeżeli nie zaczną stosować się do wojskowych reguł, nie zawaha się użyć siły. I tak też się stało. Zdenerwowany dowódca chwycił broń i wycelował ją w nieszczęśnika, którym okazał się Feliks Kwiatkowski.

Zeznania świadków są niespójne. Traugutt tłumaczył się, że przypadkiem zahaczył spustem o ubranie, a i wskazany przez oficera winny miał nie być faktycznym sprawcą zamieszania. Postrzelony jeszcze przez cztery dni walczył o życie w szpitalu i ponoć „nie miał żalu do sprawcy”, a wręcz miał go prosić o odwiedziny. Niestety zmarł, a brześciański oddział powstańców stracił jednego z wojaków.

Można jednak za Trauguttem powtórzyć, że ofiara ta nie poszła na marne, bo „ludzie, którzy przed tygodniem jeszcze pojęcia o żołnierce nie mieli”, zaczęli wywiązywać się ze swoich obowiązków „prędzej i porządniej” niż „najbardziej wprawny i wyćwiczony żołnierz”.

KRYJÓWKA U ELIZY ORZESZKOWEJ

Oczywiście przysporzyło to Trauguttowi nie tylko moralnych rozterek, ale i karnych konsekwencji. Jak podawał Tomasz Łubieński, już wtedy był dla carskich sędziów winny kierowania tajnym związkiem i odpowiadał za siedem „partyzanckich potyczek”. I oskarżono go jeszcze „o zabójstwo i o zamiar rozstrzelania”. W czasach powstania z jednej strony czyniło go to osobą wyjętą spod prawa, z drugiej przysparzało niepodległościowego splendoru.

Niestety, po pierwszych wygranych lokalnych potyczkach przyszedł czas wielkich strat i Traugutt, jedynie z garstką żołnierzy, szukał schronienia w bezpieczniejszym rejonie. Tu dość niespodziewanie z pomocą przyszło małżeństwo Piotra i Elizy Orzeszków, którzy nie licząc się z konsekwencjami, udzielili uciekinierowi schronienia.

Wiele z tamtych chwil zostało zawartych w noweli „Gloria victis”, gdzie przeczytamy właśnie o nim: „Albowiem według przykazania Pana opuścił on żonę i dzieci, dostatki i spokój (...), a wziąwszy na ramiona krzyż narodu swego, poszedł za idącym ziemią tą słupem ognistym i w nim zgorzał. Nie tutaj zgorzał. Nie w tej mogile śpi. Kędyś daleko”.

Ale zanim to nastąpiło, wzmocniony na zdrowiu Traugutt udał się do Warszawy. Tam wśród personalnych zawirowań i intryg skupionych wokół rządzących świeżo przybyły powstaniec był objawieniem.

SZPICEL PUKA DO DRZWI

Jako emisariusza wysłano go najpierw do Lwowa, a potem, dzięki datkom zebranym

eprasa.pl a8fd4bb077

wśród Polaków, do Paryża. Tam wśród rozlicznych wizyt z ważnymi politykami, m.in. z Napoleonem III, spotkał się również z emigracyjnym liderem Hotelu Lambert księciem Czartoryskim.

Ten zanotował w pamiętnikach, że było to przelotne zetknięcie, w co trudno uwierzyć, gdyż sam Traugutt, w zachowanych raportach z podróży wskazywał, że „zaplanowanych spotkań" było co najmniej kilka, więc trudno mówić o czymś przypadkowym.

Misja dyplomatyczna nie zakończyła się jednak sukcesem. Złożono Polakowi kilka enigmatycznych obietnic, zapewniono o słuszności działań i to by było na tyle.

Kiedy Traugutt, mianowany już na generała, wrócił do Królestwa, po stronie niepodległościowców panowało bezhołowie. Trwał nieustanny konflikt na szczycie pomiędzy dawnymi dyktatorami przebywającymi aktualnie za granicą: Marianem Langiewiczem i Ludwikiem Mierosławskim. W takich okolicznościach Traugutt znów objawił się tym jedynym i choć Tymczasowy Rząd Narodowy nie zamierzał powoływać dyktatorów, to ostatecznie 17 października 1863 obwołano go nieformalnym przywódcą.

Przez następnych kilka miesięcy za jego sprawą obwiązywał „Regulamin władz administracyjnych w byłym Królestwie Kongresowym" i podejmowano działania, jak gdyby Polska wróciła do dawnych, przedrozbiorowych granic. Jednym z ciekawszych postulatów tamtego okresu było powstańcze uaktywnienie włościan, którym zapewniono zniesienie pańszczyzny. Ogólnonarodowy entuzjazm nie trwał długo, bo car uprzedził Polaków i pierwszy ogłosił uwłaszczenie. Równocześnie wzmógł się zaborczy terror. Ginęły kolejne osoby, rodziny powstańców traciły majątki, całe domostwa były zrównywane z ziemią.

Koniec powstania był bliski i Traugutt zdawał sobie z tego sprawę. I kiedy w środku nocy policmajstrzy, poinformowani przez byłego powstańca Artura Goldmana, załomotali do mieszkania, w którym konspirował, nie wydawał się zdziwiony. 11 kwietnia 1864 roku w zimowym palcie, tym samym, w którym powiodą go na stracenie, trafił na Pawiak. Tam mimo intensywnych przesłuchań nie zdradził towarzyszy i całą winę wziął na siebie. Jego słynne powiedzenie: „idea narodowości jest tak potężną (...), że nic jej nie pokona" – okazało się prawdziwe.

TRAUGUTT 2.0

Głosami 447 posłów, przy 2 głosach sprzeciwu i 1 wstrzymującym się, Sejm RP ogłosił 2024 Rokiem Romualda Traugutta. W uzasadnieniu napisano, że to w „uznaniu zasług niezłomnego dyktatora Powstania Styczniowego dla Polski". Posłowie zaś podkreślali: „W swojej działalności Romuald Traugutt kładł szczególny nacisk na finanse, wojsko oraz sprawę chłopską".

Czy w związku z tym możemy liczyć na rzetelną, niehagiograficzną biografię Traugutta? Czy znajdzie się odważny i na tyle dociekliwy badacz, który zagłębi się we wciąż nienależycie poznane meandry życia i wyborów tego nietuzinkowego bohatera?

A może uda się też dotrzeć do Szostakowa i Swisłoczy i tam zostawić materialne dowody naszej pamięci? Tym samym, właśnie na przykładzie Traugutta, wielu sceptycznie nastawionych do inności przekona się, że wielkim narodowym bohaterem może być człowiek z niemieckimi korzeniami, przez lata pozostający w służbie carskiej, który od swoich oficerów wymagał, żeby „doprowadzili powstańców i lud do ścisłego i serdecznego porozumienia się i zbratania", a także „by byli pierwszemi i najwierniejszemi stróżami praw". Natomiast „kto by się odważył w czemkolwiek te prawa gwałcić", ten „ma być uważany za wroga Ojczyzny, i to za wroga gorszego od Moskala i Niemca".

Czy nie jest to memento i nauka dla starych i nowych rządzących? ●

Antypolityka historyczna

Czy współpracować z radykałami, czyli jak oswoić smoka?

Nie przychodzą mi do głowy żadne przykłady, aby partia radykalnie prawicowa weszła do rządu z demokratami i przekształciła się w centrową.

Janowski

Coraz bardziej ciekawi mnie problem, który wydawał mi się historyczny, a teraz staje się coraz bardziej współczesny: Czy warto podejmować współpracę z radykalnymi partiami politycznymi, ewidentnie wrogimi wobec systemu liberalno-demokratycznego?

Zanim jeszcze wybory 15 października przyniosły zwycięstwo koalicji demokratycznej, niektórzy publicyści zastanawiali się, czy – jeśli zaistniałaby taka możliwość – nie warto by spróbować koalicji z Konfederacją w celu obalenia rządu PiS-owskiego. We Francji partie centro-lewicowe zdołały powstrzymać marsz prawicowego radykalizmu tylko z pomocą skrajnej lewicy Jeana-Luca Mélenchona – i znowu mamy różne możliwości kombinacji gabinetowych, w tym kompromis z jedną albo drugą skrajnością.

Wreszcie premier Włoch Giorgia Meloni i jej partia Bracia Włosi – na ile da się ją przeciągnąć na stronę partii mainstreamowych?

Czy mamy w historii jakieś precedensy? Najbardziej znany – socjaldemokracja. Alexandre Millerand to pierwszy socjaldemokrata, który ku rozpaczy Lenina i „twardych" marksistowskich rewolucjonistów zgodził się we Francji w roku 1899 zostać ministrem w rządzie „burżuazyjnym".

Nieco wcześniej, w końcu XIX wieku, niemiecki marksista Eduard Bernstein napisał, że socjaldemokracja powinna zerwać z dążeniem do wszechświatowej rewolucji, by zająć się sprawami praktycznymi – skróceniem czasu pracy, ubezpieczeniami społecznymi, dostępem robotników do oświaty i kultury. Przetworzenie partii rewolucyjnej w część fundamentu ustroju liberalno-demokratycznego udało się wspaniale – w każdym razie na Zachodzie.

A radykałowie „z prawa"? Udało się z partiami chrześcijańsko-demokratycznymi, które weszły do polityki w ostatnich latach XIX wieku z hasłami antysystemowymi, a w ciągu kilku dziesięcioleci pogodziły się z zasadami państwa liberalno-demokratycznego. Tu sprawa była łatwiejsza, bo partie chadeckie nigdy nie osiągnęły siły socjaldemokratów i nigdy nie głosiły tak zasadniczego zerwania z istniejącym porządkiem jak socjaliści.

Próby oswojenia Hitlera są najlepszym przykładem klęski oczekiwań, że radykalna prawica ucywilizuje się po dojściu do władzy. O klęsce próby oswojenia Putina przez Zachód nie trzeba przypominać

I gdzie się jeszcze udało?

Szukam rozpaczliwie w pamięci i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu nie przychodzą mi do głowy żadne przykłady, aby partia radykalnie prawicowa weszła do rządu liberalno-demokratycznego i przekształciła się w partię centrową. Nie przypominam też sobie nacjonalistycznego teoretyka, który powiedziałby coś takiego jak Bernstein: że należy zrezygnować z dalekosiężnych celów na rzecz drobnych codziennych zdobyczy.

Próby oswojenia Hitlera są najlepszym przykładem klęski oczekiwań, że radykalna prawica ucywilizuje się po dojściu do władzy. O klęsce próby oswojenia Putina przez Zachód nie trzeba przypominać.

A z oswajaniem socjalistów również były problemy. W Rosji bolszewicy, którzy przecież byli odłamem socjaldemokracji, zmarginalizowali mniej radykalne frakcje partii i objęli pełnię władzy. Następstwem był totalitaryzm w pełni porównywalny z hitlerowskim.

Mimo wszystko sądzę jednak, że próby kompromisu z ugrupowaniami skrajnymi, nawet takimi, których poglądy są odrażające, należy czasami podejmować. Zarówno ze względów taktycznych – to bywa jedyna możliwość realizacji choćby części swojego programu – jak i zasadniczych, w poczuciu, że kompromis zwykle jest lepszą metodą rozwiązywania sporów niż walka. Profesor Piotr Wandycz, wybitny znawca historii dyplomacji, pisał kiedyś, że w Polsce powiedzieć o polityku, że jest skłonny do kompromisu, jest formą krytyki, a w Anglii – jednym z największych komplementów.

Nie przemawia do mnie pogląd, że nie ma kompromisu z wrogami demokracji i wolności. Ostatecznie kompromis zawiera się z definicji z ludźmi, których poglądów się nie podziela. Zawrzeć go z kimś, z kim się zgadzam w sprawach zasadniczych, to żadna sztuka.

Ale kiedy taka polityka ma szanse powodzenia, a kiedy nie? Zwykle, niestety, to wiadomo dopiero ex post. Każda sytuacja jest inna. Jak daleko można iść? Zaakceptować poglądy nie do przyjęcia, aby oderwać część zwolenników od partii radykalnej albo też aby skłonić tę partię do zawarcia koalicji? Śliska sprawa. Może to wzmocnić radykałów, zamiast ich osłabić, bo zachowania dotąd uważane za skandaliczne stają się częścią mainstreamu. Kto je z diabłem z jednego talerza, musi mieć o wiele dłuższą łyżkę.

Na szczęście nie jestem politykiem, więc to nie ja muszę rozwiązywać podobne dylematy. Ja tylko piszę o nich felieton. ●

Maciej Janowski
– historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

• **Brytyjski premier Neville Chamberlain ściska dłoń Adolfa Hitlera popodpisaniu układu monachijskiego 30 września 1938 roku**
FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl a8fd4bb077

weekendówka 115

ADIEU!

Działo się. Oj działo przez ostatnie kilkanaście dni. Najpierw Sekwaną popłynęło 85 barek ze sportowcami z 206 ekip z całego świata, bo po raz pierwszy w historii ceremonia choć ceremonia otwarcia Igrzysk Olimpijskich w Paryżu wywołała potężne kontrowersje. I raczej nie chodziło o odciętą głowę Marii Antoniny. Katolicy byli oburzeni nawiązaniami do „Ostatniej wieczerzy" Leonarda da Vinci, a choć inscenizacji bliżej było do "Uczty bogów" XVII-wiecznego holenderskiego malarza Jana van Bijlerta, to organizatorzy i tak przeprosili urażonych.

Potem na sportowych arenach rywalizowało blisko 11 tysięcy sportowców. Arenach po większej części zlokalizowany w Paryżu właśnie. Podziwialiśmy więc „wyluzowanego Turka" Yusufa Dikeca, który w parze z Sevval Ilaydą Tarhan sięgnął po srebrny medal w strzelectwie w konkurencji drużyn mieszanych. Dikec strzelał bez żadnego dodatkowego sprzętu (okularów, słuchawek), a internet zalała fala memów z Yusufem towarzyszącym choćby Edwardowi Furlongowi, młodemu Johnowi Connorowi z „Terminatora 2".

Strzelectwo generalnie zrobiło wielką furorę, również za sprawą Koreanki Kim Ye-ji, srebrnej medalistki w strzelaniu z pistoletu pneumatycznego na 10 metrów. Stylizacja, „aura", zachowanie sprawiły, że porównywano ją do postaci z filmów Quentina Tarantino lub gier komputerowych.

A Noah Lyles, który zdobył złoto w sprincie na 100 m wyprzedzając rywala z Jamajki, Kishane Thompsona o... 0,005 s? „Mrugnięcie okiem to 0,1 s, czyli trwa 20 razy dłużej niż różnica czasowa między biegiem Amerykanina i Jamajczyka" – pisał Radosław Leniarski.

A Armand Duplantis, szybowiec, który znów sprawił, że opadły nam szczęki i nie chciały wrócić na swoje miejsce po finale skoku o tyczce, w którym – w ostatniej próbie! – Szwed pofrunął na wysokość 6 m 25 cm?

A Novak Djoković, który w wieku lat 37 pokonał wszystkich – łącznie z własnym ciałem – i w finale tenisowego turnieju okiełznał najmłodszego z najgniewniejszych, Hiszpana Carlosa Alcaraza w dwóch setach zakończonych tie-breakami?

To były niezwykłe igrzyska. Dla niektórych zakończone nie tylko medalami, ale i obietnicą dożywotniego darmowego ramenu, sushi i burgerów – co obiecały filipińskiemu gimnastykowi Carlosowi Yulo, za zdobycie dwóch złotych medali, lokalne sieci gastronomiczne. Albo zupełnie niecodzienną ofertą, która spotkała francuskiego skoczka o tyczce, od serwisu prezentującego treści dla dorosłych. Anthony Ammirati strącił poprzeczkę swoim przyrodzeniem. Jak widać interes można zrobić także na... interesie.

Żegnamy więc Paryż – oficjalne zakończenie igrzysk nazajutrz, w niedzielę, 11 sierpnia – krzyżówką, nie, nie, wcale nie olimpijską! Paryską. Zapraszam na spacer po stolicy Francji.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

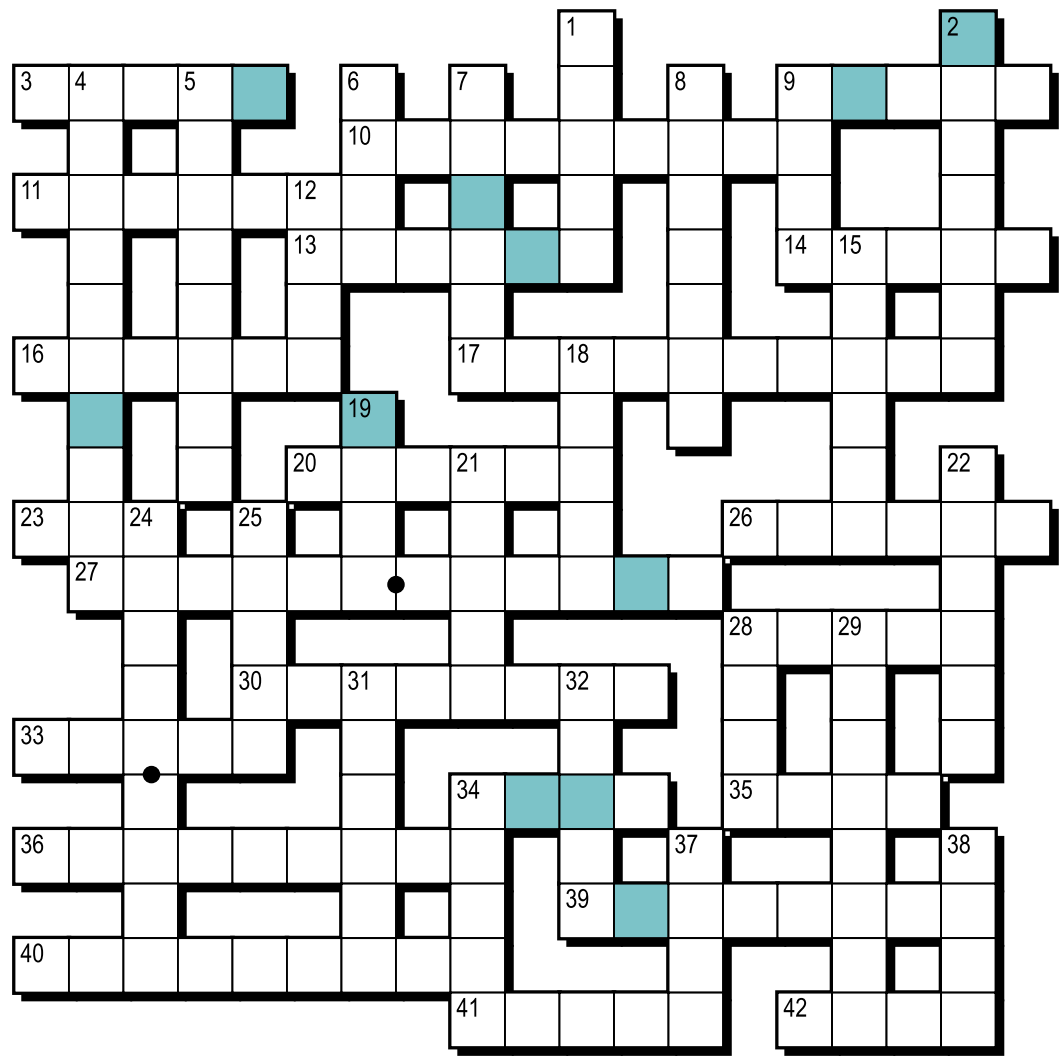

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 114: z 3.08:

Poziomo: 6) Larry Bird, 9) Sochan, 10) Gortat, 11) Kings, 12) Heat, 13) Michael Jordan, 16) kontrataki, 18) Detroit, 19) Pippen, 22) turnieje, 23) Jersey, 25) transfery, 28) aut, 30) teamy, 31) Bryant, 32) rzuty, 33) sala, 34) szkółka, 37) Zastal, 38) pomnik, 39) król, 40) tablica.
Pionowo: 1) Maciej Lampe, 2) fani, 3) Oregon, 4) Timberwolves, 5) kroki, 6) Lakersi, 7) dwutakt, 8) Utah, 9) strefa, 14) center, 15) Andrej, 16) kontakt, 17) Rakiety, 20) półfinały, 21) New York, 24) Harlem, 26) Air, 27) Pluta, 28) asysta, 29) tabela, 31) Basket, 33) Sopot, 35) klub, 36) Arka, 37) zwód.

HASŁO:
MAGIC JOHNSON

KRZYŻÓWKA PARYSKA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) „Ostatnie ... w Paryżu", film z Marią Schneider i Marlonem Brando
9) ... Alma, miejsce tragicznego wypadku z udziałem księżnej Diany
10) Montmartre lub Montparnasse
11) jej lustro niedaleko Wenus z Milo
13) film z Audrey Tautou, z Paryżem w tle
14) potoczyły się po paryskim bruku podczas rewolucji
16) Ewelina, została żoną Balzaka, a po jego śmierci mieszkała w Paryżu
17) „Notatki z nieudanych ... paryskich", wiersz Gałczyńskiego (wpisujemy w mianowniku)
20) zamachowiec, który w 1974 r. dokonał zamachu w Paryżu
23) „Paryski ...", piosenka Dawida Kwiatkowskiego
26) w herbie Paryża
27) skojarz: korty, Paryż, French Open
28) planik przydatny turyście
30) w Paryżu – w 1900, 1924 i 2024 roku
33) żelastwo Eiffla
34) imię autora powieści „Nędznicy"
35) góry na trasie Tour de France – wyścigu zwykle kończącym się w Paryżu
36) najsłynniejszy dzwonnik świata
39) miesiąc we francuskim kalendarzu rewolucyjnym, w którym zgładzono Robespierre'a
40) Père Lachaise i Passy
41) ... Buloński
42) ... Bastylii, 14 lipca 1789 r. zdobyte przez lud Paryża

Pionowo:
1) powieść, której główny bohater poznaje w Paryżu profesora Geista
2) zarządzają francuskimi miastami
4) imię autora powieści „Kawaler de Maison-Rouge"
5) paryscy ulicznicy; apasze
6) imię księcia Czartoryskiego, od 1843 r. właściciela obiektu z określenia 34 pionowo
7) Henry, autor powieści „Zwrotnik Raka" (z akcją w Paryżu)
8) plac najlepszych kasztanów
9) Les Halles, dawniej największy ... Paryża
12) powieść Emila Zoli o paryskiej kurtyzanie
15) język kojarzący się z nazwą dzielnicy, w której znajdują się m.in. Panteon i Sorbona
18) np. błękit paryski
19) ... Francji; siedziba jego szefa to Hôtel Matignon
21) „Gra w ...", powieść Cortázara (z akcją w Paryżu i Argentynie)
22) Napoleon Bonaparte
24) katedra, w której w 2019 r. wybuchł pożar
25) ... Antonina, królowa ścięta w 1793 r.
28) Paryż jest jej światową stolicą
29) Centre Georges ..., z muzeum sztuki współczesnej
31) jego obraz „Bal w Moulin de la Galette" można podziwiać w Musée d'Orsay
32) ptak na bramie Pałacu Elizejskiego, symbol Francji
34) ... Lambert, na paryskiej wyspie św. Ludwika
37) paryski – w epilogu „Pana Tadeusza"
38) podparyskie lotnisko

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ
Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store
POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

1 RP

eprasa.pl a8fd4bb077